

J. CH. ANDERSEN



# BASNIE

*Ilustrował*  
J. M. SZANCER

*JMS.*

# DZIEJE ŻYCIA JANA CHRISTIANA ANDERSENA



## DZIECIŃSTWO PISARZA

„Moja ojczyzna, Dania - pisze Jan Christian Andersen w swych pamiętnikach - jest krajem prawdziwej poezji. Pełno w nim podań i klechd, wśród ludu krążą stare, piękne pieśni. Dania ma bogatą przeszłość, dzieje jej są związane z historią Szwecji i Norwegii. Na duńskich wyspach rosną wspaniałe lasy dębowe, ziemia pokryta jest kobiercem żyta i koniczyny, które z daleka wyglądają jak ogromne ogrody. Na jednej z tych wysp zielonych, na Fionii, leży moje miasteczko rodzinne, Odense, nazwane tak od imienia pogańskiego boga Odyna, który zgodnie z legendą miał tu mieszkać...”

Odense leży nad małym, błękitnym fiordem w kotlinie, pośród niewysokich wzgórz porośłych bujną zielenią. Wieją tu często porywiste, morskie wiatry, kołysząc koronami wspaniałych dębów, świerków i sosen.

Z daleka miasteczko ze swymi czerwonymi, opadającymi stromo dachami, z wąskimi uliczkami wśród domków tonących w zieleni przypomina kolorowe

klocki, którymi się bawią dzieci. Mały port, do którego zawijały często białe żaglowce, statki i łodzie rybackie, nadawał miasteczku szczególny urok.

Pięknie jest tu zawsze, o każdej porze roku. I zimą, gdy Fionia tonie w bieli śniegu, wczesną wiosną, gdy kra pęka na fiordzie, a po polach i sadach rozlega się głuchy jej trzask, latem, kiedy cała wyspa staje się wielkim, kwietnym ogrodem, i jesienią, gdy dookoła rozpościerają się liliowe kobierce wrzosu.

Większość mieszkańców stanowili za życia Andersena drobni kupcy i rzemieślnicy przeróżnych cechów, jak rymarze, blacharze, cieśle, stolarze. Zdarzali się między nimi prawdziwi mistrzowie z bożej łaski, co to z drzewa umieli wystrugać prześliczne figurki, światełki, kapliczki przydrożne i wiejskie kościółki. Łodzie rybackie, które zawijały do pobliskiego portu, ozdobione były kolorowymi bożkami i światełkami wyrzeźbionymi z drzewa. Na niektórych statkach już z daleka lśniła w słońcu postać Neptuna, władcy mórz, z trójzębem w ręku, na innych znów można było zobaczyć herb Danii przedstawiający trzy lwy pośród dziesięciu serc.

Tutaj w Odense, na wyspie Fionii, zwanej ogrodem Danii, w małej izdebce, w której najwięcej miejsca zajmował warsztat szewski ojca, 2 kwietnia 1805 roku przyszedł na świat największy baśniopisarz świata, Jan Christian Andersen. Często będzie do niej wracał wspomnieniami jako do miejsca, gdzie spędził najwcześniejsze swe lata, często w trudnych chwilach życia będzie marzył o miłości, która mimo nędzy opromieniła dni jego dzieciństwa.

„Jedna mała izdebka, zapchana warsztatem szewskim, łóżem i ławą składaną, na której spałem, stanowiły mój świat dziecięcy. Ale ściany były zawieszane obrazami, na skrzyni stały piękne naczynia miedziane, szklanki i bibeloty, a obok warsztatu, przy oknie, znajdowała się półka z książkami i nutami. W malutkiej kuchence przy spizami wisiała półka cynowa pełna talerzy. Ta niewielka przestrzeń wydawała mi się ogromną i wspaniałą. Nawet drzwi, w których wnękę ozdobił jakiś krajobraz, miały wtedy dla mnie tak wielki urok, jak dziś cała galeria obrazów” - pisze po latach Andersen w swych wspomnieniach.

Z tego ubożuchnego domostwa rodzicielskiego wyniósł Andersen piękne i wzruszające wspomnienia. Ulubionym jego kąciem był na przykład maleńki ogródek warzywny matki, mieszczący się... w jednej skrzynce z ziemią.

„Z kuchenki można było po drabinie przedostać się na strych, gdzie w rynnie, która łączyła nasz dom z domem sąsiada, znajdowały się skrzynie z ziemią. Rosła tu marchew, szczypiorek i pietruszka, cały ogród mojej matki...”

Ten skromny ogródek do dziś jeszcze kwitnie w baśniach poety.

Oto jak Andersen pisze o nim w „Królowej Śniegu”:

„Nie każdy może mieć ogród w wielkim mieście, gdzie jest tyle domów, a w nich tyle rodzin. Większość mieszkańców musi poprzestać na doniczkach z kwiatami. Dwoje ubogich dzieci, o których mowa w tej opowieści, zdobyło sobie jednak coś więcej niż doniczkę, bo niemal ogród. Rodzice ich mieszkali naprzeciw siebie w uliczce tak wąskiej, że dachy domów stykały się prawie ze sobą i można było zupełnie bezpiecznie przejść z jednego końca rynny na drugi i składać sobie nawzajem wizyty.

W przeciwległych oknach stały duże skrzynie z ziemią. Rosły tu warzywa potrzebne do kuchni, a ponadto w każdej ze skrzyń zasadzono krzak róży. Rodzice wpadli na pomysł, by postawić te skrzynie na desce w poprzek ulicy, od okna do okna, co stanowiło wielką ozdobę, gdyż pędy grochu i gałęzie różanych krzaków powiązały się ze sobą tworząc jakby łuk triumfalny”.

Na dachu uwiła sobie gniazdo bociania rodzina. Każdy odlot ptaków na zimę budził w małym chłopcu tęsknotę za dalekimi krajami, o których opowiadał mu ojciec.

Ojciec przyszłego pisarza był młodszy od swej żony. Miał zdolności i zamiłowania artystyczne, nie mógł ich jednak rozwinąć z powodu ciężkich warunków życia.

„Mój ojciec, Jan Andersen, we wszystkim pozostawiał mi zupełną swobodę, kochał mnie nad życie. Cały swój wolny czas i wszystkie niedziele poświęcał na to, by dla mnie majstrować zabawki i obrazki. A wieczorami czytał mi często na głos” - pisze autor „Brzydkiego kaczątka”.

Ojciec siadał na posłaniu i czytał synowi bajki Lafontaine’a<sup>1</sup> lub „Baśnie z tysiąca i jednej nocy”. A czasami odkładał książki i sam opowiadał mu różne, przedziwne historie, których nasłuchiwał się na wsi jako młody chłopiec.

„Pamiętam dziś jeszcze - pisze Andersen - jakim blaskiem jaśniała wtedy jego twarz”. Zapewne ojciec Andersena w baśniach odnajdywał to, za czym tęsknił, czego nie mógł znaleźć w swym ubogim warsztacie szewskim. Marzeniem jego były książki, szkoła, nauka, sztuka, lecz bieda nie pozwoliła mu się kształcić. Rodzice oddali go do szewca jako terminatora i wszystkie marzenia młodego chłopca pozostały nie spełnione.

„Byłem jeszcze bardzo mały - wspomina poeta - kiedy pewnego razu zjawił się u nas jakiś student, chcąc oddać buty do naprawy. Ojciec poprosił go, aby mu

<sup>1</sup> Jean Lafontaine (czyt. Lafąten); 1621-1695 - słynny francuski autor bajek z morałem.

pokazał swoje książki. Długo trzymał je w ręku, oczy zaszkliły mu się łzami. »Ja także chciałem obrać tę drogę« wyszeptał i mocno mnie ucałował”.

W ten sposób niejako powierzał i przekazywał ukochanemu synowi swoje najgorętsze marzenia.

„Ojciec rzadko spotykał się ze znajomymi, w niedzielę chodził ze mną do lasu. Prawie wcale nie rozmawiał wtedy ze mną, tylko siedział cicho, pogrążony w rozmyślaniach, a ja skakałem, nizałem poziomki na słomkę albo wiałem wieńce z kwiatów. Tylko raz w roku, a było to w maju, kiedy las pokrywał się zielenią, szła z nami również matka...”

Anna Maria Andersdatter, matka Andersena, różniła się bardzo swym usposobieniem od męża. Gdy ten lubił ciszę i pogrążony w marzeniach i rozmyślaniach siedział przy swoim warsztacie szewskim naprawiając buty, każdą zaś wolną chwilę spędzał na czytaniu lub majsterkowaniu, matka, bardziej praktyczna, więcej z życiem codziennym związana, krzątała się i pracowała bez wytchnienia, wiecznie czymś zajęta, zatroskana, zabiegana, sterana życiem i biedą. W domu panowała wzorowa czystość, która była chlubą tej pracowitej kobiety. Jedyne luksusy, na jakie sobie pozwalała w swym nieradosnym życiu, to kwiaty, które hodowała z zamiłowaniem w skrzynkach i doniczkach.

Niewiele czasu mogła poświęcić synowi. Zajęta prowadzeniem ubożego gospodarstwa, bieganiem na posługi do bogatych mieszkańców Odense, nie zawsze mogła okazywać dziecku twarz pogodną i wesołą.

Już jako mała dziewczynka miała ciężkie i smutne życie. Wyganiana z domu przez nędzę, musiała całymi dniami, nie zważając na mróz czy słońce, chodzić po prośbie. A raz, kiedy nic nie użebrala, bojąc się powrotu do domu, przesiedziała całą noc płacząc pod mostkiem przerzuconym nad strumyczkiem w Odense.

Marzeniem ojca Christiana Andersena było żyć na wsi, blisko pól i łąk. Raz nawet zdawało się, że los uśmiechnie się do biednego szewca i spełni te jego gorące życzenia. Właśnie bowiem w jednym z majątków na wyspie Fionii poszukiwano na stałe szewca. Szczęśliwego wybrańca losu czekał tam domek w ogrodzie i mała łączka na wypas krowy. Jakież piękne marzenia snuli w związku z tym rodzice Andersena! Mały Christian widział się już w złotej karecie zaprzężonej w ogniste rumaki.

Pewnego razu zjawiała się w domku szewca sama pani ze dworu, by na próbę zamówić u niego parę atlasowych pantofelków na bal.

Pamiętny na zawsze był ów dzień, kiedy ojciec uroczyście zawinął nowo zrobione pantofelki w chustkę i wyruszył do pałacu, by oddać je dziedzicze. Długo

wlokły się godziny oczekiwania. Niespokojnie wypatrywali ojca oboje z matką i zrywali się na każdy odgłos kroków. Już dawno zmierzch zapadł, a szewca ciągle nie było widać. Nagle rozwarły się drzwi i ojciec w milczeniu wszedł do izby. Był blady i znużony. Drżącymi rękami rozwiązał węzełek i cisnął na stół pocięte kawałki atlasu i skóry. Pani ze dworu zaledwie raczyła rzucić okiem na pantofle. Nie wzięła ich nawet do ręki, tylko krzywiąc się powiedziała, że są nieładnie wykończone, mają niemodny fason i dlatego nie może ich przyjąć. Wówczas ojciec drżąc z gniewu zaczął kozikiem ciąć skórę i jedwab na kawałki.

„Niech więc stracę wszystko, i robotę, i materiał, niech będzie moja krzywda!”

Z tymi słowy opuścił dwór i pożegnał swoje długo piastowane nadzieje na poprawę losu.

Nadeszły czasy wojen napoleońskich. W Danii, która stała po stronie Francji przeciw koalicji antynapoleońskiej, zaroilo się od wojska.

Ojcu Jana Christiana warsztat szewski wydał się nagle za ciasny. Pragnął dokonać wielkich, bohaterskich czynów. Z napiętą uwagą śledził codziennie wiadomości o przygotowaniach do wojny, w końcu zaś porzucił swój dom i miasteczko i zaciągnął się pod sztandary cesarza Francuzów. Było to w roku 1812.

Wojna zakończyła się rozejmem. Ojciec Andersena wrócił do Odense i znów jak dawniej zasiadał przy swoim warsztacie. Zdawało się, że nic pozornie nie zmieniło się w domku przy ulicy Munkemollestroede, życie płynęło tu cicho i spokojnie. Znów słychać było rytmiczne uderzenia młotka, a mały Andersen w kącie bawił się w teatr ustawiając kukielki wystrugane przez ojca. Jedynym gościem, widzom teatralnym, był wiemy kot imieniem Karol. Jemu najczęściej zwierzał się Jan Christian ze swoich pomysłów i pragnień.

Od czasu do czasu stuk młotka ucichał, w izbie stawało się głucho i straszno; ojciec zamyślał się nad czymś głęboko, a po jego chudych policzkach spływały łzy. Od czasu gdy wyruszył na wojnę, stał się jeszcze bardziej milczący i smutny. Zdrowie jego mocno ucierpiało na skutek trudów wojennych, siły opuszczały go coraz bardziej. Niedługo też po krótkiej chorobie zmarł w 1814 r.

Śmierć ojca była dla chłopca straszliwym ciosem. Odtąd smutek i nędza nie opuszczały małej izdebki. Matka od świtu do nocy ciężko pracowała, prała i sprzątała u obcych ludzi, byle zarobić na chleb dla siebie i syna.

Były to lata szczególnie ciężkie dla Danii. Wojna doprowadziła ją do zupełnego zubożenia, a szczególnie dotkliwie odczuły to najniższe warstwy ludności. Głód stał się częstym gościem w domu ubogiej wdowy.

Nieraz latem, po żniwach, matka zabierała chłopca ze sobą w pole, aby w tajemnicy przed ekonomem zebrać pozostawione przez żniwiarzy kłosa. Chleb stał się bowiem dla biedaków rzadkim przysmakiem.

Najpiękniejsze chwile swego życia spędzał chłopiec u babki. Pracowała ona w ogrodzie szpitalnym jako robotnica. Wnuk pomagał jej nieraz przy pieleniu chwastów. Tu, w tym właśnie szpitalu, znajdował się jego dziadek, nieszczęśliwy, chory umysłowo starzec.

Często po ukończeniu pracy babka zabierała wnuka do siebie. Siadała w starym wytartym fotelu i zaczynało się opowiadanie baśni. Może właśnie wtedy, gdy tak słuchał z zapartym tchem głosu babki i przenosił się myślą w szczęśliwy, fantastyczny kraj wspaniałych możliwości, narodził się w nim przyszły, najślawniejszy baśniopisarz świata.

Andersen słuchał baśni z prawdziwym zachwytem, a babka wydawała mu się czarodziejką, dobrą wróżką. Pod wpływem jej słów otaczające chłopca sprzęty nabierały życia w jego wyobraźni i prowadziły ze sobą długie rozmowy. Ściany ubogiej izby zamieniały się we wspaniałe pałace, wszystko wydawało się zaklęte. Stojący na kredensie stary imbryk opowiadał historię swej młodości, a wtórowały mu filiżanki, garnuszki, stoliki i stara ławka pod oknem.

Zardzewiała igła do cerowania, kropla wody, stłuczona szyjka od butelki z opowiadań babki, wszystko to ożyje kiedyś na kartach książek Andersena. Nawet starą latarnię uliczną, która oświetlała nędzną izbę babki, uwieczni w jednej z swych baśni.

Nigdy rzecz żadna nie była dla niego martwym przedmiotem, każda snuła marzenia o szczęściu, które tak trudno w życiu osiągnąć, każda budziła współczucie, litość i sympatię. Fantazja prawdziwego poety osnuwa cały ten świat andersenowskiej baśni delikatną tkanką liryzmu.

Znajomość baśni ludowych zawdzięcza poeta babce. Pamięci tej, która opromieniała mu smutne dzieciństwo i natchnęła do pisania baśni, Andersen poświęcił wiele pięknych kart swej twórczości. W baśni pt. „Kalosze szczęścia” tak o niej pisze:

*By mi dogodzić, gdym prosił o czary,  
Dała mi babcia swoje okulary.  
„Idź w takie miejsce, gdzie jest ludzi wiele,  
I poprzez szkiełka oglądaj ich śmieje,  
Myśli ich staną przed tobą jak karty,*

*Z łatwością poznasz, co każdy z nich warty.*<sup>2</sup>

Ale były to rzadkie chwile szczęścia w szarym życiu małego chłopca. Przeważnie bowiem bywał samotny i pozostawiony tylko sobie. Lubił wędrować całymi dniami po okolicznych polach i zagajach, chodzić nad fiord, do portu, przypatrywać się wszystkiemu i marzyć o dalekich podróżach.

W osadzie rybackiej, leżącej nad brzegiem fiordu, poznał kiedyś Andersen starszego marynarza, który całe swe życie spędził na morzu. Samotny, wyrosnięty chłopak, o chudej twarzy, płowych włosach i błękitnych oczach zwrócił na siebie uwagę tego wilka morskiego. Zaprzyjaźnili się wkrótce. Marynarz opowiadał mu o morskich dziwach, wielkich rejsach i różnych przygodach. Pokazywał wystrugane przez siebie z drzewa okręciki zaopatrzone w banderę i małe armatki, postacie majtków, kapitana, sternika, a nawet ogromnego, kolorowego Neptuna z trójzębem. Kiedy jakiś większy statek zawijał do portu, stary za pomocą specjalnej maszyny wprawiał w ruch swych drewnianych żołnierzyków, maleńkie armatki strzelały na wiwat, Neptun wywijał trójzębem, a niebieskie jak niebo oczy marynarza śmiały się wesoło. Były to niezapomniane chwile dla obu samotników, starca i dziecka.

Dziwne zachowanie się Jana Christiana, jego samotne wędrówki po okolicach miasta, głośne rozmowy z lalkami i kukielkami własnego, maleńkiego teatrzyku, recytowanie jakichś wierszy i scen dramatycznych, unikanie rówieśników, wszystko to coraz bardziej zaczęło napawać matkę i babkę lękiem o przyszłość chłopca.

Wreszcie matka oddała go do szkoły dla młodszych dzieci pana Feddera Carstena przy Munkemollestroede. Nauczyciela swego wspomina Andersen z wielkim rozrzewnieniem. Opiekował się nim szczególnie i często bronił przed napasciami rozbawionych kolegów. Ale na ogół źle wiodło się przyszłemu pisarzowi na ławie szkolnej. Koledzy poszturchiwali go, wyśmiewali się z niego, stroili sobie żarty nawet z jego zamiłowania do wierszy i teatru, przezywali go wariatem, dotykając bolesnej sprawy chorego dziadka.

„Stałem się tak zalękniony i przybity - pisze poeta o tych pierwszych latach szkolnych - że byłem jak ten zabląkany ptak w izbie; jedna tylko dusza była dla mnie przyjazna i dobra, była to młoda dziewczyna, która się wraz z innymi przygotowywała do konfirmacji - panna Tönder Lund, uchodząca za najwytworniejszą i najbardziej podziwianą przez wszystkich. Jedyne ona spoglądała na mnie

<sup>2</sup> Przekład wiersza z wydania J. Ch. Andersen „Baśnie” PIW, Warszawa 1956.



łagodnie, witała mnie przyjaznym »dzień dobry«, a nawet raz dała mi różę. Wróciłem wtedy do domu szczęśliwy, że jest ktoś na świecie, kto zwrócił na mnie uwagę i nie odepchnął od siebie”.

Niedługo uczył się Andersen w tej małej szkółce. Ponieważ nie było czym opłacać dalszej nauki, pożegnał się więc wkrótce z zakładem pana Carstena.

Po wielu latach, gdy Andersen zdobył już światową sławę, stary, siwy Carsten, oprowadzając licznych gości zwiedzających Odense, zwykł zawsze mawiać:

„Tak, tak, na pewno państwo mi nie uwierzycie, że ja, biedny, stary człowiek, byłem pierwszym nauczycielem naszego najślawniejszego poety”.

Wróćmy jednak do dalszych kolei życia Jana Christiana.

Babka z matką po naradzie rodzinnej postanowiły oddać chłopca do warsztatu sukienniczego. Lecz i tu długo nie zagrzał miejsca. Najmłodszy z wszystkich pracowników, ogromnie przy tym nieśmiały i niezaradny, był przedmiotem nieustannych szturchańców i kpin ze strony majstra i czeladników.

I znów samotny, dwunastoletni chłopiec zaczął się snuć po miasteczku z głową nabitą marzeniami o teatrze, o wierszach i dramatach, o sławie czekającej na niego w dalekim świecie. Pragnął wydostać się z Odense, wyjechać do stolicy, jakby czuł, że tam spełnią się jego marzenia. Ale przedtem trzeba było coś umieć, czegoś się nauczyć, ukończyć szkoły. Z zazdrością spoglądał na szczęśliwców uczęszczających do gimnazjum, do którego nie każdy miał dostęp, a które było czymś nieosiągalnym dla syna ubogiego szewca. Gimnazjaliści darzyli Andersena pogardliwym uśmiechem.

„Ilekroć bawili się na podwórzu - pisze później poeta - stawałem przed zakratowanymi wrotami, zaglądałem przez szparę i marzyłem o tym, aby znaleźć się wśród chłopców nie po to, by bawić się wraz z nimi, lecz by móc czytać te wszystkie książki, które były ich własnością, a także dlatego, że przed nimi stał cały świat otworem”.

Musi czymś zostać, musi uciec stąd, tak dalej być nie może. Myśli te nie dawały mu spokoju. A może zostać wielkim śpiewakiem, może aktorem, dramaturgiem, poetą?

Miał wówczas dźwięczny, chłopięcy głos, więc zaczął śpiewać. Posłuchajmy znów pamiętnika pisarza:

„Stawałem na niewielkim kamieniu, który służył mej matce jako deska do prania bielizny nad rzeczką, i śpiewałem na wolnym powietrzu wszystkie pieśni, jakie tylko znałem. Często były to słowa bez związku i melodie, jakie przychodziły mi wówczas do głowy”.

Przez krótki czas uczęszczał do szkółki dla biednych, gdzie uczono religii, czytania, pisania i rachunków. I tu także nie dano mu spokoju. Pewnego razu, po lekcjach, otoczyła go cała zgraja chłopaków; potracali go, bili, śmiejąc się wskazywali nań palcami: „To ten, co pisze wiersze i komedie! Patrzcie, patrzcie, on skończy jak dziadek!”

W 1818 roku matka Christiana wyszła po raz drugi za mąż za Nielsa Gundersena, który objął po ojcu warsztat szewski. Rodzina zaczęła się znowu zastanawiać nad losami Janka i wspólnie uradziła, że odda się go na naukę do krawca.

Terminował tedy Jan Christian u mistrza krawieckiego w Odense, ale ani na chwilę nie opuszczały go marzenia o scenie. Odkładał grosz do grosza ze swoich skromnych oszczędności i całymi wieczorami przesiadywał nad książką. Pożywała mu je pani Bunkeflod, wdowa po pastorze, dzięki której zapoznał się Andersen z przekładami dramatów Szekspira<sup>3</sup>. Było to wielkim przeżyciem dla młodego chłopca snującego rojenia o teatrze.

Wszystko, co od tej chwili czyni, wszystko, o czym myśli, podporządkowane jest jednemu celowi - przygotowaniom do wyjazdu z Odense. Ten nieśmiały, ośmieszany przez swych rówieśników chłopiec zdobywa się na odwagę i odwiedza jednego z najbardziej poważanych obywateli w Odense, księgarza Iversena. Zwierza mu się ze swych planów i otrzymuje od niego list polecający do znanej tancerki, pani Schall, w Kopenhadze. Andersen ma już odłożoną skromną sumkę - dziesięć talarów; wydaje mu się, że posiada dostateczne środki na wyjazd. Zwierza się matce ze swego postanowienia. Musiała wyczytać w oczach syna jakąś niezłomną chęć i upór gotowy przełamać wszelkie przeszkody, bo w końcu ustąpiła, chociaż z ciężkim sercem, pełna obaw i troski o los swego jedynaka.

„Zbliżał się ostatni dzień mego pobytu w domu - pisze Andersen. - Matka, zapłakana, układała moje rzeczy w małym węzełku. Umówiła się z poczytionem, który za trzy talary wziął mnie ze sobą jako tak zwanego pasażera na gapę. Matka z babką odprowadziły mnie do bramy miejskiej. Rzuciły mi się na szyję i zapłakały”.

Babki już więcej nie ujrzał. Umarła po roku.

„Poczytion dał trąbką znak odjazdu. Było piękne, słoneczne popołudnie, toteż zrobiło mi się wkrótce lżej na duszy.

<sup>3</sup> William Szekspir (1564-1616) - największy dramaturg angielski, którego utwory są znane na całym świecie.

Wszystko było dla mnie nowe i cieszyło mnie ogromnie. Jechałem przecież naprzeciw wytęsknionemu celowi. Kiedy jednak byłem już w Nyborgu, a okręt oddalał się coraz bardziej od mej rodzinnej wyspy, dopiero wtedy poczułem się samotny i opuszczony...”

## W KOPENHADZE

Było to w poniedziałek 5 września 1819 roku, gdy z ubogim węzełkiem w ręku i dziesięciu talarami w kieszeni znalazł się czternastoletni Jan Christian sam w wielkim mieście, w stolicy Danii, Kopenhadze.

Ulice są opustoszałe tego wrześniowego poranku, a nieliczni przechodnie zatrzymują się na widok dziwnie przyodzianego chłopca. Jakże śmiesznie musiał wyglądać pośród schludnych, pięknych ulic i domów w swym olbrzymim, szerokim kapeluszu ojcowskim, który zakrywał mu oczy, w wytartym, przydługim jego surducie, w ciężkich buciorach i za dużych na niego ojcowskich spodniach. Był to najlepszy przyodziewek, w jaki mogła go zaopatrzyć biedna matka. Pierwszą noc spędza w tanim domu zajezdnym, w nędznej klitce na stryszku.

Nazajutrz już od świtu rozpoczyna swą wędrówkę po mieście, w poszukiwaniu pracy. Pierwsze kroki kieruje w stronę Teatru Królewskiego.

Dyrektor teatru, pan Holsztein, przyjął go z niemałym zdumieniem i długo przyglądał się chudemu, blademu chłopcu o osobliwym wyglądzie i jeszcze dziwniejszym stroju, który na zapytanie, co go tu sprowadza, zawołał:

„Chcę grać na scenie, w prawdziwym teatrze!”

Zapał chłopca nie udzielił się widać dyrektorowi, który odprawił go szorstko, mówiąc, że do Teatru Jego Królewskiej Mości nie można angażować dzieci z ulicy, bez wykształcenia.

Samotny, pozbawiony jakiegokolwiek oparcia, błądzi znów Andersen po ulicach Kopenhagi. Za wysupłane z węzełka ostatnie grosze, które mu pozostały po opłaceniu noclegu, kupił bilet do teatru. Wystawiano wówczas operę pt. „Paweł i Wirginia”.

Przez cały czas trwania akcji chłopiec nie może oderwać oczu od sceny, śmieje się i płacze ze wzruszenia i tak żywo reaguje na wszystko, że zwraca na siebie powszechną uwagę. Jedna z pań widząc zapłakanego, wynędzniałego wyrostka wsunęła mu do ręki kromkę chleba z masłem. Był to pierwszy posiłek Andersena tego dnia.

Następnego dnia od rana znów wyrusza na miasto. Szuka mieszkania pani

Schall, tancerki Teatru Królewskiego. W rękę trzyma kurczowo pismo do niej, które dostał od księgarza w Odense. Po długiej wędrówce znalazł się wreszcie przed jej drzwiami. Z lękiem dotknął dzwonka i padł na kolana modląc się żarliwie. Właśnie przechodziła służąca i widząc klęczącego wcisnęła mu monetę do ręki. Wzięto go za żebraka.

Andersen jest w rozpacz. Dzwoni ponownie. Tym razem wpuszczają go do domu. Przyjmuje go sama pani Schall. Jan Christian wręcza jej bilet polecający od pana Iversa. Ale tancerka przeczytawszy pismo, patrzy na chłopca ze zdumieniem. Nie przypomina już sobie, by znała kiedykolwiek księgarza z Odense. Andersen bojąc się, iż znów zamkną drzwi przed nim, błaga ją rozpaczliwie, by pomogła mu dostać się do teatru. To wszystko wydaje się pani Schall nieprawdopodobne, ale zgadza się na to, by chłopiec zagrał przed nią jakąś scenę. Chłopak, dla którego wielkim przeżyciem w Odense było przedstawienie „kopciuszka”, zdejmuje ciężkie buciory i rozpoczyna taniec z tej sztuki.

Aktorka i jej goście są coraz bardziej zdumieni, a nawet lekko przerażeni. Andersena jakby opuściła nieśmiałość, nie patrzy na nikogo, wywija rękami, tańczy i śpiewa wystukując rytm na swym kapeluszu jak na bębnie. Musiał wyglądać śmiesznie i niesamowicie, bo pani Schall odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy już ten dziwny tancerz zniknął za drzwiami.

Zrozpaczony, głodny, bez dachu nad głową, błąka się po ludnych, jasno oświetlonych ulicach wielkiego miasta. Przypadkowo spotkana, a poznana jeszcze na statku jadącym z Nyborga do Kopenhagi, pani zaopiekowała się nieszczęśliwym, samotnym chłopcem i oddała go do terminu u stolarza. Za łyżkę stawy i nędzne posłanie Jan Christian zostaje popychadłem całej rodziny majstra, narażony na upokorzenia, kuksańce, wymysły i kpiny. Andersen czuje, że niczego się tu nie nauczy, że dłużej tych ponizeń i szturchańców nie zniesie. Opuszcza stolarnię i znów rozpoczyna na nowo swą walkę o życie i sławę.

Jeszcze wiele musi wycierpieć, wiele znieść upokorzeń, ciężko naborykać się z losem, zanim zwycięży.

Czego się nie chwycił w tym ciężkim okresie, by utrzymać się przy życiu! Niekiedy ogarniała go taka rozpacz, że chciał rzucić wszystko i wracać do Odense, innym znów razem nawiedzały go myśli samobójcze. Lecz niezłomne postanowienie przetrwania za wszelką cenę i głęboko ukryta, ale niezwalczona wiara w przyszłość wstrzymały go od tego rozpaczliwego kroku. Siła woli, hart ducha, miłość sztuki i mocne pragnienie służenia jej są jego sojusznikami w tych nierównych zapasach.

Podczas jednej ze swych wędrówek po mieście o głodzie i chłodzie przeczytał na afiszach nazwisko dyrektora konserwatorium muzycznego w Kopenhadze, pana Siboniego. Dowiaduje się o nazwę ulicy, gdzie mieści się uczelnia muzyczna. Szybko, szybko, jakby gnany nieznaną siłą pędzi przez miasto. Po długim błędzeniu odnajduje wreszcie mieszkanie Siboniego. Jest pora obiadowa. Już na schodach dolatuje go gwar głosów. Dzwoni. Gospodyni wpuszcza go do salonu. W dużym pokoju, pełnym obrazów, nut i książek zobaczył liczne towarzystwo<sup>^</sup> W większości kompozytorzy i muzycy. Wszyscy z ciekawością spoglądają na chłopca, który jękając się, blednąc i czerwieniejąc na przemian błaga o przyjęcie do konserwatorium.

Siboni siada do fortepianu. Andersen zaczyna śpiewać. Odtwarza sceny z utworów znanego duńskiego poety, Ludwika Holberga, recytuje jakieś wiersze. W końcu jest tak wyczerpany, że wybucha głośnym łkaniem. Wszyscy obecni są mocno wzruszeni. Siboni przyrzeka mu, że uczyni wszystko, aby wykształcić go na śpiewaka chóru królewskiego. Zatrzymuje Andersena u siebie. Zaczynają się codzienne ćwiczenia głosu i próby tańca w balecie.

Mija kilka miesięcy. Już wydawało się, że los uśmiechnął się do Jana Christiana. Tym boleśniejszy był cios, który go dotknął. Przeszedł mutację i stracił swój jasny, dźwięczny, piękny głos. Częste przeziębienia i chrypki z powodu podartych butów dokonały reszty.

Następuje smutna scena, kiedy Siboni wręcza mu trochę pieniędzy na drogę, żegna się z nim i radzi wracać do Odense, aby tam nauczył się jakiegoś rzemiosła.

Datę rozstania się z Sibonim i teatrem będzie pamiętał przez długie lata:

„Było to pod koniec sezonu teatralnego w maju 1822 roku, kiedy otrzymałem z dyrekcji teatru drugi list, w którym doniesiono mi, że rezygnują ze mnie z dniem dzisiejszym, i to zarówno w odniesieniu do szkoły, chóru, jak i tańców”.

Jan Christian i teraz się nie poddaje. Każdą wolną od zarobkowych, dorywczych zajęć chwilę spędza na czytaniu. Niemal codziennie zjawia się w bibliotece publicznej w Kopenhadze wysoki, blady chłopiec z jasnymi włosami, o jasnoniebieskich oczach, nędznie odziany, który przez długie godziny siedzi tak zatopiony w lekturze, że nieraz nie słyszy dzwonków wzywających do opuszczenia sali czytelnianej. Pochłania dzieła Waltera Scotta, czyta Szekspira.

Rzeczywistość oddalała się wówczas coraz bardziej od niego, Andersen zapomniał o głodzie, chłodzie, samotności i niepewnym jutrze.

„To nic - powtarza sobie z uporem - napiszę taki utwór sceniczny, że będą się

musieli ze mną liczyć”.

Pisze wtedy swój pierwszy dramat pt. „Słońce elfów”. Przypadkowo dowiaduje się, że tłumacz dzieł Szekspira, pan Wulff, mieszka w Kopenhadze. Nie namyślając się długo, biegnie do niego.

Trzymając rękopis w drżących rękach wyrzuca z siebie jak w gorączce słowa, które Wulff w dniach sławy Andersena kiedyś mu przypomniał:

„Pan tłumaczył Szekspira? Ogromnie lubię tego poetę, ale ja też napisałem dramat, musi mnie pan wysłuchać”.

Po czym jednym tchem czyta mu swój utwór, a kiedy kończy czytanie, żegna się słowami: „Czy naprawdę nic ze mnie nie będzie, tak bym pragnął stać się kimś”.

Dzięki poparciu ze strony życzliwych sobie ludzi dramat „Słońce elfów\*\*” zostaje przesłany wraz z przychylną oceną do Teatru Królewskiego. Utwór ten nie był na pewno arcydziełem, lecz zdradzał pewien talent młodocianego autora. Przekazanie go w ręce radcy dworu, pana Jonasa Collina, ówczesnego dyrektora Teatru Królewskiego, było szczęśliwym dla Andersena przypadkiem.

Pan Collin zainteresował się utalentowanym zapaleńcem i zdobył dla niego u króla Fryderyka VI stypendium. To była jedyna właściwa w tym wypadku i rzetelna pomoc. Pan Collin umożliwił Andersenowi uczęszczanie do gimnazjum: Wybrał zakład w Slagelse.

W dzień przed wyjazdem do tego miasta zjawił się Andersen u swego opiekuna, by się z nim pożegnać. Radca życzył mu powodzenia w nauce i prosił, by mu szczerze i otwarcie pisał o tym, jak mu się w nowej szkole będzie wiodło.

Był piękny, jesienny dzień, 26 października 1822 roku, kiedy siedemnastoletni Andersen znalazł się w dyliżansie pocztowym wiozącym go do Slagelse. Radosny i pełen wielkich nadziei wysłał list do matki, donosząc jej o swym niespodziewanym szczęściu.

## SLAGELSE I HELSINGÖR

Już od pierwszych dni pobytu w szkole, do której wrywał się całą duszą, doznaje Andersen przykrego zawodu.

„Otrzymałem miejsce w szkole - pisze - wśród uczniów jednej z najniższych klas, gdyż absolutnie nie miałem o niczym zielonego pojęcia i byłem naprawdę jak dziki ptak, którego umieszczono w klatce”.

Zamieszkał u pewnej wdowy w malutkiej klitce na poddaszu. Niskie okienko

wychodziło na rozległe pola i widok ten był dla młodego gimnazjalisty jedynym ukojeniem w smutnym okresie jego lat szkolnych. Nauka szła mu ciężko, mimo iż miał duże zdolności i właściwie mógłby szybko nadrobić swe braki i opóźnienia. Tłumiła wszystko jednakże nieprzyjazna atmosfera, która go od samego początku otoczyła w Slagelse.

Podczas lekcji narażony był na drwiny ze strony kolegów, a często i niektórych wykładowców, których niecierpliwił ten nadmiernie wyrośnięty młodzieniec, z takim trudem, z tak wielkimi oporami przyswajający sobie wiedzę szkolną. Jego chorobliwa wprost nieśmiałość czyniła go jeszcze bardziej niezgrabnym, a dość szczególna, odmienna wymowa i akcentowanie słów budziły wśród jego kolegów śmiech i szyderstwo. Stał się w tych warunkach jeszcze bardziej załęczony, milczący i zamknięty w sobie. Lecz Jan Christian zaciął się i nie ustawał w pracy. Na swym poddaszu do późnej nocy przesiadywał nad książkami.

„Miałem najszczerzą chęć, by się czegoś nauczyć, lecz wówczas szedłem jeszcze jak po omacku, zachowywałem się jak człowiek nie umiejący pływać i rzucony na pełne morze. Jedno było dla mnie ważne - za wszelką cenę posuwać się naprzód. Fala za falą pochłaniały mnie i zatapiały, jedna nazywała się matematyką, druga gramatyką, geografiją itd.”

Wkrótce usilna praca zaczęła wydawać owoce, Andersen czyni widoczne postępy. Nawet i wtedy jednak nie spotkał się z życzliwością ze strony otoczenia, nikt nie podszedł do niego z dobrym słowem, nie podniósł go na duchu, nie zachęcił do dalszych wysiłków.

Rektorem szkoły był Szymon Meisling, człowiek surowy i zgryźliwy. Był postrachem uczniów, a nawet i nauczyciele bali się jego humorów, kąśliwego języka, drwin i złośliwości. Do Jana Christiana poczuł od pierwszej chwili żywą niechęć i obrał go sobie za cel swych docinków i ironicznych uwag.

W chwilach szczególnie ciężkich marzy się Andersenowi dom rodzinny i matka, której jeszcze ani razu od czasu wyjazdu nie odwiedził.

„Na samą myśl o odwiedzinach - wspomina - przeszłość i przyszłość stanęły przede mną jakby słońcem prześwietlone. Czułem się tak bogaty i szczęśliwy, serce moje przepełnione było radością i tęsknotą”.

Z małym węzełkiem w ręku, naprzód statkiem, a potem piechotą odbywa swą podróż ze Slagelse do Odense. W czasie tej wędrówki wydawało mu się, że po raz pierwszy ujrzał swą ojczyznę. Nie może nasycić oczu widokiem malowniczych miasteczek rozrzuconych na zielonych wysepkach. Już ma przed sobą

Svendborg, które, tak jak Odense, leży na Fionii. Mija tonące w zieleni wsie rybackie, wchłania w siebie słony zapach rozwieszonych na wierzbach sieci. Gdy słońce zapadło, rozległy się ze wszystkich stron dźwięki dzwonów, wydawało mu się nawet, że słyszy dzwon starego kościółka Św. Kanuta w Odense. Z daleka błyszczą ognie przy brzegu zatoki, to rybacy szykują się do nocnego połowu węgorzy.

Jakżeż mu to bliskie i drogie, jakże dobrze znane! Coraz bardziej zacierają się w sercu gorzkie wspomnienia związane ze szkołą. Radość przywitań, szczęście matki dumnej ze swego syna-gimnazjalisty pozwalają zapomnieć o cierpieniu i smutku.

Nigdy nie dowiedziała się matka, ile głodu i upokorzeń zniósł jej syn w Kopenhadze ani też o tym, ile udręki mieściło się dla niego w słowie „Slagelse”.

Lecz trzeba było wracać. Znowu nadeszły zimne dni w szkole, nieustanna, twarda praca nad sobą i samotne marzenia o szczęściu snute w małej mansardzie z widokiem na pola i obracające się skrzydła wiatraków.

I właśnie wówczas zaczyna uciekać od nieprzyjaznej rzeczywistości w uroczy świat fantazji. Młodzieńcza wyobraźnia przekształca trudne i niewesołe życie w czarodziejski kraj baśni, gdzie zwierzęta, ptaki, rośliny i przedmioty martwe były lepszymi przyjaciółmi niż otaczający go ludzie. Upokarzany, bezbronny i onieśmielony w swej nadmiernej wrażliwości czuł się jak brzydkie kaczątko zaczepiane przez kaczki, dziobane przez kury, kopane przez służące, które wreszcie zmieniło się w białego łabędzia i pofrunęło daleko na spotkanie pięknych przygód.

Jasnym wspomnieniem z czasów udręki pozostały dla Andersena niedzielne wycieczki piesze, które odbywał zwiedzając wsie i osady leżące w sąsiedztwie Slagelse. Często droga prowadziła go do Söro, gdzie mieszkał znakomity poeta duński, Bernard S. Ingemann. W jego domu znalazł ubogi młodzieniec wiele serdeczności i zainteresowania swym losem. Podczas wakacji spędził tu niejedną szczęśliwą dzień, jeżdżąc wraz z gospodarzem po jeziorze i łowiąc ryby, patrzył w niebo i zwierzał się życzliwemu sobie pisarzowi ze swych literackich marzeń.

Najgorsze wszakże czasy nastąpiły dla Andersena, gdy przeniósł się z Slagelse do Helsingör, gdzie rektor Meisling otrzymał nowe stanowisko w tamtejszym gimnazjum.

Helsingör należy do najpiękniejszych miejscowości Dani. To urocze miasteczko tonące w zieleni, leżące nad rzeką Oresund, po której krążyło mnóstwo



statków i łodzi, pozostawiło w pamięci Andersena najprzykrzejsze wspomnienia. Zamieszkał bowiem w domu rektora, gdzie panował rygor niemalże koszarowy. Pan Meisling mógł teraz i w szkole, i w domu znęcać się nad swym wychowankiem.

„Moje życie w owych dniach - pisze Andersen - wynurza się zawsze przede mną we wspomnieniach jak zły sen... Były to ciężkie, gorzkie czasy, pięć kwartałów spędziłem w domu rektora w Helsingör”.

Szczególny gniew wzbudzały w rektorze wiersze, które pisał Andersen. Gdy pewnego dnia ktoś doniósł, że jego wychowanek napisał utwór pt. „Umierające dziecko”, wezwał Jana Christiana do siebie i łając go surowo za trwonienie czasu zagroził wyrzuceniem ze szkoły.

Jan Christian znosił te dokuczliwości ze strony rektora cierpliwie i w milczeniu i rzadko w listach do pana Collina uskarżał się na swój los.

Pewnego dnia otrzymał jednak list od swego opiekuna, w którym ten każe mu przerwać naukę i wrócić natychmiast do Kopenhagi. Decyzję tę powziął pod wpływem jednego z nauczycieli ze szkoły w Helsingör, który bawiąc w Kopenhadze doniósł mu o cierpieniach jego wychowanka.

## SŁAWA

W kwietniu 1827 roku Andersen wraca do Kopenhagi. W domu pana Collina znajduje to czego mu brakowało w Slagelse i Helsingör. Z synami i córkami pana Collina połączyły Andersena więzy niemal rodzinnych uczuć, w przyjaznym klimacie tego domu jego lękliwa nieśmiałość ustępowała wierze we własne siły, a uzdolnienia mogły się rozwijać bez zahamowań budząc nowe nadzieje. Uczył się niezmordowanie, przygotowując się do egzaminów końcowych dzięki zaś wstawiennictwu swego opiekuna otrzymał niewielkie stypendium rządowe. Mój więc opłacać prywatnego nauczyciela.

Wreszcie po roku usilnej pracy otrzymuje upragnione świadectwo dojrzałości i zapisuje się na uniwersytet. Bieda, głód i upokorzenie jeszcze i teraz towarzyszą młodemu studentów skromny zasiłek z królewskich funduszy przeznaczonych na popieranie kultury nie zawsze starcza na mieszkanie, książki i wyżywienie. Często musi korzystać, buntując się wewnętrzną z filantropii bogatych mieszczan kopenhaskich.

„Kilka rodzin udzieliło mi miejsca przy swoim stole, stałem się czymś w ro-

dzaju stołownika jak wielu biednych studentów w Kopenhadze...” - pisze Andersen w swej autobiograf!

A ileż było dni, gdy w porze obiadu udawał przed swą gospodynią, że śpieszy do traktierni, w rzeczywistości zaś przechadzał się nad brzegiem morza zając kromkę suchego chleba.

Obok wyteżonych studiów uniwersyteckich rozwija podówczas Andersen ożywioną działalność literacką. Pisze wiersze oraz wiemy swej miłości do teatru tworzy komedie i dramaty Jego pełne humoru i delikatnej ironii utwory poetyckie ukazują się drukiem w piśmie satyrycznym „Latająca Poczta”, jedna z pierwszych zaś jego komedii pt. „Miłość na wieży Św. Mikołaja” albo „Co mówi parter” została przyjęta i wystawiona przez Teatr Królewski dnia 15 kwietnia; 1829 roku. Kiedy w gmachu, spod którego woźny jeszcze nie tak dawno odpędzał obdartego chłopca, rozległy się oklaski i okrzyki „Autor, autor”, Andersen nie mogąc opamiętać łez szczęścia; wymknął się z widowni i nieprzytomny niemal ze wzruszenia biegł przez rojne ulice Kopenhagi.

Latem 1830 roku wyrusza Andersen na dłuższą wędrówkę po swym ojczystym kraju. Zwiedza Jutlandię i Zelandię, przemierza osady i miasteczka rozsiane gęsto wśród wzgórz, lasów rozległych łąk i pastwisk, rozmawia z pastuszkami na polach, z mieszkańcami cichych wiosek z rybakami i marynarzami w portach. Odwiedza wówczas raz jeszcze swe rodzimie strony nad Fionii.

Podczas włości poznał Andersen w mieście Faaborg pannę Riborg Voigt i przeżył swój pierwszy dramat nieodwzajemnionej miłości. Poświęcił swej ukochanej o brązowych oczach wiele wierszy i poematów, które ukazały się drukiem w roku 1831 w zbiorze pt. „Fantazji i szkice”.

Aby rozproszyć smutne nastroje, w których pograżył się młody poeta pod wpływem nie szczęśliwej miłości, nieoceniony jego opiekun, radca Collin, raz jeszcze wyciąga do artysty pomocną dłoń i umożliwia mu wyjazd za granicę, do Niemiec. Andersen w maju i czerwcu roku 1831 zwiedza Góry Harzu, Saksę Szwajcarię, Berlin i zaprzyjaźnia się z niemieckim poetą Adalbertem von Chamisso. Po powrocie drukuje „Sylwetki z podróży”, gdzie zamknął swe wrażenia z pobytu w Niemczech.

W następnych latach Andersen pisze wiersze, między innymi poemat pt. „Dwanaście miesięcy roku”, wydane w 1832r., i nadal tworzy dla teatru, bez większego jednakże powodzenia, Jego droga do sławy była trudna i ciernista, wiele jeszcze musiał przeżyć, zanim zdobył rozgłos: nie oszczędzone mu były cierpienia zranionej dumy i ambicji twórczej, musiał jeszcze przez długie lata

przebijać się przez gąszcz obojętności swych rodaków, znosić złośliwości krytyki, a czasem nawet ostre wypady przeciw sobie i jadowite przycinki, i żarty. Jego sztuki i powieści nie zawsze spotykały się z życzliwym przyjęciem w Danii i nie one rozślawiły jego imię, ale baśnie, te baśnie, które Andersen zaczął pisać traktując je raczej jako wytchnienie po trudach „poważnej” twórczości.

Nie namawiali go początkowo do tej pracy i jego przyjaciele, odradzając mu pisanie tego rodzaju „nieliterackich” utworów. Ale Andersen raz odnalazłszy swe prawdziwe posłannictwo, już nie porzucił swej drogi i obok sztuk teatralnych, wierszy i powieści powstawać zaczęły naprzód nieśmiało, potem coraz częściej andersenowskie baśnie.

Wielkim przeżyciem dla poety była jego pierwsza dłuższa podróż po Europie, jeśli nie Uczyć krótkotrwałego wypadu do Niemiec. W roku 1833 otrzymawszy stypendium znów za wstawiennictwem opatrznosciowego pana Collina wyrusza do Paryża, a stąd przez Szwajcarię do Włoch. Piękno przyrody włoskiej, bogactwo dzieł sztuki, wspaniałe pomniki kultury Rzymu budzą w poecie taki zachwyt i wzruszenie, że nie wystarcza mu już dla ich wyrażenia pióro, sięga po ołówek, zaczyna rysować.

„Stałem się całkowicie rysownikiem i nawet artyści dodają mi otuchy i chwałą moje dobre oko. Tak czy owak ta wielka ilość szkiców, bo ponad sto, to prawdziwy dla mnie skarb, który mi jeszcze w domu sprawi wiele radości. Och, gdybym się był uczył rysunków!” - pisze Andersen.

Widok wspaniałych pałaców Wenecji czy Florencji nie przesłania jednakże poecie prawdy o życiu ludu włoskiego. Po zwiedzeniu starożytnego Paestum pisze poeta:

„Ujrzałem tam biedną, ślełą dziewczynkę, całą w łachmanach, która była taką pięknością jak ożywiony posąg. Wpięła kilka niebieskich fiołków w swe czarne jak węgiel włosy. To była jej cała ozdoba”.

Wspomnienie tej włoskiej dziewczyny ożyje później w baśniach pisanych przez Andersena.

W Rzymie zbliża się Andersen do grupy studiujących tu skandynawskich malarzy i poznaje Thorwaldsena<sup>4</sup>, wielkiego duńskiego rzeźbiarza, z którym połączyła go głęboka przyjaźń, trwająca wiele lat, aż do śmierci artysty. Pamięci tego rzeźbiarza poświęcił Andersen swój piękny utwór pt. „Książka z obrazkami bez

<sup>4</sup> Bertel Thorwaldsen (1768 - 1844) - sławny rzeźbiarz duński. W r. 1820 bawił w Polsce. Dziełem jego dłuta są pomniki księcia Józefa Poniatowskiego i Mikołaja Kopernika w Warszawie.

obrazków”.

We Włoszech powstaje obok wierszy i dramatów jego autobiograficzna powieść pt. „Improwizator”, dość ciepło przyjęta przez krytykę i przetłumaczona wkrótce na wiele języków europejskich. Wiele momentów z życia poety zawarła również inna napisana po powrocie do kraju powieść Andersena pt. „O. T.”.

Lata pobytu za granicą miały wielkie znaczenie dla rozwoju talentu pisarza. Zapoznał się ze sztuką i literaturą europejską, nawiązał liczne znajomości pośród wybitnych twórców swoich czasów. Ale podczas podróży, we Włoszech, dośięga go bolesny cios. W starym szpitaliku franciszkanów w Odense, tym samym, w którym przebywał jego dziad, umarła matka Andersena. Śmierć matki wstrząsnęła pisarzem, poczuł się jeszcze bardziej samotny na świecie.

W roku 1834 Andersen wraca do Danii. W kilka miesięcy po ukazaniu się „Improwizatora” drukuje mimo oporu przyjaciół swój pierwszy tomik „Baśni, opowiadanych dzieciom”.

„Na nic rady przyjacielskie - pisze Andersen. - Żyłem i obracałem się w kręgu baśni, których tylu nasłuchiwałem się w dzieciństwie i w czasie wędrówek po naszych wyspach; nie mogłem się od nich oderwać, me mogłem się oprzeć wspomnieniom dzieciństwa”.

Nie od razu podbiły one Danię, a za nią cały świat. Ale Andersen nie zraża się trudnościami. Osiedla się w głuszy leśnej nad piaszczystym brzegiem jeziora, „gdzie z gęstwiny wybiegały dziki, a boćki stawały na jednej nodze, gdzie panowała cisza nie zmacona najlżejszym gwarem miejskim”.

„Moje baśnie - twierdził pisarz - przeznaczone są zarówno dla starszych, jak i dla dzieci. Te ostatnie rozumieją tylko zewnętrzny tok, a ludzie dojrzały odczuwają ich głębszą treść”.

A w jednym z listów do Jonasa Collina czytamy: „Postawiłem sobie za cel, by stać się poetą dla wszystkich, niezależnie od wieku, naiwność to tylko jedna cząstka mych baśni, humor bowiem stanowi ich sól”.

W roku 1835 ukazał się drugi tomik „Baśni”, w 1837 - trzeci, i odtąd dzieci duńskie pod każdą świąteczną choinką oczekiwały nowej książeczki swego ukochanego pisarza.

Wkrótce baśnie zostały przetłumaczone na wszystkie prawie języki europejskie. Odtąd rozpoczyna się światowa sława Andersena - baśniopisarza. Jego wiersze, poematy, powieści, komedie i dramaty (a napisał ich jeszcze wiele w swym długim życiu) poszły w zapomnienie, a jego baśnie zdobyły serca czytelników spośród różnych ras i narodów od Ameryki po Japonię, Indie i Afrykę i

rozslawiły imię wielkiego Duńczyka po całym świecie. Poetycki czar baśni andersenowskich zwyciężył wszystkie granice. Przełożono je już na ponad trzydzieści języków, między innymi na chiński, arabski, bengalski, hindi.

Czytają je dzieci, czyta młodzież, czytają starsi. Piękno i prostota języka, miłość do świata i ludzi, gorące współczucie dla pokrzywdzonych i słabych, a nade wszystko siła wyobraźni ożywiającej wszystko dokoła - podbijają czytelników pod każdą szerokością geograficzną. Pełno w nich wspomnień z własnego życia poety, z lat trudnych zmagania ubogiego chłopca z losem. W oczach samego pisarza jego własne dzieje wydają się cudem i baśnią, tak nieprawdopodobną była w ówczesnym świecie droga wiodąca od nędznej izby szewca-łaciarza do zamków i pałaców magnackich, gdzie przyjmowano sławnego autora z otwartymi rękami. Tak też ujmie pisarz swoją historię w książce autobiograficznej pt. „Baśń mego życia”.

Cechą wspólną andersenowskich baśni jest głęboki humanitaryzm i wrażliwość na krzywdę, a nawet rzewne współczucie dla przedmiotów martwych, które ożywia fantazja nadając im cechy człowiecze. Andersen wnika głęboko w duszę człowieka, dostrzega wszystkie jej zalety i wady. Z właściwą sobie subtelną ironią ośmiesza plotkarzy, pyszałków, skąpców, chytrych bogaczy i zarozumiałych głupców, odsłania fałsz i zakłamanie panujące na królewskich dworach, piętnuje służalstwo dworzan, obojętność i pychę władców, egoizm posiadaczy i przeciwstawia im męstwo, szczerłość, dobroć i szlachetność ludzi prostych. Bliższy mu jest smutek i ludzkie cierpienie, każda jego baśń przepojona jest żywym współczuciem dla nieszczęśliwych, poniżonych i uciśnionych.

W świecie jego baśni bohaterami są przeważnie ludzie biedni, którzy poznali w życiu głód, nędzę i poniewierkę. Serce pisarza, który sam od dzieciństwa tak twardo borykał się z losem, czułe jest szczególnie na dolę bezbronnych istot, narażonych na ciosy życia. Dlatego też tyle ciepła i rzewnych myśli poświęca dzieciom, sierotom, starcom. W baśni jego, jak zawsze w twórczości ludu, sprawiedliwość w końcu zwycięża i dobro tryumfuje, a zło otrzymuje zasłużoną karę.

Większość baśni Andersena związana jest z codziennym życiem ludzi, z ich troskami, radością, niepokojem, umie on bowiem w sposób sobie tylko właściwy łączyć fantazję z rzeczywistością i przeplatać je wzajemnie, rozpinając nad wszystkim czarodziejski welon poezji.

Pisarz lubił opowiadać swe baśnie dzieciom, wiele z jego utworów zrodziło się właśnie podczas takich bezpośrednich zetknięć z młodymi słuchaczami. Syn Jonasa Collina, Edward, notuje w swoich wspomnieniach o Andersenie:

„Pośród kół, w których obracał się codziennie, były oczywiście dzieci, im też poświęcił wiele czasu opowiadając przeróżne historie, które bądź to w danej chwili sam wymyślał, bądź powtarzał ze znanych baśni. Niezależnie od tego, czy opowiadał własne, czy cudze, czynił to tak żywo i ciekawie, że dzieci były nim zachwycone - słowa toczyły się nieprzerwanie, swobodnie, zdobne w bogactwo zwrotów językowych, a podkreślał je mimiką bliską dziecięcym umysłom. Nawet w najbardziej zwyczajne zdanie potrafił on tchnąć życie. Nigdy np. nie mówił: »Dzieci wsiadły do wozu i pojechały«, ale zawsze rozpoczynał: »A więc wdrapały się na wóz. Bądź zdrów, ojcze, żegnaj, matko! A bicz klasnął «klicz, klacz» i pojechały hen, daleko...«”.

Przyszedł czas w jego życiu, gdy mógł opowiadać swe baśnie dzieciom królów i książąt, którzy zapraszali sławnego pisarza na swe dwory. Największe rody magnackie w Danii uważały za zaszczyt goszczenie Andersena w swych zamkach, wiele miesięcy w roku spędzał on na przykład w wielkopańskich siedzibach duńskich w Lykkesholm i w Glorup na Fionii, w Nysoi Bregenstred na Zelandii, w Basnaes i w Holsteinborg, rozkoszując się pięknem przyrody, a nade wszystko spokojem i ciszą, które sprzyjały jego pracy literackiej.

Właściwie nigdy nie osiedlił się na stałe, pozostał zawsze samotny, choć miał setki oddanych przyjaciół, zadowalał się skromnymi pokoikami w hotelach i pensjonatach, a kupno własnego łóżka napawało go przerażeniem, bał się bowiem, że własne meble i mieszkanie przykują go do jednego miejsca. Jego namiętnością stały się podróże.

„Podróżować to żyć” - mawiał Andersen porównując się do wędrownego ptaka, który tysiące mil przelatuje w pogoni za słońcem i ciepłem. Był chyba jednym z niewielu Duńczyków swoich czasów, który tyle podróżował. Nie było państwa w Europie zachodniej, którego by nie zwiedził, wielokrotnie bywał w Szwecji i Norwegii, w Niemczech, we Francji i Szwajcarii, pojechał do Portugalii i Hiszpanii, odbył wycieczkę na Wschód, poznał Turcję i Bałkany, oglądał ruiny Akropolu w Grecji, zachwycił się krajobrazem Sycylii, zachodami słońca na Morzu Śródziemnym i barwnym rojowiskiem wschodnich bazarów. Jego notatniki i wrażenia z tych wędrówek po świecie publikowane co kilka lat w Danii świadczą o jego wielkiej wrażliwości na piękno natury i sztuki i wskazują na jego rozległą wiedzę i dużą zdolność obserwacji życia.

Nie zapominajmy, że Andersen wiele swych podróży odbywał jeszcze w staroświeckim dylizansie, dopiero bowiem od lat czterdziestych mógł korzystać z do-

brodziejstw kolei żelaznej. Kiedy po raz pierwszy wsiadał w Niemczech do pociągu, zawołał z zachwytem: „Teraz dopiero wiem, co to jest ciąg ptaków, teraz dopiero rozumiem, co to znaczy przemierzać ziemię!”

Wierzył w postęp, cieszył go każdy wynalazek ludzkiego umysłu, który służył dobru powszechnemu.

Kiedy Louis Jacques Daguerre<sup>5</sup> odkrył w 1838 roku zasady fotografiki, Andersen oglądając swe zdjęcie pisze do przyjaciela: „Cóż pan powie o wynalazku Daguerra? Jestem nim zachwycony. Jakże łatwo będzie nam w przyszłości utrwalić zdjęcia najwspanialszych pomników, obrazów i najpiękniejszych miejsc na świecie!”

Podczas swych podróży nawiązywał znajomości z najwybitniejszymi ludźmi swej epoki, w Paryżu poznał Balzaka i Aleksandra Dumasa, w Niemczech wielkich kompozytorów Liszta i Wagnera, był przyjacielem filozofów, artystów i uczonych na całym świecie.

Podczas pobytu w Anglii odwiedził wielkiego powieściopisarza Dickensa, który zawsze z wielkim podziwem wyrażał się o jego baśniach. Autora „Dawida Copperfielda” ujmował andersenowski łagodny humor i śmiech przez łzy, zbliżyły zaś tych twórców właściwa im obu miłość człowieka i głęboka wrażliwość na ludzką krzywdę.

Z każdym rokiem wzrastała sława Andersena, otaczała go miłość i cześć rodaków, i podziw cudzoziemców. Jego rodzinne miasteczko Odense, które widziało pierwsze kroki małego marzyciela, nadało wielkiemu pisarzowi obywatelstwo honorowe. W dniu 23 listopada 1867 roku przeżył tu Andersen wzruszające chwile. Jasno iluminowane domy i ulice, nieprzeliczone tłumy ludzi, które tu ściągnęły z najdalszych okolic, i dzieci, setki dzieci, które wieńcami, kwieciami i śpiewem witały swego poetę. Otoczony dziećmi, do późna w noc musiał im opowiadać swe baśnie. Łzy stanęły w oczach starego pisarza, gdy słyszał, jak jeden z zasłużonych ojców miasta, Petersen, mówił do zgromadzonych:

„Przed niespełną pięćdziesięciu laty opuścił biedny chłopiec swoje miasteczko rodzinne, by rozpocząć walkę. Wyjechał cicho i niepostrzeżenie, gdyż nie był nikomu znany i nikt nie zwrócił na niego uwagi. Tylko dwie kobiety, matka i babka, odprowadziły go daleko, a ich życzenia i modły towarzyszyły mu w wędrówce. Teraz Andersen odniósł zwycięstwo. Oto stoi przed nami szanowany i

<sup>5</sup> Louis Jacques Mandé Daguerre (czyt. Dager; 1789 - 1851) - malarz francuski, w r. 1838 wynalazł sposób utrwalania zdjęć, stąd dawna nazwa fotografii - dagerotyp.

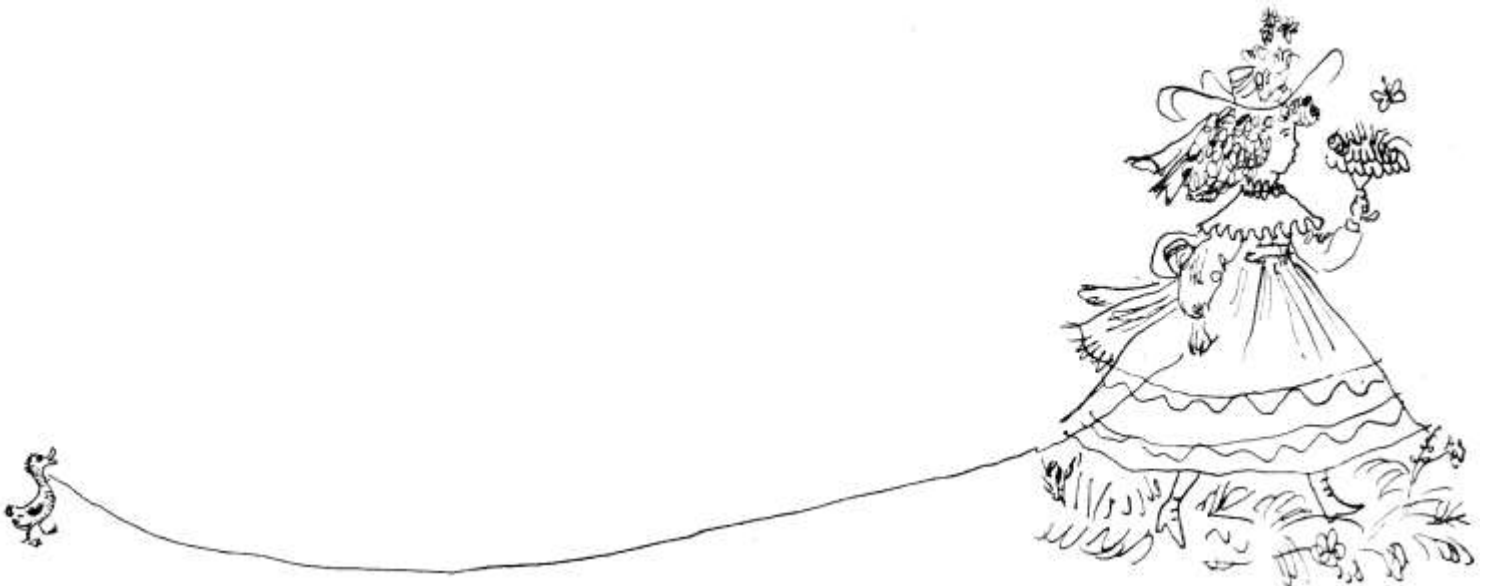
czczony przez królów i książąt i, co ma większe znaczenie, kochany i podziwiany przez swych rodaków, obywateli Danii”.

Kilka miesięcy przed zgonem pisarza cały kraj obchodził uroczyste siedemdziesięciolecie jego urodzin, oddając hołd swemu wielkiemu obywatelowi. Do ostatniej chwili życia Andersen tworzył, a gdy nie mógł już pisać, dyktował swej starej przyjaciółce i wielbicielce pani Melchior, żonie znanego kupca w Rørlighed. Właśnie podczas pobytu w domu tej serdecznie mu oddanej rodziny zmarł dnia 4 sierpnia 1875 roku. Całą Danię okryła żałoba.

Pośród niezliczonych telegramów, wieńców i kwiatów od dworu królewskiego, od mieszkańców Danii i przyjaciół zagranicznych, od dzieci całego świata widniał jeden skromny napis, który w kilku słowach powiedział najgłębszą prawdę o wielkim baśniopisarzu:

*Ty żyjesz, chociaż martwe masz powieki,  
Bo w sercach dzieci trwać będziesz na wieki.*

ANNA MILSKA







Był sobie pewnego razu bardzo ubogi książę. Miał księstwo małe, ale dość duże na to, by mógł się ożenić; a chciał się właśnie żenić! Było to co prawda zuchwalstwo, że odważył się spytać córkę cesarza: „Czy chcesz mnie mieć za męża?”, ale jednak ośmielił się to uczynić, bo imię jego było sławne na cały świat. Tysiąc księżniczek zgodziłoby się chętnie, ale dowiedcie się zaraz, co uczyniła córka cesarza.

Zatem słuchajcie.

Na grobie ojca księcia rósł krzak róży, cudny krzak róży. Zakwitał tylko raz na pięć lat, i to jedną jedyną różą. Ale ta róża pachniała tak słodko, że wachając ją zapominało się o wszystkich zmartwieniach i troskach. Miał też książę słowika, który tak pięknie śpiewał, jak gdyby w jego gardziołku mieściły się wszystkie niebiańskie melodie. Tę różę i tego słowika miała dostać księżniczka; w tym celu różę i słowika włożono do srebrnych szkatulek i tak posłano je księżniczce.

Cesarz kazał przynieść dary do wielkiej sali, gdzie księżniczka bawiła się z damami dworu w „gości”; przez cały Boży dzień nie robiły nic innego. Gdy zobaczyła duże szkatułki z darami, klasnęła z radości w ręce i zawołała:

- Ach, gdyby to był maleńki kotek! - Ale w szkatułce była cudna róża.
- Jakże ładnie zrobiona! - powiedziały wszystkie damy dworu.
- Jest więcej niż ładna - powiedział cesarz. - Jest piękna. Lecz księżniczka powąchała różę i była bliska płaczu.
- Fe, ojczulku - powiedziała - to nie jest sztuczna róża, tylko prawdziwa.
- Fe - powiedziały wszystkie damy dworu - prawdziwa!
- Zanim się zaczniemy gniewać, zobaczmy, co jest w drugim pudle - powiedział cesarz; wyjęto słowika, który zaczął tak pięknie śpiewać, że nie można mu było nic zarzucić!
- Superbe! Charmant!<sup>6</sup> - zawołały damy dworu, gdyż paplały wszystkie po francusku, jedna gorzej od drugiej.
- Jakżeż ten ptak przypomina mi pozytywkę świętej pamięci cesarzowej - powiedział stary marszałek dworu - zupełnie ten sam ton, ten sam wyraz!
- Tak - powiedział cesarz i rozplakał się jak dziecko.
- Chyba to nie jest żywy słowik! - powiedziała księżniczka.
- To żywy ptak - powiedzieli ci, którzy przynieśli dary.
- W takim razie wypuście go! - zawołała księżniczka i w żaden sposób nie chciała widzieć księcia.

Ale on nie tracił nadziei; posmarował sobie twarz na brązowo i czarno, wcisnął głęboko na oczy czapkę i zapukał do drzwi.

- Dzień dobry, cesarzu - powiedział - czy mógłbym dostać jakąś służbę na dworze?

- Wielu ludzi szuka tu pracy - odpowiedział cesarz - ale zobaczmy, potrzebuję kogoś, kto by mi pilnował świń, których mamy bardzo dużo. W ten sposób książę został cesarskim świniopasem. Dostał na mieszkanie ciasną, brzydką komórkę obok świńskich chlewów i miał w niej pozostać; cały dzień pracował, a kiedy nadszedł wieczór, zrobił prześliczny, mały garnuszek z dzwoneczkami wokoło; kiedy w garnku gotowało się, dzwoneczki dzwoniły ślicznie i grały starą melodię:

*Ach, kochany Augustynie,  
Wszystko minie, mnie, minie!*

Ale największa sztuka polegała na tym, że kiedy się trzymało palce nad parą wydobywającą się z garnka, można było natychmiast poczuć zapach wszystkich potraw, jakie gotowały się we wszystkich kuchniach miasta; no, to było przecie coś zupełnie innego niż jakaś tam róża.

<sup>6</sup> Wspaniały! Zachwycający!

- Księżniczka poszła ze wszystkimi damami dworu na spacer i usłyszawszy melodię uradowała się niezwykle, bo właśnie to potrafiła grać. „Ach, kochany Augustynie”, była to jedyna melodia, którą umiała zagrać, i to tylko jednym palcem.

- To właśnie tylko umiem! - powiedziała. - Musi to być wykształcony świniopas! Słuchaj, idź do niego i spytaj, ile kosztuje ten instrument! Jedna z dam dworu musiała pójść, ale przedtem włożyła drewniaki na nogi.

- Ile chcesz za ten garnek? - spytała dama.

- Chcę dziesięć pocałunków księżniczki! - powiedział świniopas.

- Na litość boską! - zawołała dama dworu.

- Ani jednego mniej! - odpowiedział świniopas.

- Co on mówił? - spytała księżniczka.

- Nie mogę tego powtórzyć! - odezwała się dama dworu. - To potworne!

- Możesz mi szepnąć do ucha! - Więc szepnęła.

- Jaki niegrzeczny! - powiedziała księżniczka i szybko odeszła, ale gdy przeszła kawałek drogi, dzwoneczki zadzwoniły cudnie:

*Ach, kochany Augustynie,  
Wszystko minie, minie, minie!*

- Poczekaj! - powiedziała księżniczka. - Spytaj go, czy nie wystarczy mu dziesięć pocałunków dam dworu!

- Dziękuję! - odrzekł świniopas. - Dziesięć pocałunków księżniczki albo nic z garnka!

- Cóż to za uparte stworzenie! - powiedziała księżniczka. - Musicie mnie zasłonić, żeby nikt tego nie widział!

I damy dworu ustawiły się naokoło, rozpostarły swoje suknie i świniopas otrzymał swoje dziesięć pocałunków, a księżniczka dostała garnek. Co to była za radość! Przez cały wieczór i przez cały dzień musiało się gotować w garnku; nie było w całym mieście ani jednej kuchni, o której nie wiedziano by, co się w niej gotuje, począwszy od kuchni marszałka dworu, a skończywszy na szewcu. Damy dworu tańczyły i klaskały w ręce.

- Wiemy, kto będzie jadł słodką zupę i pączki. Wiemy, kto będzie miał kaszę i pieczeń. Jakie to ciekawe!

- Niezmiernie ciekawe! - powiedziała ochmistrzyni dworu.

- Nie gadajcie za dużo, zapominacie, że jestem córką cesarza!

- Rozumie się! - powiedziały wszystkie.

Świniopas, to jest ksiązę (ale nikt nie wiedział, że nie jest prawdziwym świniopasem), nie tracił czasu i coraz to robił coś innego; teraz zmajstrował grzechotkę, która przy potrząsaniu grała najpiękniejsze walce, polki, oberki, jakie wymyślono od początku świata.

- To jest superbe! - powiedziała księżniczka idąc koło chlewów.

- Nigdy jeszcze nie słyszałam piękniejszej kompozycji! Słuchaj no, idź do niego i spytaj, ile ten instrument kosztuje; o pocałunkach nie ma mowy!

- Chce sto całusów księżniczki! - powiedziała dama dworu wróciwszy od świniopasa.

- Oszalał chyba! - powiedziała księżniczka i odeszła; ale kiedy uszła mały kawałek, zatrzymała się. - Trzeba popierać sztukę! - powiedziała.

- Jestem córką cesarza! Powiedz mu, że dostanie jak wczoraj dziesięć pocałunków, a resztę od dam dworu!

- Ach, nie bardzo się nam chce! - powiedziały damy dworu.

- To próżne gadanie! - powiedziała księżniczka. - Skoro ja go całowałam, wy możecie też się poświęcić. Pomyślcie tylko, damę wam utrzymanie i pensję!

- Wobec tego dama dworu musiała znowu pójść do świniopasa.

- Sto całusów księżniczki - odpowiedział - lub każdy zostaje przy swoim!

- Ustawić się! - powiedziała księżniczka. I wszystkie damy dworu ustawiły się naokoło, by ją zasłonić, a on zaczął całować.

- Co to może być za zbiegowisko tam obok chlewów? - powiedział cesarz, który się zjawił na balkonie; przetarł oczy i nałożył okulary. - To jakaś sprawka dam dworu; muszę zejść na dół! - Wsunął głębiej pantofle, bo były bardzo przydeptane.

Jakże się śpieszył!

Zszedł na podwórze i skradał się po cichu, a damy dworu były tak zajęte liczeniem pocałunków i pilnowaniem, aby wszystko odbyło się uczciwie i aby świniopas nie dostał ich ani za dużo, ani za mało, że nie zauważyły go wcale. Cesarz wspiął się na palcach.

- Co to jest? - zawołał, zobaczywszy całującą się parę, i rzucił w nich pantoflem akurat w chwili, gdy świniopas otrzymywał osiemdziesiąty szósty pocałunek. - Precz! - powiedział cesarz, bo był bardzo zły.

I kazał księżniczkę i świniopasa wyrzucić z granic cesarstwa. Wtedy księżniczka zaczęła płakać, świniopas żartował, a deszcz lał strumieniami.

- Ach, ja nieszczęsna! - powiedziała księżniczka. - Dlaczego nie zgodziłam się być żoną pięknego księcia. Ach, jakże jestem nieszczęśliwa! Świniopas skrył się

za drzewem, starł brązową i czarną farbę z twarzy, zrzucił nędzne ubranie i wystąpił w całym książęcym przepychu, tak piękny, że księżniczka mu się ukloniła.

- Ukazałem się, by ci wyrazić mą pogardę! - powiedział. - Nie chciałaś prawdziwego księcia; nie poznałaś się na róży i słowiku; a świniopasa całowałaś, aby dostać grającą zabawkę! Masz teraz za to! I poszedł sobie do swojego królestwa, zatrzasnąwszy i zaryglowawszy jej drzwi przed nosem; mogła sobie teraz stać na dworze i śpiewać:

*Ach, kochany Augustynie,  
Wszystko minie, minie, minie!*



# D Z I E L N Y O Ł O W I A N Y Ż O Ł N I E R Z



Było sobie pewnego razu dwudziestu pięciu ołowianych żołnierzy; wszyscy byli braćmi, bo wszyscy urodzili się z jednej starej łyżki. Broń trzymali na ramieniu, a głowy sztywno; mundury mieli wspaniałe, czerwone i niebieskie. „Ołowiane żołnierzyki!” - to były pierwsze słowa, które doszły do ich uszu, gdy otworzyła się pokrywka pudełka, w którym leżały. Tak zawołał pewien mały chłopczyk, klaszcząc przy tym w ręce; dostał on żołnierzy w dniu swych urodzin i właśnie ustawił ich na stole. Żołnierze byli zupełnie podobni do siebie i tylko jeden jedyny był trochę inny: miał tylko jedną nogę, gdyż ulano go na ostatku i nie starczyło już ołowiu. Pomimo to stał tak samo pewnie na jednej nodze jak inni na dwóch, i właśnie ten żołnierz bez nogi wyróżnił się najbardziej.

Na stole, gdzie ustawiono żołnierzy, stało dużo innych zabawek, ale najbardziej rzucał się w oczy śliczny papierowy zamek; przez maleńkie okienka można

było zajrzeć do środka. Przed zamkiem stały małe drzewa naokoło małego lusterka, które miało naśladować jezioro; łabędzie z wosku pływały po tym jeziorze i odbijały się w jego tafli. Wszystko to było prześliczne, ale najpiękniejsza była maleńka panienka, stojąca pośrodku otwartej bramy zamkowej. Była tak samo wycięta z papieru, ale miała suknię z białego tiulu, a niebieska wstążeczka, spięta na ramieniu, tworzyła szal, ozdobiony złotymi cekinami, tak dużymi jak cała jej twarzyczka.

Panienka miała obie ręce wyciągnięte przed siebie, gdyż była tancerką; jedną nóżkę podniosła wysoko w górę, żołnierz nie mógł jej wcale dojrzeć i myślał, że, podobnie jak on, miała tylko jedną nogę.

„To byłaby w sam raz żona dla mnie! - pomyślał żołnierz. - Ale jest tak wytworna, mieszka w zamku, a ja posiadam tylko jedno pudełko, i to wspólnie z dwudziestu pięciu towarzyszami; nie jest to miejsce dla niej! Muszę się jednak z nią zaznajomić!” Potem położył się za tabakierą stojącą na stole; stamtąd mógł dobrze obejrzeć uroczą, maleńką damę, która wciąż, nie tracąc równowagi, stała na jednej nóżce.

Kiedy nadszedł wieczór, żołnierze wrócili do pudełka, a wszyscy ludzie w domu poszli spać.

Teraz zabawki zaczęły się bawić w najrozmaitsze zabawy: w „gości”, w „wojnę” i w „bal”; żołnierze brzęczeli w pudełku, bo chcieli się też zabawić, ale nie mogli podnieść pokrywki.

Dziadek do orzechów zaczął fikać koziółki, szyferek bawił się z tabliczką; był taki hałas, że kanarek obudził się i zaczął mówić - i to wierszem.

Jedynie ołowiany żołnierz i mała tancerka nie poruszali się ze swych miejsc - ona stała na palcach jednej nóżki, z rękami wyciągniętymi przed siebie; on stał na jednej nodze i ani na chwilę nie odrywał od niej oczu.

Dwunasta godzina wybiła na zegarze i - trach! odskoczyła pokrywka tabakierki, ale w środku nie było tabaki, tylko maleńki, czarny diabełek; była to prawdziwie czarodziejska sztuka.

- Żołnierzu! - powiedział diabełek. - Czy nie chciałbyś lepiej zachować oczu dla siebie!

Ale żołnierz udawał, że nie słyszy.

- Porachujemy się jutro - powiedział diabełek.

Nazajutrz rano, kiedy dzieci wstały, postawiono żołnierza na oknie i nie wiadomo, czy diabełek to sprawił, czy przeciąg, dość, że nagle okno otworzyło się i żołnierz spadł głową na dół z trzeciego piętra. Była to straszliwa jazda! Żołnierz



podniósł w górę nogę i stanął na czapce, a bagnet jego utkwiał pomiędzy brukowymi kamieniami. Służąca i chłopczyk zaraz zeszli, by go odszukać, ale mimo że ledwie na niego nie nadepnęli, nie mogli go dojrzeć. Gdyby żołnierz zawołał: „Tu jestem!” - znaleźliby go z pewnością, ale nie uważał za stosowne krzyknąć - był przecież w mundurze.

Zaczął padać deszcz, krople były coraz gęstsze, prawdziwa ulewa! Kiedy przestało padać, przyszło dwóch uliczników.

- Patrz no! - powiedział jeden - tam leży ołowiany żołnierz! Niech się przejeździe łódką.

Zrobili więc z gazety łódkę, posadzili w niej żołnierza i puścili z biegiem rynsztoka; obaj chłopcy lecieli obok i klaskali w ręce. Na Boga, jakie wielkie fale były w rynsztoku! Papierowa łódka kołysała się w górę i w dół, to znów obracała się w kółko, tak że w żołnierzyku zamierało serce, ale nie pokazał tego po sobie, pozostał niewzruszony, patrzył prosto przed siebie i broń trzymał na ramieniu.

Nagle łódka wpłynęła pod długą kładkę i zrobiło się ciemno jak w pudełku.

„Dokąd płynę? - myślał żołnierz. - Tak, na pewno to przez tego diabełka! Ach, gdyby tu przy mnie w łodzi była ta panienska z zamku, nic bym sobie nie robił z ciemności, nawet dwa razy większych.”

Nagle zjawił się olbrzymi szczur wodny, który mieszkał pod kładką rynsztoka.

- Czy masz paszport?- spytał szczur.- Pokaż mi zaraz twój paszport. Ale żołnierz milczał i tylko mocniej trzymał broń. Łódź pomknęła prędzej, a szczur za nią. Uh! Jakże zgrzytał zębami i jak głośno wołał do płynących słomek i drewienek:

- Trzymać go! Trzymać! Nie zapłacił cła! Nie pokazał swego paszportu!

Ale prąd był coraz silniejszy; żołnierz tam, gdzie się kończyła kładka, widział już światło dnia; jednocześnie słyszał jakiś złowrogi szum, który mógłby przerazić najodważniejszego człowieka. Tam, gdzie kończyła się deska, spływała z szumem woda do kanału, co byłoby dla żołnierzyka tak niebezpieczne jak dla nas spłynięcie łodzią do olbrzymiego wodospadu.

Zbliżył się teraz tak bardzo, że nie mógł się już zatrzymać. Łódka rwała naprzód, a biedny żołnierzyk trzymał się sztywno. Nikt nie mógł powiedzieć, że miał strach w oczach. Łódka przechyliła się na bok i nabierała po brzegi wody, tak że musiała zatonać; żołnierz stał po szyję w wodzie, a łódka zagłębiała się coraz więcej i więcej; coraz bardziej rozmiękał papier! woda zaczęła już zalewać głowę żołnierzowi i wtedy pomyślał sobie o małej, ślicznej tancerce, której nie miał już nigdy zobaczyć, a w uszach zabrzmiały mu słowa:

*Naprzód, naprzód, w bój, żołnierzu!  
Naprzód, aż do śmierci!*

Papier rozpadł się, a żołnierz pogrążył się w wodzie, ale w tej samej chwili po-  
łknęła go wielka ryba.

Jakże ciemno było w jej wnętrzu! Jeszcze straszniej niż pod kładką rynsztoka!  
I tak ciasno!

Ale żołnierz był niewzruszony - leżał trzymając broń na ramieniu.

Ryba pływała i robiła najdziwniejsze podskoki; wreszcie uspokoiła się. Żołnie-  
rzowi wydawało się, że oświetliła go jakaś nagła błyskawica. Stało się zupełnie  
jasno i ktoś krzyknął głośno: „Ołowiany żołnierz!” Rybę schwytano, sprzedano  
na targu, wzięto ją do kuchni, gdzie kucharka przekrajała ją dużym nożem.  
Schwycała żołnierza w dwa palce i zaniósła do pokoju, gdzie wszyscy chcieli obej-  
rzeć tę dziwną istotę podróżującą w brzuchu ryby; ale żołnierz nie był z tego  
dumny. Postawiono go na stole i okazało się, że - jakież dziwne rzeczy zdarzają  
się na świecie - żołnierz znajdował się w tym samym pokoju, w którym był nie-  
gdyś; widział te same dzieci i te same zabawki stojące na stole; prześliczny za-  
mek z maleńką, uroczą tancerką; stała wciąż jeszcze na jednej nóżce, a drugą  
wznosiła wysoko w górę; i ona również nie zmieniła się.

To właśnie wzruszyło żołnierzyka; o mało co nie rozplakał się ołowianymi  
łzami, ale to nie wypadało. Patrzył tylko na nią i ona patrzyła na niego; ale nie  
mówili nic do siebie.

Wówczas jeden z chłopców schwycił żołnierza i nie mówiąc, dlaczego właści-  
wie to robi, rzucił go wprost do pieca; była to na pewno wina diabełka z taba-  
kierki.

Żołnierz stał w jasnym blasku płomienia i było mu niesłychanie gorąco, ale nie  
wiedział, czy pali go zwykły ogień, czy też ogień miłości. Stracił swe kolory, ale  
czy stało się to w czasie wędrówki, czy też z powodu zmartwienia - tego nikt nie  
mógł powiedzieć.

Patrzył na maleńką panienkę i ona patrzyła na niego; czuł, że topnieje; lecz  
wciąż jeszcze stał dzielnie, trzymał broń na ramieniu.

Nagle ktoś otworzył drzwi, wiatr porwał małą tancerkę i pofrunęła jak sylfida  
wprost do pieca, do ołowianego żołnierza, błysnęła płomieniem i już było po  
niej. A żołnierz roztopił się na bezkształtną masę i kiedy nazajutrz służąca wy-  
garniała popiół, znalazła go w postaci maleńkiego, ołowianego serduszka; z tan-  
cerki zaś pozostały jedynie cekinki, a i te poczerniały na węgiel.





Czy widziałeś kiedy taką prawdziwą starą szafę, szerniałą ze starości, ozdobioną rzeźbami i girlandami? Taka szafa stała właśnie w pewnym salonie, odziedziczona po prababce, i była od góry do dołu rzeźbiona w róże i tulipany, miała mnóstwo najosobliwszych ozdób, a pośród nich małe jelenie głowy wysuwały rogi. Pośrodku stał wyrzeźbiony w całej postaci człowiek, wyglądał zabawnie i szczyrzył zęby, bo trudno to było nazwać śmiechem, miał koźle nogi, małe różki na czole i długą brodę.

Dzieci w pokoju nazywały go zawsze koźlonogimnadipodgłównodowodzący-mgenerał-sierżantem, gdyż była to nazwa trudna do wymówienia i nie każdy mógł się poszczycić podobnym tytułem, a wyrzeźbić takiego pana było zadaniem nie byle jakim. No, więc sobie stał. Z miejsca swego spoglądał bezustannie na stolik pod lustrem, gdyż tam sterczała mała, urocza pastereczka z porcelany; miała pozłacane trzewiczki, sukienkę zgrabnie podpiętą czerwoną różą, do tego złoty kapelusik i kij pasterski - była prześliczna! Tuż obok niej stał mały kominiarz, czarny jak węgiel, zresztą także z porcelany; był tak samo czysty i wy-

tworny jak każdy inny, wyobrażał tylko kominiarza; ten, kto go zrobił z porcelany, mógł równie dobrze zrobić z niego księcia, było mu wszystko jedno.

Stał zgrabnie ze swą drabiną, a twarz miał białą i różową jak dziewczyna, co było może niewłaściwe, gdyż twarz kominiarza powinna być choć trochę czarna. Stał całkiem blisko pasterki; stali oboje tam, gdzie ich postawiono, a że ich tak właśnie postawiono obok siebie - zaręczyli się, bo byli dla siebie bardzo odpowiedni - oboje młodzi, oboje z jednakowej porcelany i on tak samo kruchy jak ona.

Tuż obok nich stała jeszcze jedna figurka, trzy razy większa od nich; był to stary Chińczyk, również z porcelany, który potrafił kiwać głową i utrzymywał, że jest dziadkiem małej pasterki, tylko że nie potrafił tego dowieść. Mówił, że ma nad nią władzę, i dlatego kiwał w stronę koźlonogonadipodgłównodowodzącego generał-sierżanta, który starał się o małą pasterkę.

- Będiesz miała męża - mówił stary Chińczyk. - Męża, który, jak mi się zdaje, zrobiony jest cały z mahoni, on może z ciebie uczynić koźlonogonadipodgłównodowodzącą generał-sierżantową, do niego należy cała szafa pełna srebra, nie licząc tego, co jest ukryte w tajnych schowkach.

- Ja nie chcę iść do ciemnej szafy - mówiła mała pastereczka. - Słyszałam, że on tam ma jedenaście porcelanowych żon.

- Więc ty możesz być dwunastą - zdecydował Chińczyk. - Tej nocy, gdy stara szafa zatrzeszczy, odbędzie się wasze wesele. Jest to tak pewne jak to, że jestem Chińczykiem. - To mówiąc kiwnął głową i zasnął.

Ale mała pasterka płakała i patrzyła na swego ukochanego, porcelanowego kominiarza.

- Chcę cię o coś prosić - powiedziała. - Chodź ze mną w szeroki świat, bo tutaj nie możemy zostać.

- Zrobię wszystko, czego chcesz - odrzekł kominiarczyk. - Idziemy natychmiast. Zdaje mi się, że mój zawód zapewni nam utrzymanie.

- Gdyby się nam tylko udało szczęśliwie zejść ze stołu - mówiła. - Nie będę szczęśliwa, dopóki nie wyruszę w szeroki świat.

Kominiarczyk pocieszył ją i pokazywał, jak ma stawiać małe nóżki na wyrzeźbionych rogach i połączonych girlandach, zdobiących nogę stołu; wziął także swą drabinę do pomocy i tak udało im się zejść na podłogę; ale kiedy zwrócili wzrok na starą szafę, ujrzeli tam wielkie poruszenie, wszystkie wyrzeźbione jelenie wysunęły głowy, podnosiły rogi i wykręcały szyje; koźlonoginadipodgłównodowodzący generał-sierżant skakał do góry i wołał do starego Chińczyka:

- Uciekają! Uciekają!

Przestraszyli się więc trochę i schowali czym prędzej w szufladzie komody. Leżały w niej trzy albo cztery niepełne talie kart i mały teatrzyk marionetek, sklecony, jak się dało; grano w nim właśnie komedię i wszystkie damy karo czy kier, trefl czy pik siedziały w pierwszym rzędzie i wachlowały się tulipanami, a za nimi stali waleci i pokazywali głowy od góry i od dołu tak, jak to bywa w kartach. Treścią sztuki były losy dwojga kochanków, którzy nie mogli się połączyć, i mała pasterka płakała, gdyż były to jakby jej własne dzieje.

- Nie wytrzymam - mówiła. - Muszę się wydostać z szuflady. - Ale gdy stanęli na podłodze i spojrzeli na stół, zobaczyli, że Chińczyk obudził się i trząsał się całym ciałem, od dołu był przecież nieruchomą kłodą.

- Stary Chińczyk nas goni! - krzyknęła pastereczka i padła na swe porcelanowe kolana, tak była zmartwiona.

- Mam myśl - rzekł kominiarz. - Ukryjmy się w wielkiej wazie, która stoi w rogu. Tam położymy się na różach i lawendzie i sypniemy mu soli w oczy, jak się tylko zbliży.

- To nie pomoże - powiedziała. - Zresztą wiem, że wielka waza i Chińczyk byli niegdyś zaręczeni, a taki stosunek pozostawia zawsze pewną zażyłość; nie, nie możemy zrobić nic innego, tylko wyruszyć w daleki świat.

- Czy masz rzeczywiście odwagę iść ze mną w daleki świat? - zapytał kominiarz. - Czy pomyślałaś o tym, jaki ten świat jest wielki, i że nigdy nie będziemy mogli tutaj powrócić?

- Pomyślałam - odrzekła.

Więc kominiarz spojrział na nią wymownie, a potem powiedział:

- Droga moja prowadzi przez komin, czy naprawdę masz odwagę przeleźć ze mną przez piec, przez żelazne ruszty i rury? Dopiero wtedy przedostaniemy się do komina, a tam ja potrafię się ruszać. Wejdziemy tak wysoko, że nie będą mogli się do nas dostać, a w górze znajdziemy otwór, który nas wyprowadzi w daleki świat.

I poprowadził ją do drzwiczek od pieca.

- Jak tam czarno! - powiedziała, ale poszła za nim zarówno przez ruszt, jak i przez rury, gdzie było ciemno jak w grobie.

- Teraz jesteśmy w kominie! - powiedział. - Patrz! Patrz! Tam w górze świeci najpiękniejsza gwiazda.

Była to prawdziwa gwiazda na niebie, która świeciła nad nimi, jak gdyby chciała im wskazać drogę. Wspinali się więc w górę; była to okropna droga, pod

górze, wciąż pod górę, ale on podtrzymywał ją i pomagał jej, i pokazywał jej najwygodniejsze miejsca, gdzie mogła stawiać swe małe porcelanowe nóżki, i tak dostali się wreszcie na brzeg komina, gdzie usiedli, bo byli bardzo zmęczeni, a co prawda mieli od czego być zmęczeni.

Niebo ze wszystkimi gwiazdami było wysoko nad nimi; a wszystkie dachy miasta nisko pod nimi; mogli spoglądać daleko wokoło siebie, daleko przed siebie, w szeroki świat.

Biedna pasterka nie wyobrażała sobie tego nigdy; oparła główkę o swego kominiarza i płakała tak, że złoto na jej pasku poodpadało.

- To za wiele dla mnie - mówiła. - Tego nie zniosę. Świat jest za duży. Chciałabym wrócić na stolik pod lustro. Nie będę nigdy szczęśliwa, dopóki tam nie wrócę. Poszłam za tobą w szeroki świat, więc możesz mnie teraz poprowadzić z powrotem, jeśli choć trochę mnie kochasz.

Kominiarz na próżno próbował pomówić z nią rozsądnie, mówił o starym Chińczyku i o kozłonogim nadpodgłównodowodzącym generał-sierżancie, szlochała tak strasznie i całowała

swego kominiarczyka tak, że musiał jej ulec, choć to było czystym szaleństwem.

Więc poszli z największymi trudnościami z powrotem przez komin i leźli przez wszystkie rury i ruszty, gdzie wcale nie było rozkosznie, aż znaleźli się w ciemnym piecu; teraz nasłuchiwali przy drzwiach, co się dzieje w pokoju. Ale w pokoju było zupełnie cicho; wyjrzeli... ach, stary Chińczyk leżał na podłodze, spadł ze stołu, kiedy chciał ich gonić, i stłukł się na trzy części; całe plecy rozpadły się, a głowa potoczyła się w kąt; kozłonogin nadpodgłównodowodzący generał-sierżant stał tam, gdzie zwykle, i rozmyślał.

- To straszne! - powiedziała pastereczka. - Dziadunio rozbił się na kawałki z naszej winy. Nie przeżyję tego! - I załamała swe małe rączki.

- Można go będzie skleić - powiedział kominiarz. - Można go będzie doskonale skleić. Nie rozpaczaj tak, jak mu skleja grzbiet i przylepią głowę, będzie znów jak nowy i jeszcze powie nam niejedno przykre słowo.

- Naprawdę? - zapytała.

A potem wdrapali się z powrotem na stół, gdzie poprzednio stali.

- Dalekośmy zaszli - rzekł kominiarz. - Mogliśmy sobie zaoszczędzić tych wszystkich trudów.

- Gdyby tylko skleili już starego dziadunia. Czy to będzie bardzo drogo kosztowało?

Dziadunia sklejono; rodzina kazała mu zlepić plecy, w szyję wprawiono nowy kołek, był jak

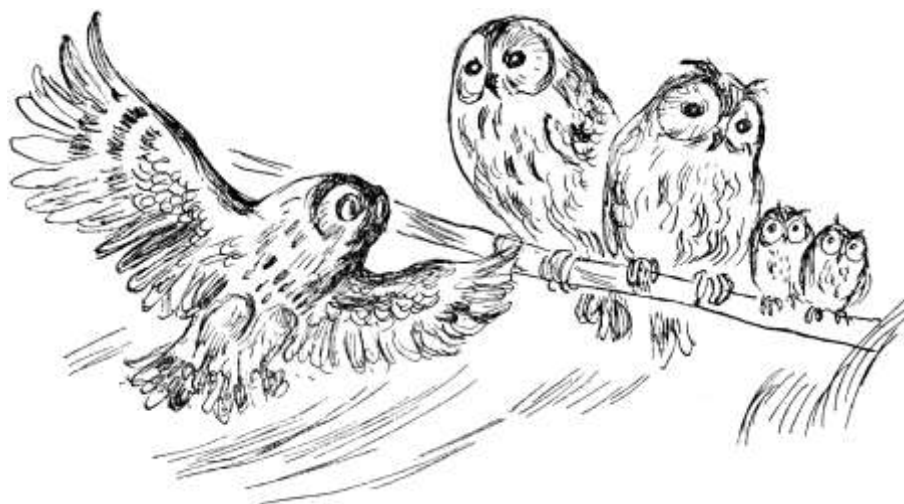
nowy, tylko głową kiwać już nie potrafił.

- Pan bardzo zhardział od czasu, kiedy się pan rozbił na kawałki - powiedział koźlonoginadipodgłównodowodzącygenerał-sierżant - nie wydaje mi się, żeby to był powód do dumy. Czy mam ją dostać, czy też jej nie dostanę?

Komisarz i pasterka spoglądali tak wzruszająco na starego Chińczyka; tak się bali, że kiwnie głową, ale nie mógł kiwnąć, a było mu nieprzyjemnie opowiadać obcemu, że ma wstawiony kołek w kark, wobec tego porcelanowi kochankowie połączyli się i błogosławili kołek dziadunia, i kochali się dotąd, dopóki się sami nie potłukli na kawałki.



# P E W N A   W I A D O M O Ś Ć



Straszna historia - powiedziała kwoka właśnie w tej stronie wsi, gdzie ta historia się nie wydarzyła. - Straszna historia w kurniku! Będę się bała spać sama w nocy. Jak to dobrze, że jest nas tyle na grzędzie. - I potem opowiedziała coś takiego, od czego innym kurom pierze stanęło dęba, a kogutowi opadł grzebień. To jest pewna wiadomość!

Ale zacznijmy od początku, a początku należy szukać w zupełnie innym kącie wsi, w kurniku. Słońce zaszło i kury pofrunęły na swoje grzędy, jedna z nich - była to biało upierzona, krótkonoga kwoka, składała swoje codzienne, obowiązkowe jajko i była kwoką zasługującą pod każdym względem na szacunek; kiedy usiadła na grzędzie, zaczęła się skubać dziobem i przy tym wypadło jej jedno małe piórko.

- Wypadło mi piórko - powiedziała. - Im się więcej skubię, tym jestem ładniejsza. - Powiedziała to tylko dla żartu, bo wśród kur była znaną śmieszką, mimo że, jak to już było powiedziane, zasługiwała na szacunek; potem zasnęła.

Dookoła było ciemno; kury siedziały obok siebie, a siedząca najbliżej kwoki nie spała; słyszała i nie słyszała, tak jak to należy robić na tym świecie, kiedy się chce mieć święty spokój. Odezwała się jednak do sąsiadki:

- Czy słyszałaś, jakie tu padły słowa? Nie chcę nikogo wymieniać, ale jest tu jedna kwoka, która oskubuje się, aby pięknie wyglądać; gdybym była kogutem, czułabym dla niej pogardę.

A nad kurami siedziała matka-sowa z sową-ojcem i swoimi dziećmi; rodzina ta miała dobry słuch i słyszała każde słowo, które mówiła ich sąsiadka-kwoka; sowy przewracały oczami, a matka-sowa powiedziała potrząsnawszy skrzydłami:

- Nie, tylko posłuchajcie! Ale pewnie już słyszeliście, jakie tam padły słowa. Ja słyszałam to na własne uszy, a trzeba dobrze słuchać, jeśli się ma uszy. Jest tam jedna kura, która do tego stopnia zapomniała, co przystoi kwoce, że siedzi i wyskubuje sobie wszystkie pióra i tak się prezentuje kogutowi.

- *Prenez garde aux enfants*<sup>7</sup> - powiedział ojciec-sowa - to nie jest wiadomość dla dzieci.

- Opowiem to jednak sowie z przeciwka. To bardzo szanowana sowa i prowadzi się bez zarzutu - to mówiąc, matka odfrunęła.

- Uhu, uuhu! - huczały obie tuż obok gołębnika należącego do sąsiada; wszystkie gołębie nasłuchiwały. - Czy słyszałyście? Czy słyszałyście? Uuhu, uuhu! Jest tam jedna kwoka, która wyskubała sobie wszystkie pióra, aby się podobać kogutowi, zamarznie na śmierć, jeżeli już nie zamarzła. Uuhu!

- Gdzie, gdzie? - gruchały gołębie.

- W kurniku sąsiada! Jakbym na to sama patrzyła. Wprost nie wypada opowiadać takich rzeczy, ale to jest pewna wiadomość.

- Wierzymy, wierzymy każdziutkiemu słowu! - zagruchały gołębie i rozgłosiły w kurniku na swoim podwórku: - Jedna kura (niektórzy mówią, że było ich dwie) wyskubała sobie wszystkie pióra, aby nie wyglądać jak inne i aby zwrócić na siebie uwagę koguta. To niebezpieczna gra. Można się przeziębnić i umrzeć z febry, toteż obie umarły.

- Obudźcie się, obudźcie się! - zapiał kogut i pofrunął na grzędę, miał jeszcze zaspane oczy, ale mimo to zapiał: - Trzy kury umarły z nieszczęśliwej miłości do koguta: wyskubały sobie wszystkie pióra. To obrzydliwa historia, nie chcę zatrzymać jej dla siebie, opowiedzcie ją dalej!

- Puśćcie ją w świat! - zagwizdały nietoperze, kury zagdakały, a koguty zapiały.

- Puśćcie ją w świat, puśćcie ją w świat! - Tak więc historia ta przechodziła z kurnika do kurnika, aż wróciła w końcu znowu do tego samego miejsca, skąd właściwie wyszła.

- Pięć kur - mówiono - wyskubało sobie pióra, aby pokazać, która z nich najbardziej schudła z nieszczęśliwej miłości do koguta, potem rzuciły się na siebie,

<sup>7</sup> Uważaj, dzieci słyszą, (fr.)

pobiły do krwi i padły martwe ku pośmiewisku i hańbie całej swej rodziny i ku wielkiej stracie właściciela.

A kura, której wypadło jedno pióro, nie poznała naturalnie swojej własnej historii, a ponieważ była kwoką godną szacunku, powiedziała:

- Pogardzam takimi kurami. Ale jest więcej kur podobnych! Czegoś takiego nie można przemilczeć. Postaram się, aby ta historia dostała się do gazet, potem dowie się o niej cały kraj; kury te zasłużyły sobie na to i ich rodzina także.

I wiadomość ta dostała się do gazet, i została wydrukowana; to jest pewna wiadomość, jedno piórko może się łatwo zmienić w pięć kur.

# P I Ę Ć   Z I A R N E K   G R O C H U



Było sobie pięć ziarenek grochu w jednym strączku; wszystkie były zielone i strączek był zielony, myślały więc, że cały świat jest zielony; to całkiem zrozumiałe. Strączek rósł i ziarnka groszku rosły, mimo że coraz ciasniej było im w ich mieszkaniu, jakoś sobie radziły i siedziały rzędem, jedno przy drugim. Słońce świeciło i ogrzewało strączek, deszcz go splukiwał, było ciepło i dobrze, jasno w dzień i ciemno w nocy, tak jak powinno być; ziarnka groszku stawały się coraz większe i coraz więcej myślały, bo czymś trzeba się przecież zająć.

- Czyż zawsze mamy tu tkwić? - pytały - stwardniejemy od tego długiego siedzenia. Wydaje nam się, że tam na dworze coś się dzieje; mamy jakieś przecucia!

Upłynęły tygodnie. Ziarnka grochu zrobiły się żółte i strączek także pożółkł.

- Cały świat żółknie - mówiły. I miały słuszość.

Nagle poczuły silny wstrząs; zerwano strączek, dostał się w ludzkie ręce, wraz z wieloma pełnymi strąkami znalazł się w kieszeni kurtki.

- Teraz już nam wkrótce otworzą - powiedziały i czekały na tę chwilę.

- Chciałbym teraz wiedzieć, który z nas zajdzie najdalej - powiedział najmniejszy groszek. - Zaraz się to okaże.

- Niech się stanie, co się ma stać - oświadczył największy. Trach! strączek pękł i wszystkie pięć groszków potoczyło się w jasnym blasku słońca: leżały w dziecięcej dłoni, pewien chłopczyk trzymał je i mówił, że byłyby to doskonałe naboje do jego procy; zaraz potem jeden z groszków dostał się do procy i został wystrzelony.

- Teraz lecę w daleki świat! Niech mnie schwyta, kto potrafi! - krzyknął groszek i poleciał.

- A ja lecę prosto do słońca - powiedziało drugie ziarnko groszku słońce to wspaniały strąk, w sam raz odpowiedni dla mnie. I poleciało.

- Gdziekolwiek się dostaniemy, będziemy sobie spały - powiedziały następne dwa ziarnka - ale mimo to potoczmy się trochę. - I rzeczywiście potoczyły się naprzód, po podłodze, wkrótce włożono je jednak do procy. - My zajdziemy najdalej! - krzyknęły.

- Niech się stanie, co się ma stać - powiedziało ostatnie ziarnko i wystrzeliło w powietrze, poleciało na starą deskę pod okno na poddaszu, wpadło do szpary wypchanej mchem i miękką ziemią, mech otulił je; leżało tam zapomniane, ale Bóg o nim nie zapomniał.

- Niech się stanie, co ma się stać - powiedziało.

W małym pokoiku na tym poddaszu mieszkała biedna kobieta, która ciężko pracowała, chodziła po domach i czyściła piece, rąbała drzewo - miała dużo sił i chęci do pracy, ale mimo to była wciąż w biedzie.

W domu, w małej izdebce na poddaszu, zostawiała swą jedyną niedorosłą córeczkę, delikatną i wątłą; dziewczynka przez cały rok leżała w łóżku i zdawało się, że nie może ani żyć, ani umrzeć.

- Pójdzie do swojej siostrzyczki - mówiła kobieta. - Miałam dwoje dzieci, było mi ciężko pracować na dwoje, ale Bóg podzielił się ze mną i jedno zabrał do siebie, teraz chciałabym bardzo zatrzymać sobie drugie; ale Bóg nie chce, aby dzieci były rozłączone, więc ta także odchodzi do siostrzyczki.

Ale chora dziewczynka nie odeszła. Leżała cierpliwie i spokojnie przez cały dzień, gdy matka wychodziła, aby coś zarobić.

Była wiosna i kiedy matka wczesnym rankiem szła do pracy, a słońce tak pięknie świeciło przez okno i promienie padały na podłogę pokoiku, chora dziewczynka wpatrywała się w najniższą szybę.

- Co to jest, to zielone, co wygląda zza szyby i porusza się na wietrze?

Matka podeszła do okna i uchylła je.

- Ach - powiedziała - to mały groszek, który wypuścił zielone listki! W jaki sposób mogło się to ziarno dostać do szpary? Masz teraz mały ogródek, na który możesz sobie patrzeć.

Przesunięto łóżko chorej bliżej okna, aby dziewczynka mogła patrzeć na kiełkujący groch, a matka poszła do roboty.

- Mamo, wydaje mi się, że wyzdrowieję - powiedziała dziewczynka wieczorem.

- Słońce grzało mnie dzisiaj tak mocno. Groszek przyjął się tak dobrze i ja na pewno także wyzdrowieję, wstanę i wyjdę na słońce.

- Daj Boże! - powiedziała matka, chociaż nie wierzyła, aby to się mogło stać; kijkiem podparła kiełkujący groch, który obudził tyle radosnych myśli w dziewczynce; nie chciała, aby go wiatr połamał. Koniec nitki przywiązała do parapetu okna i do górnej części ramy, aby pędy groszku miały się na czym oprzeć i piąć, strzelając w górę; widać było, jak groszek rozwija się z każdym dniem.

- Doprawdy, ma pączki! - powiedziała pewnego ranka kobieta i zaświtała jej nadzieja, że mała, chora dziewczynka wyzdrowieje; uprzytomniła sobie, że w ostatnich czasach mała ożywiła się, więcej mówiła, a w ciągu ostatnich dni sama siadała na łóżku i błyszczącymi oczami patrzyła na maleńki ogródek, który składał się z jednego ziarnka grochu. W tydzień później chora dziewczynka po raz pierwszy wstała na godzinę z łóżka. Uszczęśliwiona siedziała w promieniach ciepłego słońca; okno było otwarte, a przed oknem rósł w pełnym rozkwicie czerwono-biały kwiatek groszku. Dziewczynka pochyliła główkę i pocałowała ostrożnie delikatne płatki. Dzień ten był prawdziwym świętem.

- Pan Bóg sam posadził to ziarno i pozwolił rozkwitnąć roślince, aby dodać nadziei tobie, moje drogie dziecko, i mnie - powiedziała uszczęśliwiona matka i uśmiechnęła się do kwiatka jak do dobrego anioła zesłanego przez Boga.

A co się stało z innymi ziarnkami?

To, które poleciało w daleki świat, wołając: „Niech mnie schwyta, kto potrafi”, wpadło do rynny na dachu i dostało się do gołębnika, leżało tam jak Jonasz w brzuchu wieloryba.

Dwa leniwe ziarnka zostały pożarte przez gołębia. Przynajmniej na coś się przydały.

Ale czwarte ziarnko, to, które chciało się dostać do słońca, wpadło do rynsztoka, leżało tam dnie i tygodnie w stojącej wodzie i pęczniało.

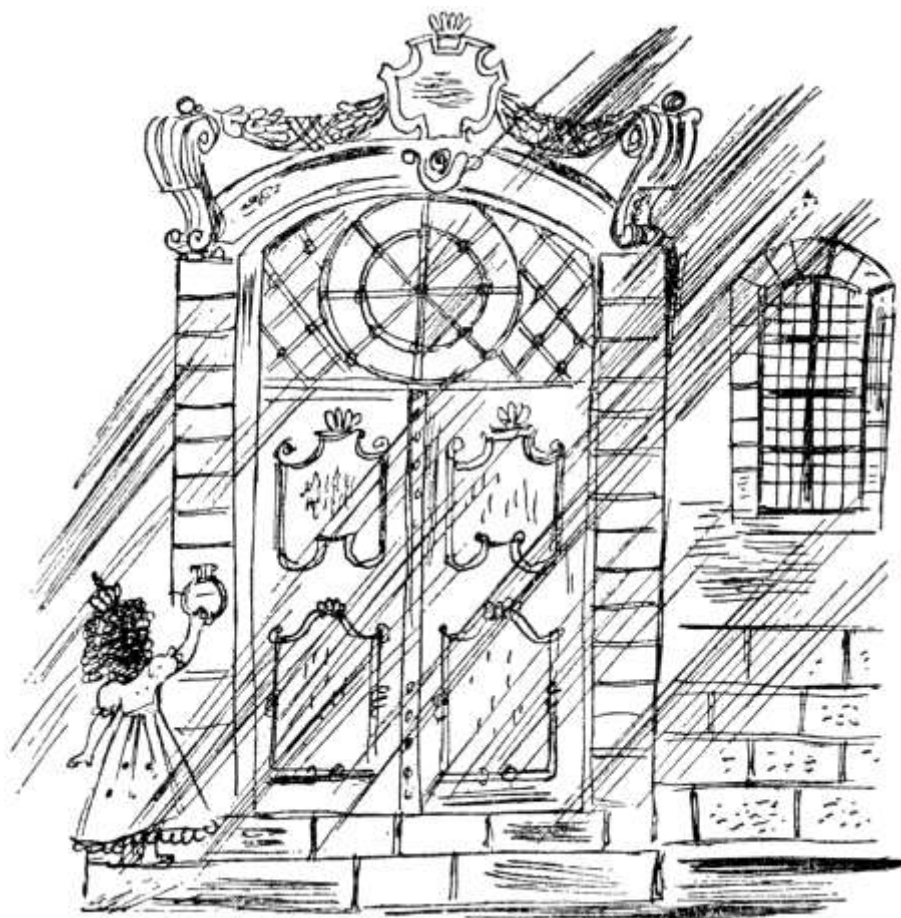
- Utyłem porządnie - powiedział groszek. - Pękam! Dalej nie może zajść i nie zaszło dalej chyba żadne ziarnko grochu. Jestem najniezwyklejsze ze wszystkich pięciu ziarenek w strączku.

A rynsztok podzielił to zdanie.

Przy oknie w pokoiku na poddaszu stała dziewczynka z błyszczącymi oczami, zdrowymi, rumianymi policzkami, patrzyła na kwiatek grochu i dziękowała za niego Panu Bogu.

- A ja jednak upieram się przy moim ziarnku - powiedział rynsztok.

# KSIĘŻNICZKA NA ZIARNKU GROCHU



Był sobie pewnego razu książę, który chciał się ożenić z księżniczką, ale to musiała być prawdziwa księżniczka. Jeździł więc po całym świecie, żeby znaleźć prawdziwą księżniczkę, lecz gdy tylko jakąś znalazł, okazywało się, że ma jakieś „ale”. Księżniczek było dużo, jednakże książę nigdy nie mógł zdobyć pewności, że to były prawdziwe księżniczki. Zawsze było tam coś niezupełnie w porządku.

Wrócił więc do domu i bardzo się martwił, bo tak ogromnie chciał mieć za żonę prawdziwą księżniczkę.

Pewnego wieczora była okropna pogoda; błyskało i grzmiało, a deszcz lał jak z cebra; było strasznie. Nagle zapukał ktoś do bramy miasta i stary król wyszedł otworzyć.

Przed bramą stała księżniczka. Ale, mój Boże, jakże wyglądała, co uczyniły z niej deszcz i ślota! Woda spływała z włosów i sukien, wlewała się strumykiem do



trzewiczków i wylewała się piętami, ale dziewczynka powiedziała, że jest prawdziwą księżniczką.

„Zaraz się o tym przekonamy” - pomyślała stara królowa, ale nie powiedziała ni słowa, poszła do sypialni, zdjęła całą pościel, na spód łóżka położyła ziarnko grochu i ułożyła jeden na drugim dwadzieścia materaców na tym ziarnku grochu, a potem jeszcze dwadzieścia puchowych pierzyn na tych materacach.

I na tym posłaniu miała spać księżniczka.

Rano królowa zapytała ją, jak spędziła noc.

- O, bardzo źle! - powiedziała księżniczka - całą noc oka nie mogłam zmrużyć. Nie wiadomo, co tam było w łóżku. Musiałam leżeć na czymś twardym, bo mam całe ciało brązowe i niebieskie od sińców. To straszne!

Wtedy mieli już pewność, że była to prawdziwa księżniczka, skoro przez dwadzieścia materaców i dwadzieścia puchowych pierzyn poczuła ziarnko grochu. Taką delikatną skórę mogła mieć tylko prawdziwa księżniczka.

Książę wziął ją za żonę, bo teraz był pewny, że to prawdziwa księżniczka, a ziarnko grochu oddano do muzeum, gdzie jeszcze teraz można je oglądać, o ile go ktoś nie zabrał. Widzicie, to była prawdziwa historia!





O milę od stolicy stał stary dwór o grubych murach, wieżach i zębatych szczytach. Mieszkała tu, ale tylko latem, arystokracja, bogaci państwo; dwór ten był najmożniejszy i najładniejszy ze wszystkich dworów, jakie posiadali; z zewnątrz był jak nowy, a wewnątrz przytulny i wygodny. Herb wykuty był z kamienia nad bramą, dookoła herbu i wykusza pięły się piękne róże, przed zamkiem rozposcierał się kobierzec marmurowy, rosły tam czerwone i białe głogi i rzadkie kwiaty, hodowane nawet poza cieplarnią.

Państwo mieli dzielnego ogrodnika; ogród kwiatowy, sad i ogród warzywny były tak piękne, że rozkoszą było na nie patrzeć. Z tymi ogrodami graniczyły resztki starego, zamkowego ogrodu z bukszpanowymi żywopłotami, które były strzyżone w kształcie koron i piramid. Za nimi rosły dwa potężne drzewa, prawie zawsze bezlistne, a tak gęsto osadzone ptasimi gniazdami, że robiło to wrażenie grudek błota, naniesionych przez wiatr, czy straszną ulewę. Ale każda taka grudka to było ptasie gniazdo. Od niepamiętnych czasów gnieździły się tu kruki, wrony; była to cała ptasia wioska, ptaki panowały tutaj, to one były tu dziedzicami, najstarszym, osiadłym rodem, właściwymi panami dworu. nikt z istot chodzących po ziemi nic ich nie obchodził; ptaki tolerowały tych kręcących się w

dole ludzi, mimo że od czasu do czasu rozlegał się wystrzał i dreszcz przechodził przez całą gromadę i każdy ptak, ulatując przerażony w górę, wołał: "Kra-kra!"

Ogrodnik często rozmawiał z państwem o tym, że stare drzewa powinno się wyrębać, bo nie wyglądają ładnie, a wraz z drzewami można by się pozbyć także tego krzykliwego ptactwa, które poleciałyby gdzie indziej. Ale państwo nie chcieli się pozbyć ani drzew, ani ptaków, było to coś, czego zamek nie powinien się być pozbywać, coś z dawnych czasów, coś, czego w żadnym razie nie należy usuwać.

- Te drzewa odziedziczyły ptaki po przodkach, trzeba je zachować, mój poczciwy Larsenie.

Ogrodnik nazywał się Larsen, ale to nie ma znaczenia.

- Czyż nie masz dość przestrzeni, kochany Larsenie? Masz przecież cały ogród kwiatowy, cieplarnie, sad i warzywnik!

Przestrzeni miał dosyć, pielęgnował ogród, uprawiał go z zapałem i sumiennością; państwo oceniali to, ale nie ukrywali przed nim, że w innych domach często jadali owoce i widzieli kwiaty, które przewyższały to, co mieli w swoim ogrodzie; a to zasmucało ogrodnika, gdyż miał najlepsze chęci i pracował, jak mógł najlepiej. Miał dobre serce i sumiennie wykonywał swoją robotę.

Pewnego dnia zawołano go do dworu i państwo powiedzieli mu bardzo łagodnie i delikatnie, że poprzedniego dnia jedli u swoich wytwornych przyjaciół jabłka i gruszki tak smaczne i soczyste, że oni, a także wszyscy goście nie mieli słów zachwyty.

Owoce te na pewno nie były krajowe, ale powinny zostać sprowadzone i tu zasadzone, o ile tylko przyjmą się w naszym klimacie. Wiedzieli tylko, że owoce te zostały kupione w mieście u pierwszego kupca. Ogrodnik miał pojechać do miasta i dowiedzieć się, skąd pochodzą te jabłka i gruszki, i potem sprowadzić sadzonki.

Ogrodnik znał bardzo dobrze handlarza owoców, gdyż właśnie jemu sprzedawał zbywające owoce z ogrodu swoich państwa.

Pojechał więc do miasta i spytał kupca, skąd ma te niezwykle jabłka i gruszki.

- To z waszego własnego ogrodu - powiedział kupiec i pokazał mu jabłka i gruszki, które ten od razu poznał.

Jakże się cieszył ogrodnik! Pospieszył do swych państwa i powiedział im, że zarówno jabłka, jak gruszki pochodzą z ich własnego ogrodu.

Nie chcieli w to uwierzyć.

- To niemożliwe, Larsenie. Czy możesz nam dostarczyć pisemne poświadczenie od kupca.

Oczywiście udał się do kupca i przyniósł pisemne poświadczenie.

- To dziwne - powiedzieli państwo.

Na pańskim stole zaczęły się teraz pokazywać codziennie wspaniałe jabłka i gruszki z ich własnego sadu. Posyłano całe korce i beczki tych owoców przyjaciółom w mieście, za miasto i nawet za granicę. Była to prawdziwa przyjemność. Trzeba też dodać, że dwa lata z rzędu owoce obrodziły niezwykle obficie w całym kraju.

Minęło trochę czasu; pewnego razu państwo jedli obiad na królewskim dworze. Na drugi dzień wezwali ogrodnika. przy stole królewskim jedli melony, soczyste, smaczne, pochodzące z królewskich cieplarni.

Musisz iść do dworskiego ogrodnika, mój poczciwy Larsenie i postarać się dla nas o parę pestek tych doskonałych owoców.

- Ależ nadworny ogrodnik dostał nasiona od nas - oznajmił radośnie ogrodnik.

- To znaczy, że ten człowiek potrafi je lepiej wyhodować - odpowiedzieli państwo. - Melony były nadzwyczajne.

- Wobec tego mogę być dumny - powiedział ogrodnik. - Muszę powiedzieć łaskawemu państwu, że królewski ogrodnik nie miał w tym roku szczęścia, a ponieważ widział jakie są wspaniałe u nas, skosztował ich i zabrał ode mnie trzy sztuki na zamek.

- Larsenie nie blaguj, że to były melony z naszego ogrodu.

- Owszem, jestem tego pewny - odrzekł ogrodnik, poszedł do nadwornego ogrodnika i dostał od niego pisemne zaświadczenie, że melony na królewskim tronie pochodziły od niego.

Była to prawdziwa niespodzianka od państwa i nie przemilczeli tej historii. pokazywali wszystkim zaświadczenie, wszędzie rozsyłali nasiona melonów, tak jak przedtem szczepy drzewek.

Jak głośno wieści, szczepionki przyjmowały się, wydawały owoce, i to piękne owoce, które otrzymały nazwę ich majątku i nazwa ta przyjęła się w Anglii, Niemczech i Francji.

Kto by to pomyślał?

- Oby tylko ogrodnik nie stał się nazbyt zarozumiały - mówili państwo.

Ogrodnik ujął tę sprawę inaczej: chciał, aby jego imię było głośne, chciał być najlepszym ogrodnikiem w całym kraju, co rok pragnął dostarczać do innych ogrodów coś niezwykłego i tak też robił; ale państwo nie chcieli tego przyznać i

mawiali, że pierwsze jabłka i gruszki, jakie wyhodował, były najlepsze, wszystkie inne gatunki były o wiele gorsze. Melony były wprawdzie dobre, ale to się nie liczyło, truskawki mogły być świetne, ale jednak nie lepsze od tych, które były u sąsiadów, a gdy jednego roku nie udały się rzodkiewki, mówiono tylko o tych nieudanych rzodkiewkach, a nie o tym, co się udało.

Zdawać się mogło, że sprawia przyjemność państwu, gdy mogą powiedzieć ogrodnikowi:

- Tego roku jakoś się nie udało, miły Larsenie.

Tak, byli bardzo zadowoleni, gdy mogli powiedzieć:

- W tym roku się nie udało.

Parę razy na tydzień przynosił ogrodnik do pokojów świeże kwiaty, które układał z niezwykłym smakiem; kolory dzięki zręcznym zestawieniom ukazywały się jak gdyby w innym świetle.

- Masz dużo gustu, mój Larsenie - mówili państwo. - Jest to dar, który ofiarowało ci życie, sam z siebie przecież tego nie masz.

Pewnego dnia ogrodnik przyniósł do pokoju, wielka kryształową wazę, w której pływał liść nenufaru; na liściu leżał - długą, grubą łodygą zanurzoną w wodzie - promienny, niebieski kwiat wielkości słońca.

- Lotos hindostański! - zawołali państwo.

Nigdy nie widzieli takiego kwiatu; w dzień postawili go w blasku słonecznym, a wieczorem w jasnym świetle lampy.

Każdy, kto go widział, uważał, że jest niezwykły; powiedziała to nawet najwytworniejsza z młodych dam a kraju, księżniczka, mądra i dobra księżniczka.

Państwo uważali to za zaszczyt, że mogą ofiarować jej ten kwiat, w ten sposób dostał się on do księżniczki na zamek.

Państwo poszli do ogrodu, aby własnoręcznie zerwać kwiat tego samego gatunku, o ile by się taki znalazł, ale nie mogli go znaleźć.

Zawołali ogrodnika i spytali go, skąd wziął błękitny lotos.

- Szukaliśmy na próżno - powiedzieli. - Byliśmy w cieplarni i wszędzie w całym ogrodzie.

- Nie, tam go nie ma - powiedział ogrodnik. - To tylko skromny kwiatek z warzywnego ogrodu. Ale czyż nie piękny? Wygląda jak niebieski kaktus, a jest to tylko kwiat karczocha.

- Trzeba to nam było od razu powiedzieć! - zawołali państwo. - Myśleliśmy, że to obcy, rzadki okaz. Skompromitowaliśmy siebie przed księżniczką, zobaczyła ten kwiat u nas, zachwyciła się nim, nie знаła go, a ona zna się na botanice; ta

nauka nie ma jednak z pewnością nic wspólnego z jarzynami, jakże mogłeś, mój zacny Larsenie, przynieść taką roślinę do salonu? Ośmieszyles nas.

Piękny, błękitny, wspaniały kwiat, przyniesiony z warzywnego ogrodu, usunięto z pańskiego mieszkania, gdzie nie wypadało mu przebywać; a nawet państwo tłumaczyli się przed księżniczką, że kwiat jest tylko kuchenną jarzyną, którą ogrodnik odważył się pokazać, i że dostał już za to ostre napomnienie.

- To niesłuszne i niesprawiedliwe - oburzyła się księżniczka. - Otworzył nam przecież oczy na ten wspaniały kwiat, na który my nie zwróciliśmy żadnej uwagi, odsłonił nam piękno tam, gdzie my go wcale nie widzieliśmy. Dopóki kwitną karczochy, nadworny ogrodnik ma mi codziennie przynosić do mieszkania te kwiaty.

I tak też się stało.

Państwo powiedzieli ogrodnikowi, żeby znowu zerwał dla nich świeży, piękny kwiat karczocha.

- W gruncie rzeczy jest to bardzo ładny kwiat - mówili - niezwykle oryginalny. - I znowu chwalono ogrodnika.

- Larsen lubi pochwały - mówili państwo - to rozpieszczone dziecko.

Jesienią zerwał się straszny wichur. W nocy dał z taką siłą, że dużo wielkich drzew rosnących na skraju lasu zostało wyrwanych razem z korzeniami, ku wielkiemu zmartwieniu państwa (nazywali to zmartwieniem), ale ku radości ogrodnika runęły dwa duże drzewa z ptasimi gniazdami; pośród wycia wichru słyhać było krzyki kawek i wron, ludzie we dworze mówili, że uderzały skrzydłami o szyby okien.

- Teraz możesz się cieszyć, Larsenie - mówili państwo - wichur przewrócił drzewa, a ptaki poleciały do lasu. Teraz nie pozostało tu już nic z dawnych czasów, wszelki ślad tego, co było, zniknął. Dla nas to duży smutek.

Ogrodnik nie odpowiedział nic, ale myślał o tym, co już od dawna rozważał, a mianowicie, jak by użytkować wspaniałe słoneczne miejsce, a którego dotychczas nie można było skorzystać; stanie się oazą ogrodu i radością dla państwa.

Wielkie drzewa, które wichur wyrwał z korzeniami, zmiażdżyły padając prastary, bukszpanowy żywopłot ze wszystkimi jego cudownie powycinanymi kształtami. Ogrodnik zasadził tu gęszcz roślin, pospolite rośliny z pola i lasu.

Żaden inny ogrodnik nie odważyłby się zasadzić roślin w takiej ilości w pańskim ogrodzie, ale on zasadził je i dał im słońce i cień, zależnie od tego, czego potrzebowały. Pielęgnował je z miłością, a one rosły pięknie.

Jałowiec, przeniesiony ze swojej jutlandzkiej ojczyzny, wyrósł tu wspaniale i

przypominał barwą i kształtem włoski cyprys. Błyszczący i kolczasty ostrokrzew, wiecznie zielony zimą i latem, wyglądał ślicznie. Na pierwszym planie rosły paprocie wszelkich gatunków, niektóre wyglądały, jak gdyby były dziećmi palmy, a inne niby rodzice pięknej, delikatnej rośliny, którą nazywają "Włosami Wenus". Rósł tu pogardzany łopian, tak śliczny w swej świeżości, że mógłby zdobić bukiety.

Łopian rósł na suchym gruncie, ale niżej w wilgotnej ziemi rósł również pogardzony podbiał, którego wielki krzak i wielkie liście tak malowniczo wyglądają.

Przeflancowana z pola do ogrodu wysoka drzewina, nabita niezliczonymi kwiatami, wyniosła się w górę jak potężny wieloramienny świecznik. Rosły tu: macierzanka, kluczyki, konwalie, dzika kalina i trójlistna delikatna koniczyna. Był to wspaniały widok. Na przodzie rosły, przymocowane do drutu całymi rzędami, małe grusze przeflancowane z francuskiej ziemi; ogrzewane przez słońce i pielęgnowane, wydały wkrótce, wielkie i soczyste, takie same jak w kraju, z którego pochodziły.

Na miejscu dwóch starych, bezlistnych drzew postawiono wysoki słup, dookoła którego latem i jesienią wiły się gałązki chmielu ze swymi wonnymi, kulistymi kwiatami; ale zimą starym zwyczajem zawieszano tam worek owsa, aby ptaszki miały zimą przyjemną ucztę.

- Pocziwy Larsen robi się na stare lata sentymentalny - mówili państwo. - Ale jest nam wierny i oddany.

Na Nowy Rok w jednym z ilustrowanych pism ukazała się rycina przedstawiająca stary dwór, widać na nie było słup z flagą i workami owsa dla ptaszków na zimę i widniał tam napis, że to piękna myśl wskrzeszać dawne obyczaje, że tak właśnie przystoi mieszkańcom starego zamku.

- Wszystko, co robi ten Larsen, rozstaje rozgłoszone po świecie - mówili państwo. - To szczęśliwy człowiek. Możemy być nieomal dumni, że go mamy.

Ale wcale nie byli dumni. Czuli, że mimo wszystko to oni byli państwem i mogli przecież odprawić Larsena; ale nie czynili tego, bo byli dobrymi ludźmi, a tyle tego rodzaju dobrych ludzi istnieje na świecie. To jest bardzo pocieszające dla wszystkich Larsenów.

Oto jest opowiadanie o ogrodniku i jego chlebobdawcach.

Teraz możesz się na nim zastanowić.





juss.



A teraz słuchaj!

Daleko na wsi, tuż koło drogi, stała altana; widziałeś ją na pewno, kiedyś tam-tędy przechodził. Przed altaną był mały ogródek kwiatowy z pomalowanymi sztachetami, tuż obok na murawie, wśród najpiękniejszej zielonej trawy, rosła mała stokrotka; słońce ogrzewało ją tak samo mocno i pięknie jak wielkie, pyszne kwiaty w ogrodzie, i dlatego rosła z godziny na godzinę. Pewnego ranka całkiem rozkwitła i stała tak ze swymi małymi, śnieżnobiałymi płatkami, które otaczały, jak promienie, żółte słoneczko pośrodku. Nie myślała wcale o tym, że żaden człowiek nie widzi jej w trawie i że jest biednym, pogardzanym kwiatkiem; nie - była bardzo zadowolona, zwracała się cała do ciepłego słońca, patrzyła w nie i słuchała skowronka, który śpiewał w powietrzu.

Mała stokrotka czuła się szczęśliwa, jak gdyby to było wielkie święto, a przecież był to tylko poniedziałek; wszystkie dzieci uczyły się w szkole; podczas gdy

dzieci tkwiły w ławkach i uczyły się tam czegoś - stokrotka tkwiła na swej zielonej łodydze i również się uczyła od ciepłego słońca i od wszystkiego, co ją otaczało, jaki Bóg jest dobry. Myślała o tym, jak pięknie wyśpiewuje skowronek to, co czuje w ciszy, i patrzyła z pewnego rodzaju czcią i podziwem na szczęśliwego ptaszka, który umie śpiewać i fruwać; ale nie martwiła się tym, że sama tak nie potrafi. „Widzę i słyszę! - myślała - słońce mnie grzeje i wiatr mnie całuje. Ach, obficie mnie obdarowano!”. Za sztachetami stało tyle sztywnych, wykwintnych kwiatów; im mniej pachniały, tym dumniej strzelały w górę. Piwonie nadymały się, aby być większymi od róż - ale rozmiar przecież nic nie znaczy. Tulipany miały najpiękniejsze barwy, wiedziały o tym dobrze i trzymały się prosto, aby je można było lepiej widzieć. Nie spostrzegały wcale małej stokrotki, ale ona patrzyła na nie tym uważniej i myślała: „Jakież one bogate i piękne! Do nich przyłeci na pewno ten wspaniały ptak w odwiedziny. Bogu dzięki, że jestem tak blisko nich, mogę przynajmniej przyglądać się ich wspaniałości”. I właśnie gdy tak myślała, posłyszała: „Ćwir, ćwir!” - to skowronek zleciał na dół, ale nie do piwonii ani tulipanów - nie: sfrunął w trawę do biednej stokrotki; radość po prostu przeraziła stokrotkę i sama nie wiedziała, co ma myśleć.

Ptaszek tańczył dookoła stokrotki i śpiewał: „Jaka ta trawa jest miękka, patrzcie, jaki to kochany, mały kwiatek o złotym serduszku i srebrzystej sukience”. Żółty środek stokrotki wyglądał naprawdę jak złoty, a małe płatki dookoła błyszczwały swą białością. Jakże szczęśliwa była stokrotka - to trudno sobie wyobrazić. Ptaszek pocałował ją swym dziobem, zaśpiewał dla niej i pofrunął znowu w błękitne powietrze. Chyba kwadrans minął, zanim stokrotka przyszła do siebie. Trochę zawstydzona, ale jednak serdecznie uradowana, spojrzała na kwiaty w ogrodzie, widziały przecież, jaki ją spotkał honor i jakie szczęście; musiały zrozumieć, jaka to była dla niej radość; ale tulipany stały tak samo sztywne jak przedtem, twarze ich ściągnęły się, zaczerwieniły z gniewu. Piwonie nadeły się, „phi”, całe szczęście, że nie mogły mówić, na pewno robiłyby stokrotce ostre wymówki. Biedny kwiatek widział, że nie są w dobrym humorze, i to mu sprawiało prawdziwą przykrość. Wtedy do ogrodu przyszła dziewczynka z wielkim nożem, ostrym,

błyszczącym, zbliżyła się do tulipanów i zaczęła obcinać jeden po drugim.

- Ach! - westchnęła stokrotka. - Jakież to straszne, już po tulipanach! Dziewczynka odeszła z tulipanami; stokrotka była szczęśliwa, że stoi daleko w trawie i że jest małym, biednym kwiatkiem; była przepełniona wdzięcznością i kiedy słońce zaszło, zwinęła płatki i zasnęła śniąc przez całą noc o słońcu i o małym

ptaszku.

Następnego ranka, kiedy kwiatek wyciągnął radośnie białe płatki, niby małe ramiona, do powietrza i słońca, posłyszał głos ptaszka, ale śpiew jego brzmiał smutnie. Tak, biedny skowronek miał powody do smutku, schwytano go i oto teraz siedział w klatce przy otwartym oknie. Śpiewał o szczęściu swobodnego fruwania, śpiewał o młodym, zielonym życie w polu i o pięknej podróży, którą mógłby odbyć na swych skrzydłach wysoko w powietrzu. Biedny ptaszek nie myślał o wesołości, siedział uwięziony w klatce. Stokrotka chętnie by mu pomogła, ale jak miała się do tego zabrać? Trudno było coś wymyślić. Zapomniała zupełnie, jak pięknie było dookoła niej, jak gorąco grzało ją słońce i jak ślicznie wyglądały jej białe płatki; myślała tylko o uwięzionym ptaszku, któremu nie mogła pomóc.

Wtedy wyszło z ogrodu dwóch małych chłopców; jeden z nich trzymał nóż, taki sam duży i ostry jak ten, którym dziewczynka obcinała tulipany. Zmierzali wprost do stokrotki, która nie mogła zrozumieć, czego oni chcą.

- Moglibyśmy tu wyciąć dla skowronka piękny kawałek murawy! - powiedział jeden z chłopców i zaczął wycinać kwadrat dookoła stokrotki, zostawiając ją pośrodku.

- Wyrwij ten kwiat! - powiedział drugi chłopiec, a stokrotka zadrżała ze strachu, bo zostać wyrwaną to to samo co umrzeć, a teraz chciała tak bardzo żyć, teraz gdy miała się dostać z kawałkiem murawy do klatki skowronka.

- Nie, zostaw ją! - powiedział drugi chłopiec. - Tak ładnie wygląda! Została więc i zabrano ją do klatki skowronka.

Biedny ptaszek narzekał głośno na utratę wolności i uderzał skrzydłami o żelazną kratę, mała stokrotka nie mogła mówić, nie mogła mu powiedzieć słowa pociechy, chociaż tak bardzo chciała. I tak przeszło całe przedpołudnie.

- Nie ma tu wody! - powiedział uwięziony skowronek. - Wszyscy wyszli i nie zostawili mi ani kropli do picia. Gardło mi wyschło i pali. Czuję w sobie ogień i lód - powietrze jest takie ciężkie! Ach, będę musiał umrzeć z daleka od ciepłego słońca, od świeżej zieleni, od całego piękna, które stworzył Bóg! I potem wsadził mały dziobek w chłodną trawę, aby się trochę odświeżyć; wtedy wzrok jego padł na stokrotkę: ptak skinął do niej główką, pocałował ją dziobkiem i powiedział:

- Ty także musisz tu więdnąć, biedny mały kwiatuszku! Ciebie i kawałek zielonej murawy dano mi w zamian za cały świat, który miałem na wolności. Każde źdźbło trawy musi mi zastąpić zielone drzewo. Każdy z twoich białych płatków

ma być dla mnie pachnącym kwiatem. Ach, przypomina mi to tylko, ile straciłem!

„Kto mógłby pocieszyć skowronka?” -- pomyślała stokrotka. Ale nie mogła poruszyć żadnym płatkem; jednakże zapach, który wydzielały jej płatki, był o wiele silniejszy niż zwykły zapach tego kwiatu; zauważył to również skowronek, a chociaż był osłabiony z pragnienia i w męce wyrывał zielone trawki, nie ruszył kwiatka.

Nadszedł wieczór i nikt nie przyszedł, i nie przyniósł ptaszкови kropli wody; wtedy skowronek wyciągnął swoje piękne skrzydła i potrząsał nimi kurczowo, jego śpiew brzmiał jak zboląły pisk, mała główka pochylała się ku stokrotce i serce ptaka pękło ze smutku i tęsknoty; a kwiatek nie mógł, jak poprzedniego wieczoru, zasnąć, stuliwszy płatki; chore i smutne chyliły się one do ziemi.

Dopiero następnego ranka przyszli chłopcy; a kiedy zobaczyli martwego ptaka, zapłakali, płakali rzewnymi łzami i wykopali mu śliczny grób, który ozdobili płatkami kwiatów. Ciało ptaka włożyli do pięknego, czerwonego pudełka; królewski miał pogrzeb biedny ptaszek. Kiedy żył i śpiewał, zapomniano o nim; trzymano go w klatce w niedostatku, teraz ofiarowano mu wspaniały pogrzeb i wiele łez.

A kawałek murawy wraz ze stokrotką wyrzucono na drogę pełną kurzu, nikt nie myślał o kwiatku, który najwięcej współczuł małemu ptaszкови i tak gorąco chciał go pocieszyć.



Był sobie pewnego razu mały chłopczyk; przeziębził się na spacerze, przemoczył sobie nóżki, ale nikt nie mógł pojąć, jak to się mogło zdarzyć, bo pogoda była ładna i sucha. Mama rozebrała go, położyła do łóżka i kazała przynieść imbryczek, aby zaparzyć mu herbaty z kwiatów dzikiego bzu na poty.

W tej samej chwili do pokoju wszedł miły staruszek, który mieszkał w tym samym domu na górze; staruszek ten żył samotnie, bo nie miał żony ani dzieci, ale kochał wszystkie dzieci i potrafił opowiadać tak piękne bajki, że aż miło.

- Wypij herbatę - powiedziała mama - to może pan opowie ci bajkę!
- Gdybym tylko mógł wymyślić coś nowego! - powiedział staruszek i przyjaźnie kiwnął głową. - Ale gdzież ten mały zamoczył sobie nogi? - spytał. - Gdzie?
- Tak - powiedziała mama - tego nikt nie wie.
- Czy powiesz mi bajkę? - spytał chłopczyk.

- Tak, ale musisz mi powiedzieć dokładnie, bo chcę wpięrw wiedzieć, jak głęboki jest rynsztok na małej uliczce, którą idziesz do szkoły.

- Akurat do połowy kostek! - odpowiedział chłopiec. - Ale na to trzeba wejść w najgłębszą dziurę.

- Tak, tak, stąd mamy mokre nogi!... - powiedział staruszek. - Miałem ci co prawda opowiadać bajkę, ale nie pamiętam już żadnej!

- Nie potrzebuje pan wymyślać! - odezwał się chłopczyk. - Mama mówi, że wszystko, na co pan spojrzy, przemienia się natychmiast w baśń, a czego się pan dotknie, staje się najpiękniejszą historyjką!

- Ale wymyślone bajki i historyjki są do niczego, prawdziwe zaś przychodzą same, stukają w czoło i powiadają: "Oto jestem!"

- Czy już zaraz stuknie? - spytał chłopczyk. A mama śmiała się, sypała kwiat bzu do imbryczka i zalewała wrzącą wodą.

- Opowiedz, opowiedz!

- Byłoby dobrze, gdyby bajka chciała przyjść wtedy, kiedy się ją wzywa, ale to wielka dama, przychodzi tylko wtedy, kiedy ma na to ochotę. Czeka! - powiedział nagle. - Już mamy! Uważaj, teraz siedzi na imbryczku!

Chłopczyk spojrział w stronę imbryczka, pokrywka wznosiła się coraz wyżej i wyżej, i zaczęły spod niej wychodzić świeże i piękne kwiaty dzikiego bzu, a potem na wszystkie strony wystrzeliły duże gałęzie; rosły coraz wyżej i wyżej, i przemieniły się w najpiękniejszy krzew; w drzewo po prostu, które rozrosło się aż do łóżka i odsunęło firanki. Ach, jakież to były kwiaty! Jaki zapach! A na drzewie siedziała stara, miła babunia w dziwacznej sukni, całej zielonej jak listki bzu i przetykanej białymi kwiatami - nie można było wręcz odróżnić, czy to była suknia, czy też listki i kwiaty.

- Jak się ta babcia nazywa? - spytał chłopczyk.

- Rzymianie i Grecy - powiedział starszy pan - nazywali ją driadą; ale my tego już nie rozumiemy. W domkach marynarzy weteranów wymyślili dla niej lepszą nazwę - mówili na nią Bzowa Babuleńka. Przedstawiam ci ją! Uważaj tylko; słuchaj pilnie i przypatrz się temu pięknemu krzakowi!

Zupełnie takie samo duże, kwitnące drzewo stoi przy domkach weteranów. Rośnie ono w rogu małego, ubogiego ogródka; pod tym drzewem siedziała w rozkosznym blasku słońca para staruszków: był to stary marynarz i jego stara żona; byli już pradziadkami i wkrótce chcieli świętować złote wesele, tyle tylko, że zapomnieli, jaka to była data, a Bzowa Babuleńka siedziała na krzaku i wyglądała tak samo wesoło jak teraz.

- Wiem dobrze, kiedy jest wasze złote wesele! - powiedziała, ale oni jej nie słyszeli, bo wspominali dawne lata.

- Tak, czy pamiętasz - powiedział stary marynarz - jak byliśmy całkiem mali, biegaliśmy i bawiliśmy się razem. To było na tym samym podwórku, gdzie teraz siedzimy, sadziliśmy w ziemi patyki i miał to być ogród!

- Tak - powiedziała staruszka - przypominam to sobie świetnie; polewaliśmy patyczki, a jeden z nich, pęd bzu, wypuścił zielone listki i wyrosło z niego wielkie drzewo, pod którym my starzy, teraz siedzimy.

- Tak, rozumie się - mówił staruszek - tam w kącie stała balia z wodą, tam pływał mój stateczek; sam go wystrugałem; jakże świetnie pływał! ale wkrótce zacząłem pływać na innym statku.

- Tak, ale przedtem jeszcze chodziliśmy do szkoły i uczyliśmy się - powiedziała staruszka - a potem była nasza konfirmacja; płakaliśmy oboje; a popołudniu poszliśmy ręką w rękę na Okrągłą Wieżę i patrzyliśmy na świat z wysoka; ponad Kopenhagą i morzem; potem poszliśmy do Frederiksbergu, gdzie król i królowa pływali po kanałach w wspaniałej łodzi.

- A potem już pływałem inaczej i to przez długie lata daleko, daleko w ogromnej podróży!

- Tak często płakałam przez ciebie - powiedziała staruszka - myślałam, że już umarłeś i że leżysz głęboko na dnie morza, kołysany przez wielkie fale. Czasem wstawałam w nocy i patrzyłam, czy obraca się chorągiewka, która wskazuje pogodę; obracała się, ale ty nie wracałeś! Przypominam sobie dokładnie, jak pewnego dnia, kiedy deszcz lał strumieniami, przyjechał śmieciarz, zeszedł na dół, by opróżnić śmietniczkę, zatrzymałam się w drzwiach. Cóż to była za okropna pogoda! Gdy stałam przy drzwiach, przyszedł listonosz i wręczył mi list; był od ciebie, jakąż długą odbył drogę! Rozerwałam kopertę i zaczęłam czytać, śmiałam się i płakałam, byłam tak szczęśliwa! W liście pisałeś, że jesteś w ciepłych krajach, tam gdzie rosną ziarenka kawy. Cóż to musi być za cudowny kraj! Opisywałeś tak wiele, a ja widziałam to wszystko przez strugi deszczu, stojąc ze śmietniczka w ręku. I wtedy poczułam nagle, że ktoś mnie obejmuje w pól...

- I wymierzyłaś mi mocny policzek, że aż klasnęło...

- Nie wiedziałam przecież, że to byłeś ty; przyszedłeś tak nieoczekiwanie, jak i twój list. I byłeś tak piękny (i teraz jesteś piękny), miałeś w kieszeni dużą, żółtą, jedwabną chustkę do nosa i błyszczący kapelusz na głowie: byłeś taki wytworny; jakąż to była straszna pogoda i jak okropnie wyglądała ulica!

- Potem pobraliśmy się - powiedział staruszek - przypominasz sobie? A potem



urodził się nasz pierwszy syn, a potem Maria i Niels, i Piotr, i Hans Christian.

- Dzieci wyrosły na porządnych ludzi, wszyscy je lubili.

- I ich dzieci znowu miały dzieci - powiedział stary marynarz - a nasze prawnuki, ileż w nich życia! Zdaje mi się, że to o tej porze roku był nasz ślub.

- Tak, to właśnie dzisiaj jest rocznica, wasze złote gody - powiedziała Bzowa Babuleńka i wyrzała spoza głów staruszków, ale oni myśleli, że to sąsiadka im się kłania; spojrzeli na siebie i wzięli się za ręce. Zaraz potem przyszły dzieci i wnuki; wiedzieli oni dobrze, że to był dzień złotych godów, winszowali już rano, ale staruszkowie o tym zapomnieli, choć tak dobrze pamiętali, jak to było przed laty. A drzewo bzu pachniało tak mocno i blask zachodzącego słońca padał na twarze staruszków; oboje mieli zaróżowione policzki; najmłodsze z dzieci ich dzieci tańczyło naokoło nich i wołało radośnie, że w tak uroczysty wieczór powinny być gorące kartofle na kolację; a Bzowa Babuleńka pozdrawiała ich z gęstwiny drzewa i razem z innymi wołała: - Niech żyją!

- Ależ to wcale nie była bajka - powiedział chłopczyk, który słuchał opowiadania.

- Tak, to bajka! Musisz zrozumieć - powiedział staruszek, który opowiadał - zapytajmy Bzowej Babuleńki.

- To nie była bajka - odpowiedziała Babuleńka - ale zaraz będzie. Właśnie z rzeczywistości rodzi się najdziwniejsza baśń w świecie; inaczej przecież z małego imbryczka nigdy by nie mógł wyrosnąć tak piękny krzak bzu. - Potem wyjęła chłopczyka z łóżka, przycisnęła go mocno do swojego łona i gałązki, pełne pachnącego kwiecia, zamknęły się nad nimi; znajdowali się teraz w najpiękniejszej altanie; i oto wznieśli się w powietrze, było niewypowiedzianie piękne. Bzowa Babuleńka przemieniła się nagle w małą, milutką dziewczynkę, suknia jej była z tego samego zielonego materiału w białe kwiaty, u piersi miała przepięty kwiat bzu, a naokoło złocistych kędziorów - wianek z kwiatów bzu; oczy jej były takie duże i tak bardzo niebieskie, jakże cudownie było na nią patrzeć; pocałowali się z chłopczykiem i oboje byli równi wiekiem i tak samo radośni.

Trzymając się za ręce wyszli z altanki i znaleźli się w pięknym ogrodzie rodzinnego domu; na zielonym trawniku stała przywiązana do słupa ojcowska laska. Dla dzieci laska ta żyła; wystarczyło by jej dosiedli, a błyszcząca rękojeść zamieniała się we wspaniałą parskającą głowę, powiewała czarna, długa grzywa, cztery smukłe, mocne nogi ruszyły z kopyta. Zwierzę było silne i odważne; galopem pomknęli na około trawnika.

- Teraz pojedziemy daleko - powiedział chłopiec - pojedziemy do dworu,

gdzieśmy byli przed rokiem!

Kręcili się wciąż wokoło trawnika, a dziewczynka, która, jak wiemy, nie była nikim innym, tylko Bzową Babuleńką, wołała:

- Teraz jesteśmy na wsi! Czy widzisz przy drodze tę chatę z wielkim piecem, który wygląda jak olbrzymiej wielkości jajo? Krzew dzikiego bzu rozwinął swe gałęzie, a kogut spaceruje i wygrzebuje dla kur ziarna; widzisz, jak się puszy... Teraz jesteśmy obok kościoła, który stoi wysoko na pagórku pomiędzy wielkimi dębami; jeden dąb jest już na wpół spróchniały. Teraz jesteśmy przy kuźni, gdzie pali się ogień i półnaczy ludzie wala młotami, tak że iskry rozsypują się daleko wkoło. W drogę, w drogę do domu!

I wszystko, o czym mówiła dziewczynka, siedząc na kiju, przesuwało się obok nich, chłopiec to widział, a przecież tylko objeżdżali trawnik dokoła. Potem bawili się na ogrodowej ścieżce i urządzili sobie mały ogródek; dziewczynka wyjęła z włosów kwiaty bzu i zasadziła je w ziemi, a kwiaty zaczęły rosnać zupełnie tak samo jak wtedy u staruszków, gdy byli jeszcze małymi dziećmi. Tak samo jak tamci chodzili trzymając się za ręce, ale nie poszli na Okrągłą Wieżę, ani do królewskiego ogrodu; nie - dziewczynka objęła chłopczyka i wzniesli się wysoko do góry, pofrunęli daleko nad całą Danią; była wiosna, a potem było lato, a potem jesień i wreszcie zrobiła się zima, i tysiące obrazów odbijało się w oczach, i w sercu chłopca, a dziewczynka śpiewała bezustannie:

- Nigdy tego nie zapomnisz!

Podczas tego całego lotu dziki bez pachniał tak słodko i tak cudnie; chłopiec widział po drodze różne krzewy i zielone buki, ale bez pachniał jeszcze piękniej, bo jego kwiaty leżały na sercu dziewczynki, a chłopiec przytulał tam często w czasie lotu swoją głowę.

- Tu jest pięknie wiosną - powiedziała dziewczynka i zatrzymali się w świeżo zazielenionym bukowym lesie, gdzie mocno pachniały macierzanki i różowe anemony tak ślicznie wyglądały pośród traw.

- Gdyby to wiecznie była wiosna w pachnącym, duńskim, bukowym lesie!

- Tu jest pięknie latem - powiedziała dziewczynka, gdy przejeżdżali koło starych dworów pamiętających rycerskie czasy, gdzie czerwone mury i zębata szczyty odbijały się w kanałach, po których pływały łabędzie, wpatrzone w stare, ciemne aleje. Na polu zboże falowało jak jezioro; w rowach rosły żółte i czerwone kwiaty, a w zaroślach dziki chmiel i kwitnące powoje; a wieczorem wschodził księżyc duży i okrągły, siano na łąkach pachniał tak słodko. Tego nie zapomina się nigdy.

- Tu jest cudnie jesienią - powiedziała dziewczynka. Powietrze stało się o wiele bardziej błękitne i przezroczyste, las zaczął się mienić czerwonymi, zielonymi i żółtymi barwami; ruszyły psy myśliwskie i całe gromady dzikich ptaków wznosiły się krzykiem nad kurhanami, gdzie krzaki jeżyn porastały stare kamienie; morze było czarno błękitne, pokryte białymi żaglami; a na klepisku siedziały stare kobiety, dziewczyny i dzieci, i wrzucali chmiel do dużego naczynia; młodzi śpiewali pieśni, a starzy opowiadali baśni o krasnoludka i czarodziejach. Nigdzie chyba nie mogło być piękniej!

- Tu jest cudnie zimą - powiedziała dziewczynka. Wszystkie drzewa pokryły się białym szronem i wyglądały jak białe korale, śnieg skrzypiał pod nogami, jak gdyby się ciągle miało nowe buciki, a z nieba spadały gwiazdy jedna za drugą. W pokoju zapalono choinkę, zjawily się podarunki, zapanowała wesołość. Na wsi, w chłopskiej izbie, rozbrzmiewały dźwięki skrzypiec i zapachniały pieczone jabłka; nawet najuboższe dziecko mówiło:

- Jednak pięknie bywa w zimie!

Tak, było pięknie. Dziewczynka pokazywała chłopcu wszystko i wciąż jeszcze pachniał bez i wszędzie powiewała czerwona chorągiew z białym krzyżem, ta sama chorągiew, pod której cieniem żeglował stary marynarz<sup>8</sup>. Potem mały chłopiec wyrósł na młodzieńca i musiał pojechać daleko, do ciepłych krajów, gdzie rośnie kawa; ale przy pożegnaniu dziewczynka wzięła jeden z kwiatów dzikiego bzu, które nosiła na sercu i dała mu na przechowanie; chłopczyk przyjął kwiat i w dalekich krajach, ile razy patrzyła na niego, wspominał i im więcej mu się przypatrywał, tym wydawał mu się świeższy; zdawało mu się wtedy, że czuje zapach duńskiego lasu i pomiędzy listkami kwiatu widzie wyraźnie małą dziewczynkę, jej duże niebieskie oczy i że słyszy, jak do niego szepcze:

- Tu jest cudnie wiosną, latem, jesienią i zimą! - A wtedy setki obrazów przesuwano się przez jego myśli.

Tak upłynęło wiele lat: młodzieniec przemienił się w staruszkę, który siadał ze swą starą żoną pod kwitnącym drzewem; trzymali się za ręce, zupełnie jak pradiadek i prababka w domkach weteranów; i tak samo jak tamci rozmawiali o dawnych czasach, o złotym weselu. Mała dziewczynka z niebieskimi oczami i kwiatami dzikiego bzu we włosach siedziała wysoko na drzewie, kiwała przyjaźnie do staruszków i mówiła:

<sup>8</sup> W Danii istnieje zwyczaj ozdabiania w niedzielę wszystkich letnich domów flagą narodową, czerwoną z białym krzyżem.

- Dziś jest wasze złote wesele! - Potem wzięła dwa kwiaty ze swego wianka, pocałowała je; zabłysły jak srebro, później jak złoto; a kiedy je włożyła na głowy staruszków, każdy kwiat przemienił się w złota koronę; wtedy siedzieli oboje pod kwitnącym drzewem, jak król i królowa, i staruszek zaczął opowiadać staruszcze historię o Bzowej Babuleńce tymi samymi słowami, jak słyszał ją w dzieciństwie i dziwili się oboje, że historia ta tak był podobna do ich życia, a tym, że była tak podobna, zachwycali się najbardziej.

- Tak, tak! - powiedziała dziewczynka w gąszczu drzewa. - Niektórzy nazywają mnie Bzową Babuleńką, inni driadą, ale naprawdę nazywam się Wspomnieniem; to ja siedzę na drzewie, które ciągle rośnie i rośnie, to ja wspominam i opowiadam historię!

Pokaż mi, czy masz jeszcze twój kwiat.

I wtedy staruszek otworzył swą dłoń. Leżał tak kwiat dzikiego bzu tak świeży, jak gdyby do dopiero co tam położono. Wspomnienie kiwnęło przyjaźnie głową. Staruszkowie siedzieli w swych złotych koronach na drzewach w czerwonym blasku zachodzącego słońca, zamknęli oczy i... i... bajka się skończyła.

Chłopczyk leżał w łóżku i nie wiedział, czy śniło mu się to, czy słuchał bajki; imbryczek do herbaty stał na stole, ale nie wyrosło z niego drzewo dzikiego bzu, a stary pan, który opowiadał bajkę, stał w drzwiach i zaraz sobie poszedł.

- Jakie to było piękne! - powiedział chłopczyk. - Mamo, byłem na południu!

- Rozumie się! powiedziała mama. - Po dwóch filiżankach gorących ziółek może się wydawać, że się było w ciepłych krajach! - I przykryła go mocno, żeby się nie przeziębził. - Spałeś smacznie, podczas gdy sprzeczałam się ze starszym panem, czy to była bajka, czy prawdziwa historia!

- A gdzie jest Bzowa Babuleńka?

- W imbryczku! - odpowiedziała mama. - I niech tam sobie siedzi.





W Chinach, wiesz pewnie o tym, cesarz jest Chińczykiem i wszyscy, którzy go otaczają, są również Chińczykami. Historia, którą opowiem, działa się przed wielu laty, ale właśnie dlatego trzeba jej wysłuchać, zanim o niej nie zapomną.

Zamek cesarza był najwspanialszym zamkiem na świecie, cały zrobiony z delikatnej porcelany, niezwykle kosztownej, a tak kruchej, że lada dotknięcie mogło ją stłuc, więc trzeba było bardzo uważać. W ogrodzie rosły najdziwniejsze kwiaty, a do najwspanialszych przywiązano srebrne dzwonki, które dzwoniły po to, aby nikt nie minął ich nie zwróciwszy na nie uwagi. Niezwykły był ogród cesarski, a tak wielki, że nawet ogrodnik nie wiedział, gdzie się kończy. Za ogrodem zaczynał się piękny las z wysokimi drzewami i głębokimi jeziorami. Las schodził aż do morza, które było niebieskie i głębokie; wielkie okręty mogły wjeżdżać aż pod zwisające gałęzie, a na jednej z takich gałęzi mieszkał słowik. Słowik śpiewał tak pięknie, że nawet biedny rybak, który ma przecież tyle innej roboty, kładł się i słuchał jego śpiewu, gdy nocą wychodził wyciągać sieci.

- Mój Boże, jakie to piękne! - mówił, lecz potem musiał już pilnować swojej roboty i zapominał o ptaszku; ale następnej nocy, kiedy ptak znowu śpiewał, a on wychodził, powtarzał to samo:

- Mój Boże, jakież to piękne!

Ze wszystkich stron świata zjeżdżali do cesarskiego miasta podróżni, podziwiali zamek i ogród, ale gdy słyszeli śpiew słowika, mówili:

- To jest jednak najpiękniejsze!

Podróżni po powrocie do domu opowiadali, co widzieli, uczeni pisali wiele ksiązek o mieście, zamku i ogrodzie; nie zapominali tez o słowiku i chwalili go najbardziej, a ci, którzy byli poetami, pisali piękne wiersze, wszystkie o słowiku śpiewającym nad głębokim jeziorem w lesie.

Książki te czytano na całym świecie i niektóre z nich dostały się do rak cesarza. Cesarz siedział na złotym tronie, czytał i czytał, a co pewien czas kiwał z zadowoleniem głową, kiedy opisywano miasto, zamek i ogród. „Ale słowik jest najpiękniejszy!”, pisano w książkach.

- Co to jest? - powiedział cesarz. - Nie znam wcale tego słowika! Czy naprawdę taki ptak żyje w moim cesarstwie, i w dodatku w moim ogrodzie? Nigdy o tym nie słyszałem! Dowiaduje się o tym dopiero z książek! I natychmiast zawołał swego marszałka; był on tak wytworny, że kiedy ludzie niżsi od niego pochodzeniem ośmielili się zadać mu jakieś pytanie, odpowiadał im tylko „p!”, a to przecież nic nie znaczy.

- Podobno jest tu jakiś niezwykły ptak, który nazywa się słowik! - powiedział cesarz - podobno jest on najpiękniejszą rzeczą z całego mego wielkiego państwa! Dlaczego nikt mi nigdy o nim nic nie mówił?

- Nigdy o nim nie słyszałem! - odpowiedział marszałek. - Nie przedstawiono go nigdy u dworu!

- Chce, żeby przyszedł dziś wieczorem i śpiewał przede mną! - powiedział cesarz. - Cały świat wie, co posiadam, tylko ja o tym nie wiem!

- Nigdy o nim nie słyszałem! - powiedział marszałek. - Będę go szukał i znajdę! Ale gdzie go znaleźć? Marszałek biegał w gore i na dół po wszystkich schodach, przebiegał wszystkie sale i krużganki, ale nikt z napotkanych nie słyszał o słowiku. Wrócił wiec marszałek do cesarza i powiedział, że to z pewnością bajka wymyślona przez tych, co napisali książki.

- Wasza cesarska mość niechaj nie wierzy temu, co piszą, bo to wszystko wymysły, po prostu czarna magia!

- Ależ kiedy książkę, w której to przeczytałem, przysłał mi potężny cesarz Japonii, wiec musi zawierać prawdę. Chce słyszeć słowika. Ma tu być dzisiaj wieczorem! Obdarzam go moja laska! Musi przyjść! A jeżeli się nie zjawi; to każe moim ludziom deptać po brzuchach wszystkich dworzan, i to zaraz po kolacji!

- Tsing pe! - powiedział marszałek i zaczął znowu biegać po schodach na dół i

w górę, i po wszystkich salach i krużgankach, a połowa dworzan biegała za nim, bo bynajmniej nie mieli ochoty, by im deptano po brzuchach. Wiec wszędzie pytano o słowika, którego znalazł cały świat, ale nikt nie znalazł na dworze.

Wreszcie w kuchni znaleźli małą, biedną dziewczynkę, która powiedziała:

- Mój Boże, słowik! Znam go doskonale! Jakże cudnie śpiewa! Co wieczór wolno mi zabierać z kuchni trochę resztek, zanoszę je mojej biednej, chorej matce, która mieszka na wybrzeżu; a kiedy w nocy wracam od niej i zmęczę się, to kładę się w lesie i słucham słowika! Łzy płyną mi wówczas z oczu i jest mi tak, jak gdyby mnie matka całowała!

- Mała pomywaczko! - powiedział marszałek. - Dam ci stałą posadę w kuchni i pozwolę ci przyglądać się, jak cesarz jada, jeśli zaprowadzisz nas do słowika, bo dziś wieczorem muszę go tu mieć!

Poszli więc wszyscy do lasu, gdzie zwykle śpiewał słowik; pół dworu im towarzyszyło; po drodze usłyszeli ryk krowy.

- O! - powiedział jeden z dworzan. - Macie słowika! Ileż to siły w tak małym stworzeniu! Słyszałem go - całą pewnością już dawniej!

- Nie, to krowy ryczą! - powiedziała mała pomywaczka. - Jeszcześmy daleko od słowika!

Teraz żaby zarechotały w bagnisku.

- Cudownie! - powiedział chiński kapelan. - Nareszcie go słyszę. Śpiew jego brzmi jak dzwonki kościelne.

- Nie, to żaby! - powiedziała mała pomywaczka. - Ale myślę, że już wkrótce go usłyszymy!

W tej chwili słowik zaczął klaskać.

- To on! - powiedziała dziewczynka. - Słuchajcie! Słuchajcie! Oto tam siedzi! - I pokazała małego, szarego ptaszka wysoko na gałęzi.

- Czyż to możliwe! - zawołał marszałek. - Inaczej go sobie wyobrażałem! Jakże pospolicie wygląda! A może stracił swą barwę na widok tylu wytwornych osób?

- Słowiczku! - zawołała głośno dziewczynka. - Nasz łaskawy cesarz życzy sobie, abyś przed nim zaśpiewał!

- Z największą przyjemnością - powiedział słowik i zaśpiewał tak pięknie, że aż rozkoszą było go słuchać.

- Zupełnie szklane dzwoneczki! - powiedział marszałek. - A jak pracuje to małe gardziółko! To dziwne, żeśmy go nigdy przedtem nie słyszeli! Będzie miał wielki sukces na dworze!

- Czy mam raz jeszcze zaśpiewać dla cesarza? - spytał słowik, który myślał, że



cesarz jest obecny.

- Mój cudny słowiczku! - powiedział marszałek. - Mam zaszczyt zaprosić cię na uroczystość dworska, na której oczarujesz jego cesarska mość twym zachwycającym śpiewem.

- Brzmi on co prawda najlepiej na tle drzew! - powiedział słowik, ale poleciał chętnie za nimi, gdyż słyszał, że taka jest wola cesarza. Na zamku wszystko porządnie wyszorowano. Porcelanowe ściany i podłogi lśniły w blasku tysięcy złotych lamp; najpiękniejsze kwiaty, które umiały dzwonić, ustawiono w krużgankach i było tyle bieganiń i przeciągów, a dzwonki tak głośno dzwoniły, że tłumiło to wszelkie rozmowy. Pośrodku dużej sali, w której znajdował się cesarz, umieszczono złoty pręt i na nim miał siedzieć słowik. Cały dwór zebrał się w sali, a malej pomywaczce pozwolono stać pod drzwiami, bo teraz była już kucharką nadworną.

Wszyscy w swych najwspanialszych szatach przyglądali się małemu, szaremu ptaszкови, a cesarz skinął mu głową.

A słowik śpiewał tak pięknie, że cesarzowi łzy stanęły w oczach, a gdy spłynęły mu po policzkach, słowik zaśpiewał jeszcze ładniej, tak że śpiew ten sięgał prosto do serca; cesarz cieszył się bardzo i powiedział, że zawiesi słowikowi swój złoty pantofel na szyi. Ale słowik podziękował i powiedział, że otrzymał już dostateczne wynagrodzenie.

- Widziałem łzy w oczach cesarza, a to jest dla mnie najdroższy skarb! Łzy cesarskie mają cudowną moc! Bóg świadkiem, że jestem dość nagrodzony! - I śpiewał dalej swym słodkim, cudownym głosem.

- Tak uroczej kokieterii nie spotkałyśmy jeszcze nigdy w życiu! - mówiły damy, a potem nabierały wody w usta i gdy ktoś do nich mówił, bulgotały i myślały, że są też słowikami. Cóż tu mówić! Nawet lokaje i pokojówki byli zadowoleni, a to dużo mówi, bo im najtrudniej dogodzić. Tak, słowik naprawdę zdobył powodzenie.

Miał zostać na zawsze przy dworze, mieszkać we własnej klatce i dwa razy dziennie, a raz w nocy mógł wyfruwać na dwór. Dwunastu służących trzymało wówczas końce jedwabnych wstążek przywiązanych do jego nóżki. Taki spacer nie należał do przyjemności.

Cale miasto mówiło o niezwykłym ptaszku. Kiedy dwoje ludzi się spotykało, jeden mówił: „sło”, a drugi „wik!”; potem obaj wzdychali; rozumieli się doskonale. Jedenaścioro dzieci właścicieli sklepików z delikatesami nazwano jego imieniem! ale żadne z nich nie umiało wydać ani jednej czystej nuty. Pewnego

dnia do cesarza nadeszła duża paczka, na której było napisane: „Słowik”.

- Pewnie nowe dzieło o naszym sławnym ptaku! - powiedział cesarz; lecz nie była to książka, tylko małe arcydzieło zamknięte w pudelku. Był to sztuczny słowik, podobny do prawdziwego, ale cały wysadzany brylantami, rubinami i szafirami; wystarczyło go nakręcić, a śpiewał te same piosenki co żywy ptak i przy tym poruszał ogonem w dół i w górę i błyszczał cały, i świecił srebrem i złotem, na szyi miał wstążeczkę, a na niej napis: „Słowik cesarza Japonii jest niczym wobec słowika cesarza Chin.”

- Ach, jakie to piękne! - zachwycali się wszyscy, a ten, który przyniósł ptaka, otrzymał natychmiast tytuł: „cesarskiego naddostawcy słowików”.

- Niech zaśpiewają razem! Cóż to będzie za cudowny duet! Wiec ptaki śpiewały razem. Ale nie szło im dobrze, bo prawdziwy słowik śpiewał na swój sposób, a sztuczny ptak gwizdał podług mechanizmu.

- To nie jego wina! - powiedział muzyk nadworny. - Ma świetne wyczucie taktu i śpiewa według mojej szkoły!

Wiec sztuczny ptak miał sam śpiewać. Śpiew jego podobał się również jak śpiew prawdziwego słowika, a on sam o ileż piękniej wyglądał! Błyszczał przecież cały jak bransolety i brosze. Trzydzieści trzy razy prześpiewał ten sam kawałek i wcale się nie zmęczył; chciano go jeszcze słuchać, ale cesarz powiedział, że i żywy słowik musi coś zaśpiewać... Lecz gdzież on się podział? Nikt nie zwrócił uwagi, że słowik wyfrunął przez otwarte okno i poleciał do swych zielonych drzew.

- Cóż to znaczy? - zapytał cesarz; a wszyscy dworzanie ganili ptaka i mówili, że to niewdzięczne stworzenie. - Mamy przecież doskonalszego słowika! - mówili. I kazali mu znowu śpiewać; po raz trzydziesty czwarty usłyszeli te sama melodie, ale nie umieli jej jeszcze powtórzyć, bo była bardzo trudna, i muzyk nadworny chwalił sztucznego ptaka mówiąc, że przewyższa żywego słowika nie tylko swym ubiorem i brylantami, ale także i swa wewnętrzną wartością.

- Bo widzicie, moi państwo, a przede wszystkim, cesarzu, u prawdziwego słowika nigdy nie można przewidzieć, co nastąpi, a u sztucznego wszystko jest z góry określone! Tak będzie, a nie inaczej!

Można wszystko objaśnić, można otworzyć mechanizm i pokazać, jak uczenie położone są walce, jak się kręcą sprężyny i jak co idzie za czym.

- Jesteśmy tego samego zdania! - zawołali wszyscy, a muzyk otrzymał pozwolenie na to, aby najbliższej niedzieli pokazać sztucznego ptaka ludowi.

- Niech także usłyszą, jak śpiewa! - rozkazał cesarz. Słyszeli więc i byli tak

uszcęśliwieni, jak gdyby się upili na wesoło herbatą, co jest prawdziwie chińskim obyczajem. Mówili wszyscy: „Oh!”, i podnosili w górę wskazujące palce, i kiwali głowami. Ale ubodzy rybacy, którzy słyszeli prawdziwego słowika, mówili:

- To brzmi pięknie, i nawet podobnie do tamtego, ale czegoś tu brak, nie wiemy tylko czego.

Prawdziwego słowika wygnano z kraju i z państwa. Sztucznego ptaka posadzono na jedwabnej poduszce tuż przy łóżku cesarza, naokoło niego ułożono wszystkie dary, które otrzymał, złoto i drogie kamienie, dano mu tytuł: „śpiewaka cesarskiej sypialni”, i otrzymał rangę pierwszego stopnia z lewej strony; lewa stronę bowiem uważał cesarz za godniejszą, bo z lewej strony jest serce, nawet u cesarza. Muzyk nadworny napisał dwadzieścia pięć tomów o sztucznym słowiku; dzieło było tak uczone i tak długie, i tak pełne najtrudniejszych chińskich wyrazów, że wszyscy ludzie mówili, iż przeczytali je i zrozumieli; inaczej nazwano by ich głupcami i deptano by im po brzuchach.

Tak przeszedł cały rok. Cesarz, dwór i wszyscy Chińczycy umieli na pamięć każdy najmniejszy dźwięk śpiewu sztucznego ptaka, ale to im się właśnie podobało, bo mogli śpiewać z nim razem. Nawet ulicznicy nucili: „Zizizi! Gluk, gluk, gluk!” A cesarz śpiewał tak samo. To było cudowne! Pewnego wieczora jednak, gdy sztuczny słowik śpiewał w najlepsze, a cesarz leżał w łóżku i słuchał, coś w ptaku chrupnęło „trach!”, coś pękło „szurrrr!” i wszystkie kółka posypały się wokoło, a muzyka umilkła.

Cesarz wyskoczył natychmiast z łóżka i kazał zawołać nadwornego lekarza; ale cóż ten mógł pomóc! Wtedy zawołano zegarmistrza, który po długiej gadaninie i długim oglądaniu doprowadził ptaka nieco do porządku, ale powiedział, że trzeba go bardzo oszczędzać, bo tryby są wytarte, a nowych, takich, żeby dobrze grało, nie można sfabrykować. Było to wielkie zmartwienie. Raz tylko do roku nakręcano ptaka, i to już było za dużo. Ale wówczas muzyk nadworny wygłosił małą mowę, pełną dużych słów, o tym, że wszystko jest jak dawniej - i wszystko było rzeczywiście jak dawniej.

Upłynęło pięć lat i cały kraj zasmucił się wielce, bo cesarz, którego Chińczycy bardzo w gruncie rzeczy kochali, zachorował i powiadano, że miał umrzeć; obrano już nowego cesarza, lud stał na ulicy przed pałacem i pytał marszałka, jak się stary cesarz miewa. „Pi”, odpowiadał marszałek i potrząsał głową.

Zimny i blady leżał cesarz w swym wspaniałym łożu, cały dwór myślał, że już

nie żyje; i jeden dworzanin za drugim wymykał się, by pozdrowić nowego cesarza; kamerdynerzy wyszli z sali na ploteczki, a pokojówki pałacowe zapraszały znajomych na kawę. Wszystkie komnaty i krużganki wyłożono sukniem, ażeby stłumić odgłosy kroków, i wszędzie było cicho, cicho! Ale cesarz jeszcze żył; leżał sztywny i blady w swym wspaniałym łożu, przysłoniętym kotarami z aksamitu z ciężkimi, złotymi chwastami; wysoko pod sufitem jedno okno było otwarte i księżyc zaglądał przez nie, oświetlając cesarza i sztucznego ptaka.

Biedny cesarz ledwie oddychał, miał uczucie, jak gdyby coś usiadło mu na piersiach; otworzył oczy i zobaczył, że to była śmierć; siedziała na jego piersiach, włożyła na głowę jego złotą koronę, w jedną rękę wzięła złotą szablę cesarza, w drugą jego wspaniałą chorągiew, a naokoło ze wszystkich fałd kotary wyglądały ku cesarzowi dziwne twarze, niektóre brzydkie, inne znów mile i łagodne; były to złe i dobre uczynki cesarza, które patrzyły na niego, podczas gdy śmierć siedziała mu na sercu.

- Pamiętasz? - szeptały jedna za drugą. - Pamiętasz? - I opowiadały mu tyle, że aż pot spływał mu po czole.

- O tym nie wiedziałem - mówił cesarz. - Muzyka! Muzyka! Walcie w bęben chiński! Zagłuszyć to, co one tu mówią! - A one mówiły dalej i śmierć potakiwała głową, jak Chińczyk, na wszystko, co mówiono.

- Muzyka, muzyka! - krzyczał cesarz. - Mały, złoty ptaszku! śpiewaj mi, śpiewaj! Podarowałem ci tyle złota i kosztowności; zawiesiłem ci nawet mój złoty pantofel na szyi; śpiewaj mi, śpiewaj!

Ale ptak milczał; nie było nikogo, kto by go nakręcił, a on sam nie umiał przecież śpiewać; śmierć tymczasem spoglądała na cesarza wielkimi, pustymi oczodołami i było cicho, tak przeraźliwie cicho.

Nagle tuz za oknem zabrzmiał najpiękniejszy głos: to mały, żywy słowik usiadł na gałązce za oknem. Dowiedział się o tym, że jego cesarz potrzebuje pomocy, i przyleciał, by mu śpiewem dodać otuchy i nadziei. A gdy śpiewał, bladły coraz bardziej i bardziej straszne postacie; krew zaczynała żywiej krążyć w słabym ciele cesarza i nawet śmierć, słuchając śpiewu powiedziała:

- śpiewaj, słowiczku, śpiewaj dalej.

- A dasz mi tę piękną, złotą szablę? Dasz mi wspaniałą chorągiew? Dasz mi koronę cesarza? - I śmierć po kolei oddawała każdą z kosztowności za jedną pieśń, a słowik śpiewał dalej o cichym cmentarzu, gdzie rosną białe róże, gdzie pachnie dziki bez, a trawa rozwija się, skraplana łzami tych, którzy żyją; wtedy śmierć poczuła nagle tęsknotę za swoim ogrodem i w kształcie białej, chłodnej

mgły uniosła się za okno.

- Dzięki ci, dzięki! - powiedział cesarz - mały ptaszku z nieba! Znam cię przecież dobrze! Wygnałem cię z mego państwa! A jednak odpędziłeś twym śpiewem złe moce od mego łóża, a śmierć z mego serca! Jakże ci mam podziękować?

- Wynagrodziłeś mnie już, cesarzu! - powiedział słowik. - Widziałem łzy w twoich oczach, kiedy śpiewałem przed tobą po raz pierwszy, a tego nie zapomnę ci nigdy! To są klejnoty, które radują serce śpiewaka; ale spij teraz, obudź się silny i zdrow. Zaśpiewam ci coś jeszcze. Zaśpiewał, a cesarz pograżył się w słodką drzemkę. Ach, jaki łagodny, pokrzepiający był ten sen!

Słońce świeciło przez okno, gdy obudził się zdrowy i pełen sił. Z jego służby nikt jeszcze nie wrócił, bo myśleli, że cesarz nie żyje, ale słowik był przy nim i wciąż jeszcze śpiewał.

- Musisz zostać ze mną na zawsze! - powiedział cesarz - będziesz śpiewał wtedy tylko, gdy sam zechcesz, a sztucznego ptaka każę rozbić na tysiąc kawałków.

- Nie czyn tego! - powiedział słowik - przecież zrobił tyle dobrego, ile mógł. Zatrzymaj go przy sobie jak dawniej! Nie mogę zbudować gniazdka mego i mieszkać w pałacu, ale pozwól mi przylatywać od czasu do czasu, gdy sam będę miał ochotę; będę wieczorami siadywał na gałęzce za oknem i śpiewał ci pieśń, która napelni cię radością i dobrymi myślami! Będę śpiewał o szczęśliwych i o tych, którzy cierpią! Będę śpiewał o złym i dobrym, i o wszystkim, co ukryte jest przed twymi oczyma! Mały ptak zagłada wszędzie: do biednych rybaków, pod dach wieśniaków, do wszystkich, którzy z dala są od ciebie i twego dworu! Kocham twe serce więcej od twej korony, ale jednak korona ma w sobie czar świętości! Będę przylatywał, aby ci śpiewać! Tylko jedno musisz mi przyrzec!

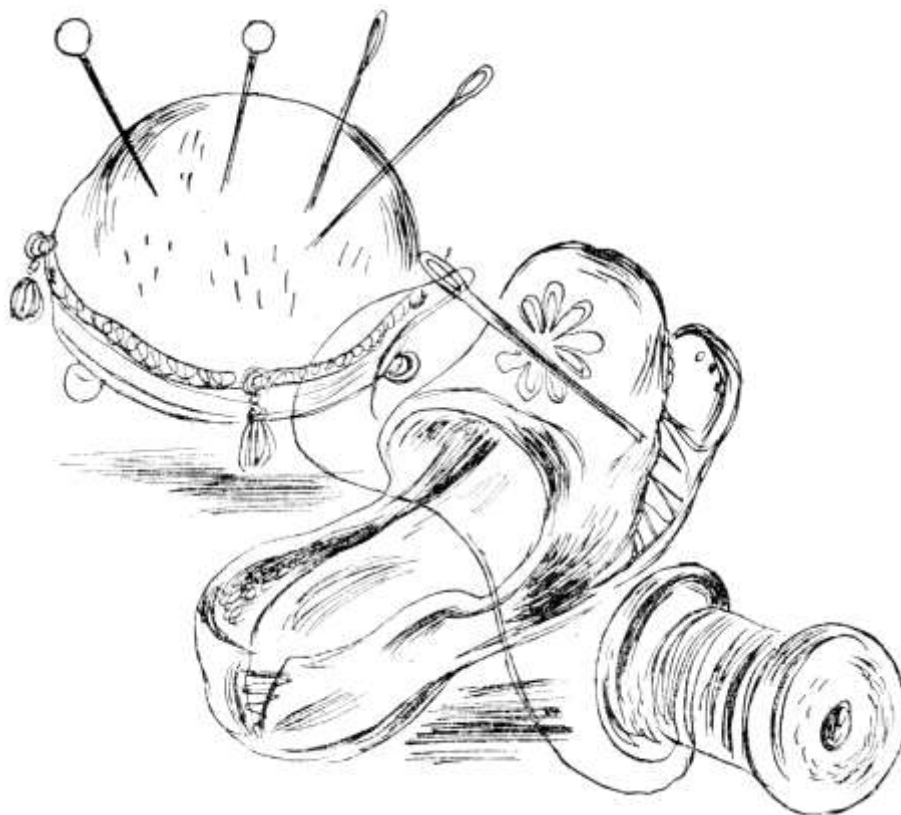
- Wszystko - powiedział cesarz i wyprostował się w swych cesarskich szatach, w które sam się oblókł, a do serca przyciskał szablę okutą ciężkim złotem.

- O jedno tylko cię proszę! Nie mów nikomu, że masz małego ptaszka, który ci mówi o wszystkim. Tak będzie nam lepiej. - I słowik wyfrunął przez okno. Służba weszła do sypialni, by popatrzeć na zmarłego cesarza. Stanęli jak wryci, a cesarz powiedział:

- Jak się macie?



# I G Ł A   D O   C E R O W A N I A



Znałem raz igłę do cerowania, która była bardzo dumna, iż wyobraziła sobie, że jest igłą do szycia.

- Uważajcie na to, co trzymacie! - mówiła do palców, które ją ujęły. - Nie upuśćcie mnie! Gdy upadnę na podłogę, nie będzie mnie można odnaleźć, tak jestem cienka.

- Jakoś to będzie - powiedziały palce i chwyciły ją w pól.

- Widzicie, jaki mam orszak - powiedziała igła do cerowania i pociągnęła za sobą nitkę, le bez supelka.

Palce zaszywały igła do cerowania pantofle kucharki; pantofle te miały odprutą przyszwę trzeba ją było zeszyć.

- Cóż to za pospolita robota! - zawołała igła do cerowania. - Nigdy nie przejdę przez tę przyszwę! Łamię się, łamię się! - I złamała się naprawdę.

- Czyż nie mówiłam? - powiedziała igła do cerowania. - Jestem za delikatna.

"Jest do niczego" - pomyślały palce, ale musiały ją mocno trzymać; kucharka pokropiła igłę lakiem i wpięła ją w swój szal.

- Tak, teraz jestem broszką - powiedziała igła do cerowania. - Wiedziałam, że dostąpię zaszczytu; kiedy się jest czymś, dochodzi się do czegoś.

I przy tym zaśmiała się, ale tylko w głębi ducha, bo po igle do cerowania nigdy nie widać, że się śmieje; siedziała więc dumna jak w karecie i oglądała się na wszystkie strony.

- Mogę mieć zaszczyt spytać, czy pani jest zrobiona ze złota? - spytała sąsiadki-szpilki. - Wygląda pani czarująco i ma pani swoją własną głowę, wprawdzie bardzo małą. Musi się pani starać, aby ta główka urosła, bo nie każdego można skleić lakiem. - Igła do cerowania wyprostowała się przy tym tak dumnie, że wypadła z szala i dostała się do zlewu, właśnie gdy kucharka wylewała pomyje.

"Jechać, to jechać - pomyślała - obym tylko nie zginęła!"

A jednak zginęła.

- Jestem za delikatna dla tego świata - powiedziała leżąc w rynsztoku. - Ale mam poczucie swojej wartości, a to zawsze sprawia pewne zadowolenie. - Toteż igła do cerowania trzymała się prosto i nie traciła dobrego humoru.

A tym czasem nad nią pływały wszystkie możliwe odpadki: patyczki, źdźbła słomy i skrawki gazet.

- Popatrzcie, jak płyną - mówiła igła do cerowania. - Nie wiedzą wcale, kto tu tkwi pod nimi. To ja! Siedzę tu! Patrzcie, oto przepływa tu patyczek, który myśli jedynie o patyczku, to znaczy, o sobie samym; tam znowu źdźbło słomy, jak się to kręci, jak wiruje! Nie myśl tak wiele o sobie, możesz się zahaczyć o kamienie. A oto przepływa gazeta. Zapomniano już dawno o tym, co w niej jest napisane, a ona wierzy wciąż w swoją wielkość. Tymczasem ja siedzę cierpliwie i cicho. Wiem, czym jestem i taka już zostanę!

Pewnego dnia zabłyszczało coś cudnie obok niej, igła do cerowania myślała, że to brylant, ale był to tylko kawałek stłuczonej butelki; ponieważ jednak błyszczał, igła do cerowania przemówiła do niego i przedstawiła mu się jako broszka.

- Pani jest zapewne brylantem?

- Tak, czymś w tym rodzaju. - I jedno myślało o drugim, że jest czymś drogo-cennym; rozmawiały o tym, jak świat jest próżny.

- Mieszkałam w pudełku jednej panienki - powiedziała igła do cerowania. - Ta panienka była kucharką, u każdej ręki miała pięć palców, czegoś podobnie zarozumiałego jak te palce nie widziałam nigdy w życiu; przecież istniały tylko po to, aby mnie trzymać, aby mnie wyjmować z pudełka i kłaść do pudełka.

- Czy miały połysk? - spytała stłuczona butelka.

- Połysk? - powiedziała igła. - Nie, były tylko próżne. Było ich pięciu braci,



wszystko rodowite palce. Żyły dumnie obok siebie, chociaż były różnej długości. Pierwszy z nich był krótki i gruby, wychodził z szeregu i miał tylko jedno zgięcie w plecach, mógł się tylko raz ukłuć, ale opowiadał, że człowiek, gdy go straci, nie nadaje się już więcej do służby wojskowej. Drugi palec, wskazujący, zanurzał się w słodkie i kwaśne,, wskazywał na księżyc i na słońce, i przyciskał pióro podczas pisania. Środkowy palec patrzył poprzez głowy innych, serdeczny spacerował opasany złotym pierścieniem, a mały palec nie robił nic i był z tego dumny. Próżność, nic - tylko próżność panowała wśród nich i dlatego przeniosłam się do zlewu.

- A teraz siedzimy tutaj i błyszczymy - powiedziała stłuczona butelka.

W tej samej chwili do rynsztoka napłynęło więcej wody, uciekała wszystkimi otworami i porwała za sobą szkło butelki.

- Patrzcie, przeniesiono ją na wyższe stanowisko - powiedziała igła do cerowania.- Ja zostałam na miejscu, jestem zbyt delikatna, ale jestem z tego dumna, a moja duma jest godna szacunku. - Siedziała wyprostowana i rozmyślała.

"Jestem taka delikatna, być może, że urodził mnie słoneczny promień, wydaj mi się, że słońce szuka mnie zawsze pod wodą. Ach, jestem tak delikatna, że własna matka nie może mnie znaleźć; gdybym miała moje dawne czoło, które się złamało, myślę, że mogłabym płakać. Ale nie uczynię tego, płakać o niewykwintnie!" Pewnego razu dwóch uliczników położyło się nad rynsztokiem; szukali strych gwoździ, monet i innych rupieci. Nie było to czyste zajęcie, ale im to sprawiło przyjemność.

- Ach! - zawołał jeden z nich; ukłuł się igłą do cerowania. - Cóż to za łajdak.

- Nie jestem łajdakiem, jestem piękną - powiedziała igła, ale nikt tego nie słyszał; lak skruszył się i igła szerniała, ale czarny strój wyszczupła i dlatego igle wydało się, że jest jeszcze bardziej wytworna niż przedtem.

- Patrz, płynie skorupka jajka! - zwołali chłopcy i wsadzili igłę w skorupkę.

- Białe ściany, a wśród nich ja, czarna - powiedziała igła do cerowania - to dobrze wygląda. Tak można mnie zauważyć, obym tylko nie dostała morskiej choroby i nie wymiotowała. - Żołądek ze stali i poczucie własnej wyższości nad człowiekiem to dobre to dobre środki przeciwko morskiej chorobie. Moje złe samopoczucie już przeszło. Im się jest wykwintniejszym, tym można więcej przetrzymać!

- Trach! - zawołała skorupka, przejechał ją naładowany wóz.

- Ach, jak mnie ciśnie - powiedziała igła do cerowania. - Teraz dostaję jednak morskiej choroby. Łamię się! Łamię się! - Ale nie złamała się, chociaż przejechał po

niej naładowany wóz, leżała dalej jak długa w rynsztoku i tam już może sobie zostać na zawsze.

# L A T A J A C Y      K U F E R



Był sobie pewnego razu kupiec tak bogaty, że mógł całą ulicę i jeszcze jedną małą uliczkę wybrukować srebrnymi pieniędzmi. Ale nie czynił tego, gdyż z pieniędzy swych robił inny użytek: wydawał szylinga, a dostawał z powrotem talara. Taki to był sprytny kupiec. W końcu jednak umarł.

Pieniądze dostały się jego synowi. Ten żył sobie ogromnie wesoło, co noc chodził na maskaradę. Robił latawce z banknotów, a złotymi monetami puszczał kaczki po wodzie, w ten sposób pieniądze mogły się łatwo wyczerpać, i tak się też stało. Wreszcie zostały mu już tylko cztery szylingi, para pantofli i stary szlafrok. Przyjaciele przestali się nim zajmować, bo nie mogli przecież spacerować z nim po ulicy, ale jeden z nich, który miał dobre serce, przesłał mu stary kufer i powiedział:

- Pakuj manatki!

Było to bardzo pięknie powiedziane, ale on nie miał co pakować do kufra, więc wszedł sam do wnętrza.

A kufer nie był zwyczajny! Wystarczyło nacisnąć zamek, a natychmiast wzno-

sił się w powietrze. Syn kupca nacisnął zamek, i hops! wyleciał przez komin wysoko nad chmury i coraz wyżej, i wyżej. Dno kufra trzeszczało, a on bał się nie na żarty, by kufer nie rozleciał się na kawałki, bo wówczas fiknąłby porządnego kozła. Nie daj Boże! W ten sposób przyleciał do kraju Turków. Kufer schował w lesie pod suchymi liśćmi i udał się do miasta. Mógł to doskonale zrobić, bo w Turcji wszyscy chodzą jak on w pantoflach i w szlafroku. Po drodze spotkał niańkę z dzieckiem.

- Słuchaj ty turecka niańko - powiedział. - Co to za wielki zamek z wysokimi oknami wznosi się tam za miastem?

- Mieszka w nim córka króla - odpowiedziała. - Przepowiedziano jej, że będzie bardzo nieszczęśliwa przez ukochanego, i dlatego nikt nie ma do niej dostępu inaczej jak w obecności króla i królowej!

- Dziękuję! - powiedział syn kupca; potem wrócił do lasu, wlaź do kufra, poleciał na dach i wszedł przez okno do księżniczki.

Leżała na kanapie i spała. Była tak śliczna, że syn kupca musiał ją pocałować. Obudziła się i przestraszyła wielce, ale on powiedział, że jest bogiem tureckim, że przyleciał przez komin, i to się jej spodobało.

Potem usiedli obok siebie i on zaczął opowiadać historie o jej oczach: że są jak piękne, ciemne jeziora, po których myśli pływają niby rusalki. I opowiadał o jej czole: że jest jak śnieżny szczyt w najpiękniejszym krajobrazie, i opowiadał o bocianie, który przynosi małe, śliczne dzieci.

To były śliczne historyjki! Potem poprosił księżniczkę o rękę, a ona od razu się zgodziła.

- Musisz przyjść tu w sobotę! - powiedziała. - Wtedy król i królowa są u mnie na herbacie! Jakże będą dumni, że zdobyłam boga Turków; ale pamiętaj, żebyś im opowiedział jakąś bardzo ładną bajkę, bo moi rodzice najbardziej lubią bajki: dla mamy musi być moralna i dystygowana, a dla ojca wesoła, żeby się można było uśmieć!

- Dobrze! - odpowiedział. - Jako narzeczeńskie prezenty będę przynosił jedynie opowieści!

I pożegnali się. A księżniczka dała mu szablę pokrytą złotymi monetami, które mu się ogromnie przydały.

Poleciał do miasta, kupił sobie nowy szlafrok. Potem siedział w lesie i układał bajkę, która musiała być gotowa na sobotę, a to przecież nie jest takie łatwe.

Kiedy skończył, nadeszła sobota.

Król, królowa i cały dwór czekali z herbatą u księżniczki. Przyjęto go bardzo

łaskawie.

- Czy zechce pan opowiedzieć bajkę - spytała królowa - głęboką i pouczającą?
- Ale taką, z której można się uśmieć - powiedział król.

- Tak, oczywiście! - odrzekł i zaczął opowiadać. - Słuchajcie. „Była raz wiązka zapalek, ogromnie dumnych ze swego pochodzenia. Ich drzewo genealogiczne, to znaczy duża jodła, z której gałęzi zostały zrobione, było starym drzewem w lesie. Zapalki leżały teraz między krzesiwem a starym garnkiem żelaznym i opowiadały im o swej młodości:

- Kiedy mieszkaliśmy na zielonych gałęziach - mówiły - było nam jak w raju; co rano i wieczór piłyśmy herbatę z brylantów, to była rosa, cały dzień spędzałyśmy w blasku słońca, jeśli słońce świeciło, i słuchałyśmy bajek, które wszystkie ptaszki musiały nam opowiadać. Wiedziałyśmy też o tym, że jesteśmy bogate, bo drzewa liściaste były odziane tylko latem, naszą zaś rodzinę stać było na zielony strój zarówno w zimie, jak w lecie. Ale przyszedł drwal i nastąpiła rewolucja. Rodzina nasza rozprysła się, pień główny otrzymał posadę jako główny maszt na pięknym okręcie, który miał opłynąć cały świat, gałęzie rozesłano w różne strony, a naszym zadaniem jest nieść światło dla mas, dlatego my, tak wytworne istoty, przebywamy w tej oto kuchni.

- Mój los jest odmienny - powiedział żelazny garnek stojący obok zapalek. - Od chwili kiedy przyszedłem na świat, gotowano we mnie i szorowano mnie. Ja dbam o rzeczy solidne i właściwie zajmuję pierwsze miejsce w domu. Jedyną moją przyjemnością jest, po obiedzie, kiedy mnie już wyczyszczą i wyszorują stać na swoim miejscu i prowadzić rozsądne rozmowy z moimi towarzyszami. Ale z wyjątkiem wiadra do wody, które od czasu do czasu schodzi na podwórze, żyjemy tu wszyscy w czterech ścianach. Jedynym zwiastunem nowinek jest dla nas koszyk, kiedy wraca z targu, opowiada dużo, ale tak niespokojnie mówi o rządzie i o ludzie. Nawet niedawno jeden stary garnek, słuchając tego, rozpadł się w kawałki - to jest, zapewniam was, prawdziwy liberał!

- Za dużo gadasz! - powiedziało krzesiwo i stal uderzyła o krzemień, tak że posypały się iskry. - Chcecie, urządzimy sobie wesoły wieczór.

- Doskonale! Pomówimy o tym, kto z nas jest najwytworniejszy! - powiedziały zapalki.

- Nie, nie lubię mówić o sobie! - zaprotestowała gliniana misa.

- Prowadźmy lepiej rozmowę towarzyską. Ja zacznę, opowiem wam coś, co każdy z was przeżył, więc się łatwo wczujecie, a to jest bardzo przyjemne. Więc: nad brzegiem Bałtyku, wśród buków duńskich...

- Jak ładnie się zaczyna! - powiedziały talerze. - To będzie opowiadanie, które się nam z pewnością spodoba.

- Tak, tam spędziłam młodość w pewnej spokojnej rodzinie. Czyszczono tam meble, szorowano podłogi, a co dwa tygodnie zawieszano czyste firanki!

- Jakże pani zajmująco opowiada! - pochwaliła miotła. - Od razu można poznać, że to opowiada kobieta, taka jakaś czystość wieje z tego!

- Tak, to się czuje! - powiedziało wiadro i podskoczyło z radości, hop! aż woda plusnąwszy na podłogę odpowiedziała: płask!

A gliniana misa ciągnęła dalej swe opowiadanie, którego koniec był równie piękny jak początek.

Talerze zabrzęczały z radości, a miotła wyciągnęła ze śmietnika zieloną pietruszkę i uwieńczyła misę, bo wiedziała, że tym rozzłości innych.

«Uwieńczę ją dzisiaj! - pomyślała. - Za to ona uwieńczy mnie jutro!»

- A teraz zatańczę! - powiedział pogrzebacz.

I zatańczył, Boże zmiłuj się! Jak wysoko podnosił w górę swą jedyną nogę! Aż stary pokrowiec na krześle stojącym w kącie pękł ze śmiechu na ten widok!

- Czy teraz i mnie uwieńczycie? - spytał pogrzebacz.

I został uwieńczony.

«Ach, cóż to za motłoch!» - pomyślały zapalki.

Teraz przyszła kolej na samowar: miał śpiewać, ale powiedział, że jest przeziębiony i że śpiewa jedynie wtedy, gdy jest zagrzany. Oczywiście były to tylko wielkopańskie fochy; nie wypadało mu śpiewać gdzie indziej niż u państwa na stole,

W oknie tkwiło stare gęsie pióro, którym pisała służąca; nie było w nim nic szczególnego, chyba to, że maczano je zbyt głęboko w atramencie, ale ono było i z tego dumne.

- Jeżeli samowar nie chce śpiewać, to dajcie mu pokój! Za oknem wisi klatka ze słowikiem, który też umie śpiewać; nie uczył się co prawda, ale na dzisiejszy wieczór musi nam wystarczyć!

- Uważam za ogromnie niestosowne - powiedział czajnik, śpiewak kuchenny i brat przyrodni samowara - abyśmy słuchali śpiewu takiego obcego ptaka! Czy to patriotycznie? Niechże koszyk rozstrzygnie tę kwestię!

- Złości mnie to! - zawołał koszyk. - Złości niesłuchanie, że w tak niemądry sposób spędzamy wieczór! Czy nie lepiej byłoby zająć się porządkiem w domu? Każdy wróciłby na swoje miejsce, a ja kierowałbym zabawą. To byłoby coś zupełnie innego!

- Dobrze, zgadzamy się! - zawołali wszyscy.

W tej chwili drzwi się otworzyły; weszła służąca i wszyscy znieruchomieli na swoich miejscach. Nikt nie powiedział ani słówka. Ale po cichu każdy myślał o sobie, nawet najlichszy garnek myślał o tym, jak bardzo jest wytworny i że wszystko potrafiłby zrobić! «Tak, gdybym tylko zechciał - myślał każdy - mógłbym urządzić naprawdę wesoły wieczór!»

Służąca wzięła zapalki i rozpałała nimi ogień. Mój Boże! Jakże trzaskały i buchały płomieniem.

«Teraz każdy widzi, że jesteśmy najważniejsze! - myślały zapalki. - Jakież to blask z nas bije! Jakie światło!»

I tak myśląc spłonęły.»

- Tak, to była piękna bajka! - powiedziała królowa. - Po prostu byłam w kuchni z tymi zapalkami. Bierz naszą córkę za żonę!

- Tak! - potwierdził król. - W poniedziałek oddamy ci córkę!

Mówili do niego „ty”, bo należał już do rodziny.

W ten sposób wyznaczono dzień wesela, a w wigilię tego dnia całe miasto było rzeźnięcie iluminowane. Między lud rzucono ciastka i obwarzanki; ulicznicy wspinali się na palce, gwizdali i wołali: „Hura!” Było to niebywale wspaniale.

„I ja chyba muszę pokazać coś ładnego!” - pomyślał syn kupca. Nakupił dużo rakiet, fajerwerków i sztucznych ogni, włożył 19 wszystko do swego kufra i wyleciał z tym w powietrze;

Trrrach! - Trzaskało i huczało!

Turcy podskakiwali na ten widok z radości tak, że aż pantofle fruwały im koło uszu. Czegoś podobnego jeszcze nie widzieli. Toteż uwierzyli, że to bóg turecki żeni się z księżniczką.

Gdy syn kupca wrócił ze swym kufrem do lasu, pomyślał: „Pójdę trochę do miasta posłuchać, co ludzie o tym wszystkim mówią!” Był bardzo ciekawy.

Co też ci ludzie wygadywali! Każdy, kogo spytał, opowiadał na swój sposób, ale wszyscy mówili, że to było piękne.

- Widziałem na własne oczy tureckiego boga! - powiedział jeden. - Miał oczy jak błyszczące gwiazdy, a brodę jak wzburzone fale!

- Leciał w płaszczu ognistym! - mówił drugi. - A z fałd płaszcza wyglądały cudne aniołki.

Tak, pięknych historyjek nasłuchał się syn kupca. A nazajutrz miało być wesele.

Potem zaś poszedł do lasu, by wsiąść do swego kufra: Ale co to? Gdzie kufer? Kufer się spalił. Została w nim iskierka z fajerwerków, kufer się od niej zajął i

oto był już tylko popiołem. Syn kupca nie mógł już latać, nie mógł pofrunąć do narzeczonej.

A narzeczona stała cały dzień na dachu i czekała. Czeka tam pewnie jeszcze do dziś, a syn kupca wędruje po świecie i opowiada bajki, ale te bajki nie są już takie wesołe jak tamta, którą opowiadał o zapalkach.







Była sobie pewnego razu kobieta, która bardzo, bardzo pragnęła mieć malutkie dziecko, ale nie wiedziała, skąd je wziąć. Poszła więc do starej czarownicy i powiedziała jej:

- Pragnęłabym z całego serca mieć małe dziecko, czy mogłabyś mi powiedzieć, skąd je mogę wziąć?

- Znajdziemy na to radę - powiedziała czarownica. - Masz tu ziarnko jęczmienia, nie z tego gatunku, który rośnie na chłopskim polu, ani z tego, który jedzą kury. Wsadź je do doniczki, zobaczysz, co z tego wyrośnie!

- Dziękuję ci - powiedziała kobieta i dała czarownicy dwanaście groszy. Potem poszła do domu, zasadziła ziarnko jęczmienia i natychmiast wyrósł piękny, duży kwiat, który wyglądał jak tulipan, ale płatki miał stulone tak, jak gdyby kwiat był jeszcze w pączku.

- Jakiż to piękny kwiat! - powiedziała kobieta i pocałowała śliczne czerwone i

żółte płatki. I w chwili kiedy składała ten pocałunek, rozległ się jak gdyby wystrzał i kwiat otworzył się od razu. Był to prawdziwy tulipan, ale w środku kwiatu siedziała na zielonym słupku małeńka dziewczynka, śliczna i delikatna. Miała nie więcej niż cal wysokości i dlatego nazwano ją Calineczką. Pięknie polakierowana łupina włoskiego orzecha służyła jej za kołyskę, błękitne płatki fiołków zastępowały materace, a płatek róży - kołdrę. Spała tam w nocy, a w dzień bawiła się na stole, gdzie kobieta postawiła talerz, a naokoło zrobiła wianek z kwiatów, których łodygi leżały w wodzie; po talerzu pływał wielki płatek tulipana, a Calineczka mogła na nim siedzieć i pływać z jednego brzegu talerza na drugi, a zamiast wiosel miała dwa białe końskie włosy. Wyglądało to prześlicznie. Calineczka umiała także śpiewać tak pięknie i wdzięcznie jak nikt na świecie.

Pewnej nocy, gdy leżała w swoim ślicznym łóżeczku, przyszła wstrętna ropucha; wskoczyła przez okno, bo szyba była stłuczona. Ropucha była brzydka, duża i mokra, wskoczyła na stół, gdzie Calineczka spała pod czerwonym płatkiem róży.

- Piękna byłaby z niej żona dla mego syna! - powiedziała ropucha, wzięła skorupę orzecha, gdzie spała Calineczka, i razem z nią zeskoczyła z okna do ogrodu.

Przepływała tam szeroka rzeka, brzeg jej był bagnisty, tu mieszkała ropucha ze swoim synem.

Och, jakież był brzydki i wstrętny, zupełnie jak jego matka. „Kwa, kwa, brekekeks!”, to było wszystko, co potrafił powiedzieć, kiedy zobaczył śliczną małeńką dziewczuszkę w łupinie orzecha.

- Nie mów tak głośno, bo się obudzi - powiedziała stara ropucha. - I jeszcze nam ucieknie, bo jest lekka jak łabędzi puch. Posadźmy ją na rzece, na dużym liściu lilii wodnej, tam jej będzie dobrze. Ona jest taka lekka i mała, że liść ten jest dla niej całą wyspą. Stamtąd nam nie ucieknie. A my tymczasem doprowadzimy do porządku odświeżoną izbę pod bagnem, gdzie zamieszkacie po ślubie.

Na rzece rosło mnóstwo wodnych lilii z szerokimi liśćmi, które wyglądały, jakby pływały po wodzie. Liść leżący najdalej był największy, do niego podpłynęła ropucha i postawiła na nim łupinkę orzecha z Calineczką.

Biedna, mała istotka obudziła się wczesnym rankiem i kiedy zobaczyła, gdzie się znajduje, zaczęła gorzko płakać, bo liść otoczony był ze wszystkich stron wodą i nie mogła się wydostać na ląd.

Stara ropucha siedziała na dole w bagnie i zdobiła izbę trzcina i żółtymi płatkami nenufarów; wszystko musiało być piękne dla nowej synowej; potem podpłynęła razem ze swoim wstrętnym synem do liścia, na którym stała Calineczka.

Chcieli zabrać jej śliczne łóżko i wstawić do pokoju młodej pary, zanim ona sama się tam zjawi. Stara ropucha skłoniła się głęboko w wodzie przed Calineczką i powiedziała:

- Oto widzisz mego syna, zostanie on twoim mężem, a zamieszkacie z przepychem na dole, w bagnie!

- Kwa, kwa brekekekeks! - to było wszystko, co potrafił powiedzieć syn.

Potem wzięli śliczne małe łóżeczko i odpłynęli z nim, a Calineczka siedziała sama na zielonym listku i płakała, bo nie chciała zamieszkać u wstrętnej ropuchy ani zostać żoną jej obrzydliwego syna. Małe rybki, które pływały w wodzie, widziały ropuchę, słyszały, co mówiła, i wysunęły głowy z wody chcąc obejrzyć małą dziewczynkę. Zachwyciły się nią bardzo i zrobiło im się naprawdę żal, że będzie musiała zamieszkać u wstrętnej ropuchy. Nie, nigdy, przenigdy! Zebrały się pod powierzchnią wody naokoło zielonej łodygi z liściem, na którym stała, przegryzły zębami łodygę i liść popłynął z biegiem strumienia, a na nim Calineczka daleko, daleko, tam gdzie ropucha nie mogła już jej dogonić.

Calineczka przepływała obok różnych okolic, a małe ptaszki siadały w krzakach, patrzyły na nią i śpiewały:

„Jakaż to miła, mała dziewczynka!” Liść razem z nią płynął coraz dalej i dalej; w ten oto sposób powędrowała Calineczka za granicę.

Uroczy, mały biały motylek krążył nad nią od dawna i w końcu usiadł na liściu, gdyż Calineczka spodobała mu się niezmiernie; i ona również była bardzo zadowolona, bo ropucha nie mogła jej już dogonić i tak pięknie było tam, gdzie przepływała; słońce świeciło na wodzie i wyglądało jak błyszczące złoto. Calineczka wzięła swój pasek i przywiązała jednym końcem motylka, drugi koniec wstążki przymocowała do liścia, ruszył on teraz o wiele szybciej i ona również, bo przecież stała na liściu.

Nagle sfrunął wielki chrabąszcz, spostrzegł ją, w mgnieniu oka schwycił w swe macki smukłą dziewczynkę i pofrunął z nią na drzewo, a zielony liść płynął dalej po rzece i motyl również, bo był przecież przywiązany do liścia i nie mógł się uwolnić.

Mój Boże, jak bardzo przestraszyła się biedna Calineczka, kiedy chrabąszcz usiadł z nią na drzewie! Najbardziej martwiła się jednak tym, że przywiązała motylka, bo przecież jeżeli nie uda mu się uwolnić, umrze z głodu. Ale chrabąszcz nie troszczył się o to wcale. Usadowił się razem z nią na największym zielonym liściu na drzewie, nakarmił ją słodkim kwiatowym sokiem i powiedział

jej, że jest urocza, chociaż zupełnie nie przypomina chrabąszcza. Później przyszły z wizytą wszystkie chrabąszcze mieszkające na tym samym drzewie; obejrzały ją; panny chrabąszczówny potrząsały mackami i mówiły: „Ona ma tylko dwie nogi, jakże to nędznie wygląda! Nie ma macek - mówiły inne. - Jakaż jest cienka w pasie, fe, wygląda jak człowiek! Jaka brzydka!!!” - mówiły wszystkie chrabąszczówny, a Calineczka była przecież taka śliczna! Tak też myślał z początku chrabąszcz, który ją porwał, ale gdy wszyscy mówili, że jest brzydka, zaczął sam w końcu tak sądzić i nie chciał jej już wcale. Niech sobie idzie, dokąd chce. Chrabąszcze sfrunęły razem z nią z drzewa i posadziły ją na stokrotce; a Calineczka płakała, że chrabąszcz jej nie chce, bo jest taka brzydka, a przecież była najmiłszą istotą, jaką można sobie wyobrazić, taka delikatna i jasna jak najpiękniejszy płatek róży.

Przez całe lato mieszkała biedna Calineczka sama jedna w dużym lesie. Upłótła sobie łóżko z traw i powiesiła pod wielkim liściem szczawiu, aby deszcz na nią nie padał; zbierała słodki sok z kwiatów i wypijała rosę, która co rano lśniła na liściach. Tak przeszło lato i jesień, ale oto przyszła zima, mroźna, długa zima. Wszystkie ptaki, które tak pięknie dla niej śpiewały, odleciały. Drzewa i kwiaty zwiędły, wielki szczawiovowy liść, pod którym mieszkała, zwinął się i pozostał tylko żółty, suchy badył. Calineczka marzła straszliwie, bo jej sukienki podarły się, a ona sama była taka delikatna i taka mała. Biedna Calineczka, mogła zamarznąć na śmierć! Zaczął padać śnieg i każdy płatek śniegu, który na nią padał, był tym, czym dla nas cała łopata śniegu, bo my jesteśmy wielcy, a ona miała tylko cal długości. Otuliła się zeschniętym listkiem, ale nie ogrzało jej to wcale; drżała z zimna.

Tuż pod lasem, gdzie mieszkała, znajdował się duży łąn zboża, ale zboża nie było już od dawna, tylko nagie, wyschłe rzysko sterczało na zmarzniętej ziemi. Rzysko to wydawało się Calineczce tak duże jak olbrzymi las, o, jakże drżała z zimna! Doszła wreszcie do mieszkania polnej myszki. Myszka mieszkała w małej norze pod ścierniskiem. Było tam ciepło i zacisznie, cały pokój wypełniony był ziarnami zboża, oprócz pokoju była piękna kuchnia i spiżarnia. Biedna Calineczka stanęła w drzwiach jak mała żebraczka i poprosiła o maleńkie ziarnko jęczmienia, bo od dwóch dni nic nie miała w ustach.

- Moje ty biedne stworzonko! - powiedziała polna mysz, bo w gruncie rzeczy była to dobra, stara mysz - wejdź do mego ciepłego pokoju i zjedz ze mną obiad.

A ponieważ Calineczka jej się spodobała, powiedziała:

- Mogłabyś zostać u mnie przez zimę, ale musisz ładnie, czysto sprzątać mój

pokój i opowiadać mi bajki, bo bardzo bajki lubię.

Calineczka robiła wszystko, czego wymagała od niej stara mysz polna, i odtąd wiodło jej się wcale dobrze.

- Będziemy miały wkrótce odwiedziny - powiedziała mysz polna - mój sąsiad ma zwyczaj odwiedzania mnie raz na tydzień. Powodzi mu się jeszcze lepiej niż mnie, ma wielkie salony i nosi piękne, czarne aksamitne futro. Gdyby chciał cię wziąć za żonę, miałabyś los zapewniony, Tylko że jest niewidomy. Musisz mu opowiadać najpiękniejsze bajki, jakie znasz!

Ale Calineczka nie miała na to ochoty, nie zależało jej wcale na sąsiedzie, gdyż był to kret. Przyszedł wreszcie w odwiedziny w swym czarnym aksamitnym futrze. Mysz polna mówiła, że jest taki bogaty i uczony, i że jego mieszkanie było więcej niż dwadzieścia razy większe od mieszkania myszy; był rzeczywiście uczony, ale nie znosił słońca i pięknych kwiatów, mówił o nich źle, bo ich nigdy nie widział. Calineczka musiała mu śpiewać i zaśpiewała: „Leć, chrabąszczu, leć” i „Chodzi mniszek po łące!” Wtedy kret zakochał się w niej, zachwycony jej pięknym głosem, ale nie powiedział nic, bo był to już taki rozważny jegomość. Wykopał sobie w ziemi długi korytarz, prowadzący od jego domu do nory myszy; pozwolił Calineczce i myszy, spacerować po tym korytarzu, kiedy tylko będą chciały. Prosił je, aby się nie bały martwego ptaka, który leży w korytarzu. Był to cały ptak ze skrzydłami i z dziobem, umarł zapewne niedawno i pochowano go właśnie tam, gdzie kret wykopał swój korytarz.

Kret wziął do pyska kawałek próchna, które świeciło w ciemnościach, szedł przodem i świecił im w długim, ciemnym korytarzu. Gdy przyszedli do miejsca, gdzie leżał martwy ptak, kret wparł swój szeroki nos w powalę i rozrzucił ziemię, dopóki nie zrobił dużego otworu, przez który przeświecało światło. Pośrodku na podłodze leżała martwa jaskółka; piękne jej skrzydła były z obu stron przyciśnięte do boków, nogi i głowa schowane pod pióra; biedny ptak na pewno umarł z zimna. Calineczce strasznie go było żal, kochała tak bardzo wszystkie ptaszki, które jej tak pięknie śpiewały i ćwierkały, ale kret trącił ptaka swoją krótką nogą i powiedział:

- Nie będzie już nigdy śpiewać! Jakże godne politowania jest stworzenie, które urodziło się ptakiem! Bogu niech będą dzięki, że żadne z moich dzieci nie będzie ptakiem; taki ptak nie potrafi nic, tylko wołać: „kwiwit”, a w zimie musi umierać z głodu!

- Tak, mówi pan jak człowiek rozsądny - odezwała się mysz polna. - Co przyjdzie ptaszkowi z jego świergotu, gdy nadchodzi zima? Musi głodować i marznąć.

Jednak jest w tym coś wzniosłego.

Calineczka nie powiedziała nic; ale gdy oboje odwrócili się plecami do ptaka, schyliła się, odgarnęła pióra, które zakrywały mu głowę, i pocałowała go w zamknięte oczy. „Może to on tak latem ślicznie mi śpiewał - myślała. - Ileż radości sprawił mi ten kochany, piękny ptaszek!”

Kret zatkał dziurę, przez którą przeświecał jasny dzień, i odprowadził panie do domu. Ale w nocy Calineczka nie mogła spać; wstała z łóżka i uplotła ze słomy duży, ładny dywan, który zaniósła do korytarza, i przykryła nim martwego ptaszka, potem po obu stronach ptaszka położyła miękką bawełnę, znaną w pokoju myszy; chciała, aby był ciepło przykryty w zimnej ziemi.

- Żegnaj, śliczny mały ptaszku! - powiedziała. - Żegnaj, i dziękuję ci za twój cudny śpiew w lecie, gdy wszystkie drzewa były zielone i słońce tak mocno nam świeciło!

Potem przyłożyła swą głowę do piersi ptaszka, ale nagle przeraziła się, bo wydało jej się, jak gdyby w środku coś pukało; było to serce ptaszka. Nie był martwy, tylko skostniały z zimna, a teraz ogrzał się i powracał do życia.

Jesienią wszystkie jaskółki odlatują do ciepłych krajów, ale ta, która się spóźni, marznie, pada na ziemię i przykrywa ją zimny śnieg. Calineczka drżała na całym ciele, tak bardzo była przestraszona; ptak był duży, bardzo duży w porównaniu z nią, która miała tylko cal długości.

Ale zebrała się na odwagę, otuliła mocniej bawełną biedną jaskółkę, przyniosła miętowy listek, który jej służył za kołdrę, i przykryła nim głowę ptaka.

Następnej nocy wysliznęła się do niego znowu; był żywy, ale tak słaby, że mógł tylko na chwilę otworzyć oczy i spojrzeć na Calineczkę, która stała z kawałkiem próchna w dłoni, bo innej latarni nie miała.

- Dziękuję ci, moje śliczne, małe dziecko! - powiedziała chora jaskółka. - Tak się doskonale ogrzałam. Wkrótce odzyskam siły i będę mogła latać na dworze w ciepłym blasku słońca.

- Ach! - powiedziała Calineczka - na dworze jest tak zimno, śnieg i mróz. Leż w twoim ciepłym łóżku, będę cię pielęgnowała!

Przyniosła jaskółce wody w płatku kwiatka; jaskółka wypila wodę i opowiedziała jej, jak to zraniła sobie skrzydełko o ciernisty krzak i nie mogła z tego powodu tak prędko fruwać jak inne jaskółki, które odleciały daleko, daleko, do ciepłych krajów. Upadła na ziemię, ale potem nie wie już nic, co się z nią działo i jak się tu znalazła.

Przez całą zimę została jaskółka pod ziemią, a Calineczka była dla niej dobra i

kochała ją bardzo; ani kret, ani mysz polna nie mieli o tym pojęcia, bo nie lubili przecież biednej, ubogiej jaskółki.

Natychmiast gdy przyszła wiosna i słońce ogrzało ziemię, jaskółka powiedziała Calineczce: „do widzenia”, i otworzyła dziurę zrobioną przez kreta w górze. Słońce tak pięknie świeciło i jaskółka spytała dziewczynkę, czy nie chciałaby z nią razem polecieć, mogłaby siedzieć na jej grzbiecie, poleciałaby daleko, do zielonego lasu. Ale Calineczka wiedziała, że stara mysz polna zmartwiłaby się, gdyby ją w ten sposób porzuciła.

- Nie, nie mogę - powiedziała.

- Bądź zdrowa, moja dobra, śliczna dziewczynko! - pożegnała ją jaskółka i poleciała ku słońcu. Calineczka patrzyła na nią i oczy jej napełniły się łzami, bo bardzo kochała jaskółkę.

- Kwiwit! kwiwit! - śpiewał ptaszek i pofrunął do zielonego lasu. Ale Calineczka była bardzo smutna. Nie mogła wyjść na ciepłe słońce; zboże, które było zasiane dookoła domu polnej myszki, wyrosło tak wysoko, że dla biednej, małej Calineczki był to duży, gęsty las, miała przecież tylko cal wzrostu.

- Latem musisz sobie uszyć wyprawę - powiedziała do niej mysz polna, bo właśnie sąsiad, nudny kret w czarnym futrze, poprosił o jej rękę. - Musisz mieć suknie i bieliznę, abyś miała w czym chodzić i w czym spać, kiedy będziesz żoną kreta.

Calineczka musiała kręcić wrzeciono, a mysz polna wynajęła cztery pająki, które dzień i noc przędły i tkwały. Co wieczór odwiedzał ją kret i mówił bez przerwy o tym, że kiedy się skończy lato, słońce przestanie tak grzać - bo teraz spala ziemię na kamień - więc kiedy przejdzie lato, wyprawią sobie wesele. Ale dziewczynka nie była wcale zadowolona, bo nie znosiła nudnego kreta. Co rano, kiedy słońce wschodziło, i co wieczór, kiedy zachodziło, wymykała się za drzwi, i kiedy wiatr rozwiewał kłosa zboża, tak że mogła widzieć błękit nieba, myślała o tym, jak pięknie i jasno jest na świecie i jak bardzo by chciała zobaczyć jaskółkę; ale jaskółka nigdy nie wracała; na pewno była daleko w pięknym, zielonym lesie.

Kiedy nadeszła jesień, wyprawa Calineczki była skończona.

- Za cztery tygodnie będziesz miała wesele - powiedziała do niej mysz polna. Ale Calineczka zaczęła płakać i powiedziała, że nie chce iść za mąż za nudnego kreta.

- Głupstwo - powiedziała mysz polna - nie upieraj się, bo cię ugryzę moimi białymi zębami. Będziesz miała takiego pięknego męża. Nawet królowa nie ma takiego pięknego czarnego futra. Ma on dobrze zaopatrzoną kuchnię i piwnicę.



Powinnaś Bogu dziękować za takiego męża.

I oto miało się odbyć wesele. Przyszedł kret, aby zabrać Calineczkę, miała z nim mieszkać głęboko pod ziemią i nigdy nie wychodzić na ciepłe słończko, bo kret nie znosił słońca. Biedne dziecko było bardzo zmartwione, musiała się pożegnać z jasnym słońcem, w które mogła przecież patrzeć stojąc przed drzwiami mieszkania polnej myszy.

- Żegnaj, jasne słońce! - powiedziała dziewczynka, wyciągnęła do góry ramię i oddaliła się trochę od mieszkania polnej myszy. Zboże było zżęte i sterczały tylko suche badyle. - Żegnaj, żegnaj! - powtórzyła i objęła swoim delikatnym ramieniem mały, czerwony kwiatek, który tam rósł. - Pozdrów ode mnie kochaną jaskółkę, jeżeli ją zobaczysz!

- Kwiwit! kwiwit! - rozległo się nad jej główką, obejrzała się, była to jaskółka, która właśnie nad nią przelatywała. Gdy tylko zobaczyła Calineczkę, bardzo się ucieszyła; dziewczynka opowiedziała jej, jak niechętnie wychodzi za mąż za brzydkiego kreta, i że będzie musiała mieszkać głęboko pod ziemią, gdzie nigdy nie świeci słońce. Nie mogła się powstrzymać od płaczu.

- Teraz nadchodzi chłodna zima - powiedziała jaskółka. - Lecę daleko stąd, do ciepłych krajów, czy chcesz polecieć ze mną? Mogłabyś usiąść na moim grzbiecie, przywiąż się tylko mocno paskiem, wtedy odlecimy daleko od wstrętnego kreta i jego ciemnej nory, daleko nad górami, do ciepłych krajów, gdzie słońce piękniej świeci niż tutaj, gdzie jest zawsze lato i gdzie rosną cudne kwiaty. Lec tylko ze mną, mała kochana Calineczko, która uratowałaś mi życie, kiedy leżałam zmarznięta w ciemnej piwnicy.

- Tak, polecę z tobą - powiedziała Calineczka i usadowiła się na grzbiecie jaskółki, nogi oparła na rozpostartych skrzydłach i przywiązała się paskiem do najmocniejszego pióra jaskółki, a jaskółka poleciała wysoko w powietrze nad lasami i morzem, wysoko nad wielkimi górami, gdzie zawsze leży śnieg. Calineczka marzła w zimnym powietrzu, ale wtedy wtulała się w ciepłe pierze ptaka i wysuwała tylko główkę, aby podziwiać z góry wszystkie piękności.

Przyleciały do ciepłych krajów. Słońce świeciło tam o wiele jaśniej niż tu; niebo było dwa razy tak wysokie, a na wzgórzach i płotkach rosły najpiękniejsze jasne i ciemne winogrona, a na drzewach wisiały cytryny i pomarańcze; pachniały mirty i mięta, a po drogach biegały śliczne dzieci i bawiły się dużymi, barwnymi motylami. Ale jaskółka leciała jeszcze dalej, a było tam coraz ładniej i ładniej. Pod wspaniałymi, zielonymi drzewami na brzegu błękitnego morza stał lśniący biały, starożytny zamek z marmuru, winorośle pięły się wzdłuż wysokich

kolumn, na górze było wiele gniazd jaskółczych, a w jednym z nich mieszkała jaskółka, która przyleciała z Calineczką.

- Tu jest mój dom - powiedziała jaskółka. - Ale ty musisz sobie wyszukać jeden z tych pięknych kwiatów, które rosną tam na dole, umieszczę cię tam i będzie ci tak dobrze, jak tylko można sobie wymarzyć.

- To cudownie - powiedziała Calineczka i klasnęła w małe rączki. A leżała tam duża, biała kolumna z marmuru; rozpadła się ona kiedyś na trzy kawałki, między którymi kwitły najpiękniejsze, wielkie, białe kwiaty. Jaskółka zniżyła się i posadziła Calineczkę na jednym z szerokich płatków. Co za niespodzianka! W środku kwiatu siedział maleńki człowieczek, tak biały i przezroczysty, jak gdyby był zrobiony ze szkła; na głowie miał piękną złotą koronę, a z ramion wyrastały mu cudne, jasne skrzydła, a nie był wcale większy od Calineczki. Był to duszek kwiatów. W każdym kwiecie mieszkał taki maleńki pan albo maleńka pani, ale ten królował nad wszystkimi.

- Boże, jakież on piękny! - szepnęła Calineczka do jaskółki. Mały księżę przestraszył się bardzo jaskółki, bo w porównaniu z nim była olbrzymim ptakiem, ale kiedy zobaczył Calineczkę, ucieszył się, była to najpiękniejsza dziewczynka, jaką kiedykolwiek widział. Zdjął więc z głowy złotą koronę, włożył ją Calineczce i spytał ją, jak się nazywa i czy chce zostać jego żoną i królową wszystkich kwiatów.

To był rzeczywiście zupełnie inny mąż niż syn ropuchy i kret w czarnym aksamitnym futrze. I dlatego Calineczka odpowiedziała pięknemu księciu: „Tak”. Z każdego kwiatu wyszła pani lub pan i byli tacy śliczni, że aż przyjemnie było patrzeć; każdy przyniósł Calineczce jakiś podarunek, ale najpiękniejsze ze wszystkiego były dwa piękne skrzydła dużej, białej muchy; skrzydła te przytwierdzono jej do pleców i teraz mogła fruwać z kwiatka na kwiatek. Była to wielka przyjemność, a jaskółka siedziała na górze w swoim gnieździe i śpiewała im, jak tylko potrafiła najładniej, ale w głębi duszy była zmartwiona, bo bardzo kochała Calineczkę i niechętnie się z nią rozłączała.

- Nie powinnaś się nazywać Calineczką - powiedział do niej duszek kwiatów. - To brzydkie imię, a ty jesteś taka ładna. Będziemy cię nazywali Maja.

- Bądź zdrowa, bądź zdrowa! - zawołała jaskółka i odleciała z ciepłych krajów w daleką drogę do Danii. Tam uwiła sobie małe gniazdko nad oknem, gdzie mieszkał pan, który umie opowiadać baśnie. Śpiewała mu: „Kwiwit, kwiwit!”, i stąd ta cała historia.



jms.



Len zakwitł. Miał śliczne, niebieskie kwiatki, miękkie jak skrzydła motyla, ale jeszcze o wiele od nich delikatniejsze. Słońce świeciło na len, zraszały go deszczowe chmury, a sprawiało mu to taką samą przyjemność jak dzieciom, kiedy po umyciu całuje je matka; stają się wtedy o wiele ładniejsze. Tak też było i z lnem.

- Ludzie mówią, że doskonale wyglądam - powiedział len - jestem bardzo wysoki, więc będzie ze mnie spora sztuka płótna. Jakże jestem szczęśliwy! Jestem na pewno najszczęśliwszym na świecie! Tak mi dobrze. I będzie coś ze mnie. Jakże cieszy mnie promień słońca i jak mi smakuje orzeźwiający deszcz. Jestem niezwykle szczęśliwy, najszczęśliwszy!

- Tak, tak - mówił kołek w płocie - wcale nie znasz życia, ale my za to znamy, mamy przecież sęki - i jęknął żałośnie:

*Kręćcie się, wrzeciona,  
Piosenka skończona.*

- Nie, jeszcze nie koniec - powiedział len - jutro zaświeci słońce, będzie świeżo po deszczu, słyszę, jak rosnę, czuję, że kwitnę. Jestem najszczęśliwszy!

Ale pewnego dnia przyszli ludzie, chwycili len za główkę, wyciągnęli go razem z korzeniem; bolało bardzo; włożyli go do wody, zdawało mu się, że tonie, potem wrzucono go do ognia - jakże piekło; było strasznie!

- Nie może być zawsze dobrze - pocieszał się len - trzeba dużo przecierpieć, aby się czegoś dowiedzieć.

Tymczasem było coraz gorzej. Len przegięto, przełamano, wymoczono i darto zeń paździerze; skądże miał wiedzieć, jak się to wszystko, co z nim robili, nazywało. Dostał się na kołowrotek; frf... frf... nie sposób było zebrać myśli.

„Byłem niezwykle szczęśliwy” - myślał podczas tej całej męki.

- Trzeba się cieszyć ze wszystkiego dobrego, czego się doświadczyło. Cieszyć się. Ach! - tak mówił, kiedy był już na tkackim warsztacie i potem przemienił się w prześliczny kawałek płótna. Cały len, każda najmniejsza cząsteczka zamieniła się w płótno.

- Mimo wszystko to jest wspaniałe. Nigdy nie przypuszczałem, że tak będzie. Jakże mi

jednak dopisuje szczęście! Kołki w płocie wcale nie mają racji, kiedy śpiewają:

*Kręćcie się, wrzeczona,  
Piosenka skończona.*

To jeszcze nie koniec. Teraz się dopiero na dobre zaczyna. Jakie to cudowne! Nacierpiałem się, ale przydałem się do czegoś - jestem najszczęśliwszy. Jestem taki silny i taki miękki, taki biały i długi. To zupełnie coś innego, niż być rośliną, nawet wtedy kiedy kwitnie. Nikt o nas wówczas nie dba i wodę ma się tylko wtedy, kiedy pada deszcz. Teraz mi usługują. Służąca przewraca mnie co rano, co wieczór mam kąpiel deszczową z konewki; tak, nawet żona pastora wygłosiła nade mną mowę i powiedziała, że jestem najlepszym kawałkiem płótna w całej parafii. Czyż można być szczęśliwszym?

Ale oto zabrano płótno do domu i dostało się pod nożyce. Jakże je krajano, jakże je kłuto igłami! Nie należało to do przyjemności. Z płótna zrobiono dwanaście sztuk bielizny, z rodzaju, o którym się niechętnie mówi, a który każdy człowiek musi mieć. Starczyło na cały tuzin.

- Patrzcie, dopiero teraz przydałem się, jestem pożyteczny. A więc to było moje przeznaczenie. Jakie to piękne. Teraz przynoszę światu pożytek a tylko to sprawia prawdziwą przyjemność. Rozpadłem się na dwanaście sztuk, ale razem stanowimy całość, tuzin. Jakie to niezwykle szczęście! Przeszły lata - i kawałki

plótna nie mogły już dłużej wytrzymać.

- Kiedyś musi się to skończyć - mówił każdy kawałek - trzymałbym się chętnie dłużej, ale nie można żądać niemożliwości.

A więc potem podarto je w strzępy; myślały, że to już wszystko się skończyło, bo posiekano je i ugotowano, same nie wiedziały, co się z nimi stało, a potem przemieniły się w śliczny, wytworny, biały papier.

- Cóż to za niespodzianka, piękna niespodzianka! - zawołał papier. - Teraz jestem wytworniejszy i będą na mnie pisali. Ile rzeczy można na mnie napisać! Cóż to za nieopisane szczęście!

Zaczęli na nim pisać najpiękniejsze historie i wiersze, ludzie czytali wszystko, co było napisane, było to mądre i dobre, czyniło ludzi o wiele mądrzejszymi i lepszymi; wielkie dobrodziejstwo spłynęło na papier przez słowa, które na nim były napisane.

- Nawet nie marzyłem o tym, kiedy byłem małym, niebieskim, polnym kwiatkiem, jakże mogłem wtedy przypuszczać, że będę szerzył wśród ludzi radość i wiedzę. Sam nie mogę tego jeszcze pojąć. Ale to jest jednak prawda. Bóg wie, że sam nie zrobiłem nic prócz tego, że dokładałem mych słabych sił, aby móc żyć; a jednak wiedzie mnie od jednej radości do drugiej i od zaszczytu do zaszczytu; za każdym razem, kiedy myślę, że pieśń się skończyła, przechodzę do czegoś wyższego i lepszego, teraz poślą mnie na pewno w podróż, objadę cały świat, aby wszyscy ludzie mogli mnie czytać. To byłoby najwłaściwsze. Najpewniej tak będzie. Dawniej miałem niebieskie kwiatki, a teraz zamiast każdego kwiatka mam tyle najpiękniejszych myśli. Jestem najszczęśliwszy!

Ale papier nie powędrował w podróż, dostał się do drukarza. Wszystko, co było na nim napisane, zostało wydrukowane w książce, w setkach książek. I w ten sposób przyniósł pożytek i radość znacznie większej ilości, niż gdyby sam zapisany papier pojechał w podróż i zmarniał w połowie drogi.

„Tak, to jest najrozsądniejsze - myślał zapisany papier. - To mi wcale nie wpadło do głowy. Zostanę w domu i będę szanowany jak stary dziad. To na mnie wszystko napisali, każde słowo spłynęło z pióra prosto na mnie, ja zostanę, a książki powędrują w świat. Teraz naprawdę się przydaję, jestem najszczęśliwszy.”

Zawinięto papier w paczkę i położono na półce.

- Po pełnej trudów pracy dobrze jest spocząć - powiedział papier. - To bardzo słusznie, że zbieram myśli i zastanawiam się nad tym, co we mnie tkwi. Dopiero teraz wiem naprawdę, co się we mnie znajduje. A znać samego siebie, czyż to nie

prawdziwy postęp? Cóż teraz może się jeszcze stać? Naprzód, ciągle naprzód!

Pewnego dnia położono papier na kominku, miał zostać spalony, nie mógł przecież zostać sprzedany do zawijania masła i cukru u kupca. Wszystkie dzieci, jakie były w domu, zebrały się dookoła, chciały zobaczyć, jak papier będzie się palił, chciały zobaczyć czerwone iskierki w popiele, iskierki, które uciekają i gasną jedna po drugiej tak prędko, i wyglądają zupełnie jak dzieci wychodzące ze szkoły, a ostatnia iskra to nauczyciel; wydaje się często, że już go nie ma, a on wychodzi na końcu, po wszystkich.

Cały papier, cały zwój wrzucono w ogień. - Och! - jęknął. - Och! - zawołał i przemienił się w płomień, wznosił się tak wysoko w górę, len nigdy nie mógł wnieść tak wysoko swych niebieskich kwiatków, i błyszczał tak, jak białe płótno nigdy nie potrafiło błyszczeć. Wszystkie napisane litery stały się w jednej chwili czerwone i wszystkie słowa i myśli uniosły się w płomieniach.

- To wznoszę się prosto do słońca - powiedziało coś w płomieniach i wydawało się, że tysiące głosów powtórzyło to jednogłośnie, a płomienie uderzyły wysoko w górę, przez komin, wysoko... ale delikatniejsze od płomieni, niewidzialne dla ludzkich oczu unosiły się w powietrzu maleńkie istotki - było ich tyle co kwiatków na lnie. Były lżejsze od płomienia, który je zrodził, a kiedy ogień zgasł i z papieru został tylko czarny popiół, istotki te zatańczyły jeszcze raz dokoła niego, a tam gdzie go dotknęły, widać było ślady ich stóp; były to czerwone iskierki.

Dzieci wyszły ze szkoły, a nauczyciel szedł za nimi; jakież to był ładny widok; wszystkie dzieci mieszkające w tym domu stały i śpiewały przy wygasłym popiele:

*Kręćcie się, wrzeciona,  
Piosenka skończona.*

Ale maleńkie, niewidzialne istotki tak mówiły:

- Pieśń nie kończy się nigdy! To jest właśnie najpiękniejsze! Wiem o tym i dlatego jestem najszcześniejszy!

Dzieci nie słyszały tego, a gdyby nawet słyszały, nie zrozumiałyby na pewno. Ale dzieci niekoniecznie muszą wszystko rozumieć.



Przed wielu laty żył cesarz, który tak bardzo lubił nowe, wspaniałe szaty, że wszystkie pieniądze wydawał na stroje. Nie dbał o swoich żołnierzy, nie zależało mu ani na teatrze ani na łowach, szło mu tylko o to, by obnosić przed ludźmi coraz to nowe stroje. Na każdą godzinę dnia miał inne ubrania, i tak samo, jak się mówi o królu, że jest na naradzie, mówiono o nim zawsze: „Cesarz jest w garderobie”.

W wielkim mieście, gdzie mieszkał cesarz, było bardzo wesoło; codziennie przyjeżdżało wiele cudzoziemców. Pewnego dnia przybyło tam dwu oszustów, podali się za tkaczy i powiedzieli, że potrafią tkać najpiękniejsze materie, jaki sobie tylko można wymarzyć. Nie tylko barwy i wzór miały być niezwykle piękne, ale także szaty uszyte z tej tkaniny miały cudowną własność: były niewidzialne dla każdego, kto nie nadawał się do urzędu albo też był zupełnie głupi.

„To rzeczywiście wspaniałe szaty! - pomyślał cesarz. - Gdybym je miał na sobie, mógłbym się przekonać, którzy ludzie w moim państwie nie nadają się do swoich urzędów; odróżniłbym mądrych od głupich. Tak, ten materiał muszą mi utkać jak najprędzej”. I dał obu oszustom z góry dużo pieniędzy, aby mogli rozpocząć pracę.

Oszuści ustawili warsztaty tkackie, udawali, że pracują, ale nie mieli nic na



warsztatach. Zażądali od razu najdroższych jedwabi i najwspanialszego złota; chowali je do własnej kieszeni i pracowali przy pustych warsztatach, i to często do późnej nocy.

„Chciałbym jednak wiedzieć jak postąpiła robota” - pomyślał cesarz, ale zrobiło się mu nieswojo na myśl, że człowiek głupi albo niezdatny do urzędu, który piastuje, nic nie zobaczy; uspokoił się wprawdzie, że o sobie nie potrzebuje się obawiać, ale postanowił jednak posłać kogoś aby dowiedzieć się jak rzeczy stoją. Wszyscy ludzie w mieście wiedzieli jaką cudowną własność miała mieć ta materia, i wszyscy pragnęli się przekonać, że ich sąsiad jest głupi lub zły.

„Poślę do tkaczy mojego starego, poczciwego ministra - pomyślał cesarz - ten będzie mógł najlepiej ocenić ich pracę, bo ma dużo rozumu i nikt lepiej niż on nie sprawuje swojego urzędu”.

I oto stary poczciwy minister poszedł do sali, gdzie siedzieli dwaj oszuści i pracowali przy pustych warsztatach tkackich. „Boże drogi - pomyślał stary minister i wytrzeszczył oczy - ależ ja nic nie widzę”. Ale głośno nie przyznał się do tego.

Obaj oszuści prosili go, aby łaskawie zbliżył się do nich, i pytali, czy wzór nie jest piękny i barwa wspaniała. Wskazywali przy tym na puste warsztaty i biedny, stary minister otwierał w dalszym ciągu oczy, ale nie mógł nic dostrzec, bo nic tam nie było. „Wilki Boże! - pomyślał. - Czyżbym był głupi? Tego nigdy nie przypuszczałem i nikt nie powinien się o tym dowiedzieć. Czyżbym nie nadawał się do swojego urzędu? Nie, nie mogę nikomu powiedzieć, że nie widziałem tkaniny”.

- No i co, nic pan nie mówi? - powiedział jeden z tkaczy.

- O, to jest śliczne, bardzo ładne! - powiedział stary minister i patrzył przez okulary. - Co za wzór i jakie kolory! Tak, powiem cesarzowi, że mi się tkanina niezwykle podoba.

- To nas cieszy - powiedzieli tkacze i wymienili nazwę barwy oraz objaśnili rysunek wzorów.

Stary minister pilnie uważał, aby móc dokładnie powtórzyć wszystko cesarzowi, co też uczynił.

Po czym oszuści zażądali więcej pieniędzy i nowego zapasu jedwabiu i złota, potrzebnego jakoby do dalszej pracy. Ale znów wszystko schowali do kieszeni, a na warsztatach tkackich nie było ani jednej nitki. Pomimo to siedzieli jak przedtem przy pustych warsztatach.

Cesarz posłał wkrótce innego uczciwego urzędnika, aby zobaczył, jak postępuje praca tkaczy i czy tkanina będzie już wkrótce skończona. Powiodło mu się

zupełnie tak samo jak ministrowi. Patrzył i patrzył, ale ponieważ nie było nic na warsztatach, nie mógł więc nic zobaczyć.

- Czyż to nie cudowna tkanina? - zapytali obaj oszuści i pokazali mu, objaśniając, wspaniałą wzór, który wcale nie istniał. „Głupi nie jestem - pomyślał posłany człowiek. - A więc chyba nie nadaję się do mojego świetnego stanowiska. Było to dość dziwne, ale nie trzeba tego po sobie okazać”. Pochowali tkaninę, której nie widział, i zapewnił oszustów, jak bardzo mu się podobają piękne barwy i ładny wzór.

- Tak, to przepiękne - powiedział do cesarza.

Wszyscy ludzie w mieście mówili o wspaniałej tkaninie. Wreszcie cesarz sam zapragnął zobaczyć materię na warsztacie. Wybrał się więc z całą gromadą oddanych mu ludzi, wśród których znajdowali się tamci dwaj dzielni urzędnicy, którzy już tu byli, i zastał sprytnych oszustów pracujących jak najgorliwiej, lecz bez nici i bez osnowy.

- Czyż to nie wspaniałe? - powiedzieli dwaj dostojni urzędnicy. - Niech jego cesarska mość tylko spojrzy, co za wzór, co za barwy! - I pokazali puste krosna, gdyż myśleli, że wszyscy prócz nich widzą tkaninę. „Cóż to? - pomyślał cesarz. - Nic nie widzę. To straszne! Czyżbym był głupi? Czy jestem niewart tego, aby być cesarzem? To byłoby najstraszniejsze, co mi się mogło przytrafić”.

- O tak, to jest bardzo piękne - powiedział cesarz - raczę to bardzo pochwalić! - kiwnął z zadowoleniem głową i zaczął oglądać puste krosna, bo nie chciał powiedzieć, że nic nie widzi. Cały orszak, który otaczał cesarza, patrzył i patrzył, ale także nic nie widział, wszyscy, wszyscy jednak mówili tak jak cesarz:

- Tak to jest bardzo piękne.

I radzili monarsze, aby szaty z tego nowego wspaniałego materiału włożył po raz pierwszy na wielką procesję, która miała się wkrótce odbyć.

- Magnifique, zachwycające, excellent! - powtarzał jeden za drugim, i wszyscy byli niezwykle radzi.

Cesarz ofiarował każdemu z oszustów krzyż do noszenia w dziurce od guzika i nadał każdemu tytuł nadwornego tkacza.

Przez całą noc poprzedzającą procesję oszuści nie spali i szyli szaty przy szesnastu świecach. Ludzie widzieli, jak się śpieszyli, aby wykończyć szaty cesarza.

Wykonywali takie ruchy, jakby zdejmowali materiał z krosien, cięli wielkimi nożycami w powietrzu, szyli igłami bez nici i wreszcie powiedzieli:

- Oto szaty gotowe.

Cesarz przyszedł do nich z najdostojniejszymi dworzaninami, a dwaj oszuści

podnosili ramiona takim ruchem, jakby coś trzymali w ręku, i mówili:

- Oto spodnie, oto frak, a oto płaszcz! - I tak dalej. Wszystko takie lekkie jak pajęczyna; takie cienkie, że się nic na ciele nie czuje, ale na tym polega cała zaleta tych szat.

- Istotnie - powiedzieli wszyscy dworzanie, ale nie mogli nic zobaczyć, bo przecież nic nie było.

- Może jego cesarska mość raczy łaskawie zdjąć swoje suknie - powiedzieli oszuści - przymierzmy nowe szaty tu przed tym wielkim lustrem! Cesarz zdjął ubranie, a oszuści udawali, że wkładają na niego różne części nowo uszytych szat. Objęli go wpół tak, jak gdyby coś zawiązywali, niby to tren; cesarz zaś kręcił się i obracał przed lustrem.

- Boże, jak to dobrze leży, jak cesarzowi w tym do twarzy - mówili oszuści.

- Jaki wzór, jakie barwy! To wspaniałe strój!

- Baldachim, który będą nieść podczas procesji nad jego cesarską mością, czeka przed domem - oznajmił najwyższy mistrz ceremonii.

- Dobrze, jestem gotów - powiedział cesarz. - Czy dobrze leży? - I wykręcił się jeszcze raz przed lustrem, żeby się wydawało, że ogląda swój wspaniały strój.

Dworzanie, którzy mieli nieść tren, schylili się do ziemi i czynili takie ruchy rękami, jakby ów tren podnosili; a potem szli i udawali, że coś niosą w powietrzu; nie ośmielili się okazać, że nic nie widzą. I tak oto kroczył cesarz w procesji pod wspaniałym baldachimem, a wszyscy ludzie na ulicy i w oknach mówili:

- Boże, jakież te nowe szaty cesarza są piękne! Jaki wspaniały tren, jaki świetny krój.

Nikt nie chciał po sobie pokazać, że nic nie widzi, bo wtedy okazałoby się, że nie nadaje się do swego urzędu albo że jest głupi. Żadne szaty cesarza nie cieszyły się takim powodzeniem jak te właśnie.

- Patrzcie, przecież on jest nagi! - zawołało jakieś małe dziecko.

- Boże, słuchajcie głosu niewiniątka - powiedział wtedy jego ojciec i w tłumie jeden zaczął szeptem powtarzać drugiemu to, co dziecko powiedziało.

- On jest nagi, małe dziecko powiedziało, że jest nagi!

- On jest nagi! - zawołał cały lud. Cesarz zmieszał się, bo wydało mu się, że jego podwładni mają słuszość, ale pomyślał sobie: „Muszę wytrzymać do końca procesji”. I wyprostował się jeszcze dumniej, a dworzanie szli za nim, niosąc tren, którego wcale nie było.





Daleko stąd, tam, dokąd lecą jaskółki, kiedy u nas jest zima, mieszkał król, który miał jedenastu synów i jedną córkę, Elizę. Bracia byli królewiczami, chodzili do szkoły z orderami na piersiach i szablami u boku, pisali diamentowymi szyferkami na złotych tabliczkach; co tylko przeczytali, zaraz umieli na pamięć; od razu widać było, że są królewiczami. Siostra Eliza siedziała na małym, szklanym stołeczku i oglądała książkę z obrazkami, książkę, którą kupiono za pół królestwa.

Ach, jak dobrze było tym dzieciom! Ale to szczęście nie trwało długo. Ich ojciec, król całego kraju, ożenił się ze złą królową, która wcale nie była dobra dla biednych dzieci; odczuły to już pierwszego dnia. W zamku odbywały się paradne zabawy, a dzieci bawiły się również w „gości”, ale nie dostały, jak zwykle, ciastek i pieczonych jabłek, królowa dała im tylko w filizance do herbaty trochę piasku i powiedziała, żeby udawały, że piją naprawdę herbatę.

Po tygodniu oddała małą siostrę Elizę na wieś do chłopów, a po krótkim czasie usposobiła króla tak źle do biednych królewiczów, że wcale już o nich nie dbał.

- Lećcie sobie w świat i sami się o siebie troszczcie - powiedziała zła królowa.  
- Zamieńcie się w ptaki i utraciecie mowę. - Ale nie potrafiła wyrzucić tyle zła, ile chciała; królewicze przemienili się w jedenaście cudnych, dzikich łabędzi. Z dziwnym krzykiem wyfrunęły ptaki przez zamkowe okna, ponad parkiem i lasem.

Wczesnym rankiem łabędzie przyleciały do chaty, gdzie siostra Eliza spała w chłopskiej izbie, krążyły nad dachem, kręciły długimi szyjami, uderzały skrzydłami, ale nikt tego nie widział ani nie słyszał. Musiały lecieć dalej, wysoko aż do chmur, w daleki świat; poleciały do dużego, ciemnego lasu, który ciągnął się do brzegu morza.

Biedna mała Eliza stała w chłopskiej izbie i bawiła się zielonym listkiem  
- nie miała innej zabawki; przekłuła w listku dziurkę i spojrzała przez nią w słońce, i wtedy zdawało się jej, że widzi jasne oczy swych braci, i za każdym razem, kiedy ciepłe promienie słoneczne ogrzewały jej policzki, czuła jak gdyby pocałunki swych braci.

Jeden dzień mijał podobny do drugiego. Kiedy wiatr dął przez wielkie, różane żywopłoty przed domem, szeptał do róż:

- Któż może być od was piękniejszy?

Ale róże potrząsały głowami i mówiły:

- Eliza jest piękniejsza! - A kiedy staruszka siedziała w niedzielę przed drzwiami i czytała książkę do nabożeństwa, wiatr odwracał stronicę i mówił do książki:

- Któż jest bardziej pobożny od ciebie?

- Eliza jest pobożniejsza! - mówiła książka do nabożeństwa. Róże i modlitewnik mówiły prawdę.

Gdy Eliza skończyła piętnaście lat, wróciła do domu, a gdy królowa zobaczyła, jaka jest piękna, ogarnęła ją złość i zawiść; z chęcią przemieniłaby ją w dzikiego łabędzia jak jej braci, ale nie odważyła się uczynić tego natychmiast, bo król pragnął przecież zobaczyć swoją córkę. Wczesnym rankiem poszła królowa do łazienki zbudowanej z marmuru, ozdobionej miękkimi poduszkami i wspaniałymi dywanami, wzięła trzy ropuchy, pocałowała je i powiedziała do jednej z nich:

- Usiądź na głowie Elizy, kiedy się będzie kąpała, aby była tak głupia jak ty!  
Usiądź na jej czole - powiedziała do drugiej - aby była tak brzydka jak ty, aby ojciec jej nie poznał.  
Spoczywaj na jej sercu - szepnęła do trzeciej - niech się stanie zła, niech cierpi przez to męki!

Potem włożyła ropuchy do czystej wody, która zabarwiła się na zielono, zawołała Elizę, rozebrała ją i kazała jej wejść do wody. Kiedy dziewczynka się zanurzyła, jedna ropucha usiadła jej na włosach, druga na czole, a trzecia na piersi; ale Eliza nie spostrzegła ich wcale, bowiem gdy się podniosła, po wodzie pływały trzy czerwone maki. Gdyby gady nie były zatrute i gdyby nie to, że pocałowała je czarownica, przemieniłyby się w czerwone róże; ale stały się jednak kwiatami, bo spoczywały na głowie i na sercu Elizy, która była zbyt pobożna i niewinna, aby czary mogły mieć nad nią moc.

Kiedy zła królowa to zobaczyła, natarła Elizę sokiem włoskiego orzecha, tak że dziewczynka całkiem poczerniała; posmarowała jej piękną twarzyczkę cuchnącą maścią i skołtuniła jej włosy; niepodobna było poznać pięknej Elizy. Ojciec przeraził się na jej widok i powiedział, że to nie może być jego córka; nikt jej nie poznał prócz podwórzowego psa i jaskółek, ale były to przecież mizerne stworzenia i nic nie miały do gadania. Wtedy biedna Eliza zaczęła płakać i przypomniała sobie swych jedenastu braci. Pełna smutku, wymknęła się z zamku, przez cały dzień chodziła po polach i błotach, aż w końcu przysła do dużego lasu. Nie wiedziała, dokąd szła, ale czuła się tak nieszczęśliwa i tak bardzo tęskniła do swoich braci; na pewno ich także wygnano, tak samo jak ją, w szeroki świat. Chciała ich odnaleźć.

Niedługo była w lesie, a już noc zapadła; dziewczynka nie mogła odnaleźć drogi; wtedy położyła się na miękkim mchu, odmówiła wieczorną modlitwę i oparła głowę o pień drzewa.

Było tak cicho, powietrze takie łagodne, a naokoło w trawie i mchu tysiące świętojańskich robaczek świeciło jak zielony ogień; kiedy dotknęła ręką gałęzi, błyszczące owady spadały na nią jak deszcz gwiazd. Przez całą noc śnili się jej bracia; bawili się znowu jako dzieci, pisali diamentowymi szyferkami na złotych tabliczkach i oglądali piękną książkę z obrazkami, która kosztowała pół królestwa, ale nie pisali na tablicy tak jak przedtem zer i kresek, tylko najdziwniejsze czyny, jakich dokonali, wszystko, co przeżyli i co widzieli; a w książce z obrazkami wszystko żyło: ptaki śpiewały, ludzie wychodzili z książki i rozmawiali z Elizą i z jej braćmi, ale gdy przewracała kartkę, wskakiwali znowu do środka, aby nie wprowadzić nieładu między obrazkami.

Kiedy się obudziła, słońce stało już wysoko na niebie; nie widziała go wprawdzie, gdyż przesłaniała je gęsta zieleń drzew, ale jego promienie przebłyskiwały jak powiewna złota tkanina; zieleń pachniała, a ptaki nieledwie siadały na jej ramionach.

Słyszała plusk wody, mnóstwo strumieni przepływało przez las, wszystkie wpadały do jednego jeziora, gdzie było najpiękniejsze, piaszczyste dno; rosły tam wprawdzie naokoło gęste krzaki, ale jelenie zrobiły w jednym miejscu duży otwór i tędy przeszła Eliza ku wodzie. Woda była tak przezroczysta, że gdyby wiatr nie poruszał krzaków i gałęzi, można było myśleć, że zostały one namalowane na dnie, tak wyraźnie odbijał się każdy listek - zarówno oświetlony słońcem, jak pogrążony w cieniu.

Jak tylko Eliza zobaczyła własną twarz w wodzie, przeraziła się, taka była czarna i brzydka, ale kiedy umoczyła rączkę i wytarła nią oczy i czoło ukazała się biała skóra; wtedy zdjęła wszystko, co miała na sobie, i weszła do czystej wody; nie było na świecie piękniejszego królewskiego dziecka od niej.

Kiedy się znowu ubrała i zaplotła długie warkocze, podeszła do bijącego źródła, napiła się z dłoni i powędrowała w głąb lasu, nie wiedząc, dokąd idzie. Myślała o braciach i myślała o Panu Bogu, który jej na pewno nie opuści. On to sprawił, że w lesie rosły dzikie jabłka, aby nasycić głodnych. On to pokazał jej drzewo, którego gałęzie uginały się pod ciężarem owoców: zatrzymała się, aby się posilić, podłożyła podpórki pod gałęzie i weszła w najmroczniejszą głębinę lasu. Było tam tak cicho, że słyszała swoje własne kroki, słyszała szelest każdego suchego listka, który kruszyła stopami, nawet żadnego ptaka nie było widać, ani jeden promień słoneczny nie przedostawał się przez wielkie, gęste gałęzie drzew; wysokie pnie stały tak blisko jeden drugiego, że gdy patrzała prosto przed siebie, wydawało się jej, że otacza ją płot z belek. Ach, jakaż tu panowała pustka i głusza, nigdy jeszcze takiej nie zaznała!

Noc stawała się ciemna, nawet żaden robaczek świętojański nie błyszczał wśród mchu, ułożyła się zmartwiona do snu. Wydawało jej się, że gałęzie otwierają się nad nią i że dobry Bóg patrzy na nią łagodnie, a małe aniołki wyglądają znad jego głowy i spod jego ramion.

Kiedy się nazajutrz obudziła, nie wiedziała, czyjej się to śniło, czy to było naprawdę. Zrobiła parę kroków i spotkała staruszkę z koszem pełnym jagód; staruszka dała jej parę jagódek. Eliza pytała, czy nie widziała jedenastu królewiczów jadących konno przez las.

- Nie! - powiedziała stara. - Ale widziałam wczoraj jedenaście łabędzi ze złotymi koronami na głowach, płynęły tu rzeką w pobliżu! I zaprowadziła Elizę trochę dalej nad urwisko; w dole wiła się rzeczka, drzewa rosnące na brzegu wyciągały ku sobie długie, pełne liści gałęzie, a tam, gdzie nie były dość wysokie, by dosięgnąć jedno drugiego, uwalniały swe korzenie z ziemi i zwieszały się nad



wodą, splecione z gałęziami. Eliza pożegnała staruszkę i poszła wzdłuż rzeki aż do miejsca, gdzie wpadała ona do wielkiego, otwartego morza.

Przed młodą dziewczyną rozciągało się wielkie, wspaniałe morze, ale nie widziała ani jednego żagla, ani jednej łódki, jakżeż miała się dalej przedostać? Patrzyła na niezliczone małe kamyki leżące na brzegu wody; woda oszlifowała je gładko. Szkło, żelazo, kamienie - wszystko zostało ukształtowane przez wodę, która była o wiele miększa niż jej delikatna ręka. „Woda niestrudzenie pracuje i wygładza nawet twarde kamienie; pragnę być równie niestrudzona! Dziękuję wam za waszą naukę, czyste, bijące fale! Serce mi mówi, że kiedyś zanieście mnie do moich ukochanych braci!” Na morskiej trawie, splukanej wodą, leżało jedenaście białych piór łabędzich; Eliza zrobiła z nich wiązanek; krople wody błyszczały na piórach, nikt nie wiedział, czy to była rosa, czy łzy. Samotnie było na brzegu, ale Eliza nie czuła tego, bo morze wiecznie się zmieniało, w ciągu paru godzin więcej razy zmieniało swój wygląd niż jeziora w ciągu całego roku. Kiedy nadciągała wielka, ciemna chmura, wydawało się, że morze chce powiedzieć:

„I ja też potrafię wyglądać ponuro”; gdy wiał wiatr, fale obracały się białymi grzbietami, lecz gdy chmury stawały się czerwone, a wiatr zasypiał, morze wyglądało jak płatek róży: raz było zielone, to,

znowu białe, ale nawet kiedy było w zupełnym spoczynku, przy brzegu poruszało się z lekka; woda wznosiła się łagodnie jak oddech śpiącego dziecka.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Eliza zobaczyła jedenaście dzikich łabędzi w złotych koronach na głowach, lecących w kierunku lądu; leciały jeden za drugim i wyglądały jak długa, biała wstęga; wtedy Eliza weszła na urwisko i ukryła się za krzakiem; łabędzie spuściły się na ziemię tuż koło niej i biły dużymi, białymi skrzydłami.

W tej samej chwili, kiedy słońce zanurzyło się w wodzie, opadły nagle z nich łabędzie pióra i ukazało się jedenastu królewiczów, braci Elizy. Dziewczynka krzyknęła głośno, bo chociaż zmienili się bardzo, sercem ich poznała, wiedziała, że to są oni; rzuciła się im w ramiona, wołała ich po imieniu, a oni cieszyli się widząc swą małą siostrzyczkę, taką już teraz dużą i śliczną. Śmiali się i płakali opowiadając sobie wzajemnie o tym, jaka macocha była zła dla nich wszystkich.

- My bracia - powiedział najstarszy - latamy jako dzikie łabędzie, dopóki słońce świeci na niebie; ale gdy tylko zachodzi, przemieniamy się w ludzi; i dlatego musimy zawsze uważać, aby podczas zachodu słońca mieć pod nogami stały ląd, bo gdybyśmy wówczas lecieli pod obłokami, spadlibyśmy jako ludzie w dół. Nie mieszkamy tutaj; po drugiej stronie morza znajduje się równie piękny kraj;

ale droga prowadząca tam jest długa, musimy lecieć nad wielkim morzem i nie ma żadnej wyspy, na której moglibyśmy przenocować; jedynie w połowie drogi wystaje samotna skała; jest tak mała, że możemy się na niej pomieścić tylko ciasno jeden obok drugiego; przy silniejszej fali opryskuje nas woda, ale dziękujemy Bogu i za to; tam nocujemy, kiedy jesteśmy w ludzkiej postaci; gdyby nie ta skała, nie zobaczylibyśmy nigdy naszej ukochanej ojczyzny; najdłuższe dwa dni w roku zużywamy na nasz lot. Tylko raz do roku możemy odwiedzić naszą ojczyznę,

wolno nam zostać tu przez jedenaście dni, aby oblecieć ten wielki las, skąd możemy zobaczyć zamek, gdzieśmy się urodzili i gdzie mieszka nasz ojciec, i wysoką wieżę kościoła, w którym jest pochowana nasza matka. Tutaj wydaje się nam, jak gdyby drzewa i krzaki były z nami spokrewnione, tutaj dzikie konie uganiają się po równinach, tak jak za czasów naszego dzieciństwa; tu drwale śpiewają stare pieśni, przy których tańczyliśmy dziećmi, tutaj jest nasza ojczyzna, do której ciągną nas serca, i tutaj znaleźliśmy ciebie, kochana, mała

siostrzyczko! Dwa dni możemy tu zostać, potem polecimy stąd daleko za morze, do pięknego kraju, który jednak nie jest naszą ojczyzną. Jak cię stąd zabrać? Nie mamy ani statku, ani łódki!

- Jakże was mogę wybawić? - pyta siostra.

I rozmawiali tak ze sobą prawie przez całą noc, drzemiąc tylko parę godzin.

Elizę obudził łopot skrzydeł łabędzi przelatujących nad nią. Bracia przemienili się znowu i lecieli, zakreślając wielkie kręgi, byli już dość daleko, ale najmłodszy z nich pozostał; położył głowę na kolanach Elizy, a ona gładziła jego białe skrzydła, przez cały dzień byli razem. Pod wieczór przyleciały inne łabędzie, a kiedy słońce zaszło, stanęli przed nią w swej naturalnej postaci.

- Jutro odlatujemy stąd i dopiero po roku wrócimy, ale nie możemy ciebie tutaj zostawić. Czy masz odwagę polecieć z nami? Mamy dość silne ramiona, dość mocne skrzydła, aby móc cię przenieść przez las i lecieć razem z tobą nad morzami.

- Ach, weźcie mnie ze sobą! - zawołała Eliza.

Przez całą noc pletli siatkę z giętkiego, wierzbowego łyka i mocnego sitowia, siatka była duża i mocna. Eliza położyła się na niej, a kiedy wzeszło słońce i bracia przemienili się w dzikie łabędzie pochwycili dziobami siatkę i polecili ze swą kochaną siostrą, która jeszcze spała, wysoko aż pod chmury. Promienie słoneczne padały wprost na jej twarz i dlatego jeden z łabędzi leciał nad jej głową i jego wielkie skrzydła okrywały ją cieniem.

Byli już daleko od lądu, kiedy Eliza obudziła się, miała wrażenie, że jeszcze śni, taki to był cudowny lot wysoko w powietrzu nad morzem. Obok niej leżała gałązka z pięknymi, dojrzałymi jagodami i wiązką smakowitych korzeni, zebrał je dla niej najmłodszy brat, a ona uśmiechała się do niego w podzięcie, poznała, że to on leci nad jej głową i ocienia ją swymi skrzydłami. Lecieli tak wysoko w powietrzu, że pierwszy okręt, który zobaczyli na dole, wyglądał jak biała mewa siedząca na wodzie. Za nimi wznosiła się olbrzymia chmura niby wielka góra, i Eliza zobaczyła na niej swój własny cień oraz wyolbrzymiony cień wszystkich jedenastu łabędzi. Był to tak wspaniały obraz, jakiego jeszcze nigdy nie widziała; ale gdy słońce weszło wyżej i chmura została za nimi w tyle, kołyszący się miraż zniknął. Przez cały dzień lecieli w powietrzu jak świszcząca strzała, ale lot ich był wolniejszy niż zwykle, bo nieśli przecież siostrę. Nadciągała burza, zbliżał się wieczór. Eliza patrzyła pełna lęku za zachodzące słońce, a na morzu nie widać było jeszcze samotnej skały; zdawało jej się, że łabędzie silniej uderzają skrzydłami. Ach, to ona była winna temu, że nie mogli dość prędko posuwać się naprzód; gdy słońce zajdzie, przemienią się w ludzi, spadną do morza i utoną! Wówczas zaczęła się modlić z głębi serca do Boga, ale wciąż jeszcze nie widziała skały. Czarna chmura zbliżała się, silne podmuchy zwiastowały burzę, chmury wyglądały jak jedna wielka, groźna fala, mknąca naprzód jak wystrzelona kula. Błyskawica zapalała się po błyskawicy. Teraz słońce dosięgło linii morza. Serce Elizy drżało. Nagle łabędzie spuściły się w dół tak szybko, że dziewczynka myślała, że spadają, ale one wciąż leciały. Słońce było do połowy pod wodą, wtedy dopiero spostrzegła małą skałę; nie zdawała się być większą od foki, która wysuwa głowę z wody. Słońce zachodziło szybko, teraz wyglądało już jak gwiazda; wtedy stopa jej dotknęła skały, słońce zgasło natychmiast, jak ostatnia iskra palącego się papieru; bracia stali ramię przy ramieniu, a miejsca starczyło tyle tylko, co dla nich i dla niej. Morze uderzało o skałę i oblewało ich jak ulewa. Niebo płonęło nieustającymi błyskawicami i grom uderzał po gromie, a bracia i siostra trzymali się za ręce i śpiewali psalmy, czerpiąc z nich pociechę i otuchę.

Kiedy nastał świt, powietrze było czyste i ciche. Ze wschodem słońca łabędzie z Elizą opuściły skałę. Morze ryczało jeszcze dziko, kiedy byli wysoko w powietrzu, biała piana na czarnozielonym morzu wyglądała jak miliony łabędzi pływających po wodzie.

Kiedy słońce wznosiło się na niebie, Eliza zobaczyła górzysty kraj zarysowujący się w powietrzu, białe lodowce błyszczały na wierzchołkach gór, a pośrodku

wznosił się na milę zamek z jedną kolumnadą nad drugą; niżej kołysały się palmowe lasy i wspaniałe kwiaty, wielkie jak młyńskie koła. Spytała, czy to jest kraj, do którego lecą, ale łabędzie potrząsały głowami, bo to co widziała Eliza, było pięknym, wiecznie zmieniającym się zamkiem z chmur - fatamorganą; ludzie nie mogli tam mieszkać. Eliza wciąż patrzyła: zawaliły się nagle góry, lasy i zamek, a w ich miejsce stało dwadzieścia dumnych kościołów, wszystkie do siebie podobne, z wysokimi wieżami i spiczastymi oknami. Wydawało jej się, że słyszy grę na organach; ale to tylko morze szumiało. Oto gdy byli zupełnie blisko, kościoły przemieniły się w wielką flotę, która płynęła pod nimi; spojrzęła w dół i zobaczyła, że były to tylko mgły snujące się ponad wodą. Miała przed oczami ciągle zmieniające się obrazy, wreszcie ujrzała rzeczywistą krainę, do której podążali, wznosiły się tam cudne, błękitne góry, pokryte cedrowymi lasami, miastami i zamkami. Jeszcze na długo przed zachodem słońca siedziała na skale przed wielką grota, zarośniętą zielonymi, pnącymi roślinami; wyglądało to jak haftowane zasłony.

- Zobaczymy, co ci się będzie tej nocy śniło! - powiedział najmłodszy brat i pokazał jej sypialnię.

„Ach, gdyby mi się przyśniło, w jaki sposób mogę was odczarować!” - pomyślała Eliza: ta myśl zajęła ją tak bardzo, że modliła się żarliwie do Boga o pomoc; nawet we śnie nie przestawała się modlić; zdawało jej się że pofrunęła wysoko do cudnego pałacu fatamorgany i że naprzeciw niej wyszła piękna wróżka, przypomniała jej ona jednak staruszkę, która obdarzyła ją w lesie jagodami, tę, co jej opowiedziała o łabędziach ze złotymi koronami na głowach.

- Możesz odczarować twoich braci! - powiedziała. - Ale czy jesteś odważna i wytrzymała? Morze jest miększe od twoich delikatnych rąk, a jednak kształtuje twarde kamienie, ale nie czuje bólu, jaki będą czuły twoje palce, bo nie ma serca, nie lęka się, nie cierpi, tak jak ty będziesz cierpieła. Czy widzisz tę pokrzywę, którą trzymam w ręku? Wokoło groty, w której śpiesz, rośnie wiele podobnych, zwracam ci uwagę, że możesz użyć tylko tych pokrzyw jak również takich, które rosną na grobach cmentarzy; zapamiętaj sobie, musisz je zerwać, nawet gdyby twoja skóra pokryła się pęcherzami; musisz je pognieść nogami, wtedy otrzymasz włókna, z których masz upleść jedenaście koszulek rycerskich z długimi rękawami; narzuć je na łabędzie, a wtedy czar pryśnie. Zapamiętaj sobie jednak, że podczas pracy, dopóki jej nie skończysz, nie wolno ci mówić, nawet gdyby to miało trwać lata. Pierwsze słowo, jakie powiesz, przeszyje śmiertelnym sztyle-

tem serca twoich braci; od twojego języka zależy ich życie. Zapamiętaj sobie dobrze to wszystko.

I w tej samej chwili dotknęła jej ręki pokrzywą; paliła jak ogień. Eliza obudziła się. Był jasny dzień i tuż obok miejsca, gdzie spała, leżała pokrzywa, tak jak ją widziała we śnie. Wtedy padła na kolana, dziękowała Bogu i wyszła z groty, aby rozpocząć pracę.

Delikatnymi rękami brała wstrętne pokrzywy. Paliły jak ogień, wielkie pęcherze pokryły jej ręce i ramiona, ale zносиła wszystko chętnie, aby tylko wyzwolić braci. Każdą pokrzywę deptała bosymi nogami i plotła zielone włókna. Kiedy słońce zaszło, przyszli bracia i przestraszyli się, gdy ją zastali niemą, myśleli, że to nowy czar złej macochy, ale gdy zobaczyli jej ręce, zrozumieli, że robiła to dla nich i najmłodszy brat zaczął płakać, a tam gdzie łza jego padła, zniknęły palące pęcherze i Eliza nie czuła bólu. Noc spędziła na robocie, bo wiedziała, że nie będzie miała spokoju, zanim nie zbawi swych kochanych braci. Przez cały następny dzień, gdy nie było łabędzi, siedziała samotnie, ale nigdy jeszcze czas nie mijał jej tak prędko. Jedna koszulka pancerna była już gotowa, teraz zaczęła drugą. Aż tu wśród gór rozległ się dźwięk myśliwskiego rogu. Eliza przeraziła się; odgłosy były coraz bliższe, słyszała szczekanie psów; przestraszona, ukryła się w grocie, związała zebrane i zmiędlone pokrzywy w węzełek i usiadła na nim.

Nagle wielki pies wyskoczył z zarośli, a zaraz za nim jeszcze jeden i jeszcze jeden; szczekały głośno, odbiegały i znowu wracały. Wkrótce potem przed jaskinią stanęli wszyscy strzelcy, a najpiękniejszy z nich był królem tej ziemi. Podszedł do Elizy, nigdy jeszcze nie widział tak pięknej dziewczyny - jakże się tu dostałaś, ty cudne dziecko? - zapytał. Eliza potrząsnęła głową, nie mogła przecież mówić, chodziło o życie i o wyzwolenie jej braci; schowała pod fartuchem ręce, aby nie widział, ile wycierpiała.

- Chodź ze mną! - powiedział. - Nie możesz tu zostać. Jeżeli jesteś tak dobra jak piękna, ubiorę cię w aksamity i jedwabie, a na głowę ci włożę złotą koronę; będziesz mieszkała i rządziła w moim najwspanialszym zamku! - I potem wziął ją na konia, Eliza płakała i łamała ręce, ale król powiedział:

- Pragnę tylko twego szczęścia! Kiedyś podziękujesz mi za to! I pojechał przez góry, trzymając ją na koniu przed sobą, a myśliwi pędzili za nim.

Kiedy zaszło słońce, przyjechali do wspaniałego królewskiego miasta z kościołami i kopułami, król zaprowadził ją do zamku, gdzie w marmurowych, wysokich salach pluskały wielkie fontanny, gdzie lśniły malowidła na sufitach i na

ścianach; ale Eliza nie patrzyła na to wszystko, płakała i rozpaczała; nie opierając się, dała się przebrać służebnicom we wspaniałe szaty, dała sobie wpleść we włosy perły, a na poparzone palce włożyła cienkie rękawiczki.

Kiedy stanęła w całej wspaniałości, była tak olśniewająco piękna, że dwór skłonił się przed nią jeszcze niżej, a król postanowił wziąć ją za żonę, chociaż arcybiskup potrząsał głową i szeptał mu, że piękna dziewczyna z lasu jest na pewno czarownicą: oślepią wszystkie oczy i otumania serce króla. Ale król nic sobie z tego nie robił, kazał grać muzyce, kazał podać najdroższe potrawy i tańczyć najpiękniejszym dziewczynom; poprowadzono ją poprzez pachnące ogrody do wspaniałych sal; ale ani razu uśmiech nie rozjaśnił jej twarzy i nie rozbłysnął w jej oczach, z których przemawiał ból, jedyne jej bogactwo. Wówczas król otworzył małą izbę tuż obok pokoju, gdzie miała spać; izba ta była zawieszona zielonymi dywanami i wyglądała zupełnie jak pieczara, w której mieszkała; na podłodze leżała wiązka włókien, które Eliza wyprzędła z pokrzyw, a pod sufitem wisiała gotowa koszulka pancerna, wszystko to zabrał jeden ze strzelców jako coś niezwykłego.

- Tutaj możesz marzyć o twoim dawnym mieszkaniu! - powiedział król. - Masz tu robotę, którą się tam zajmowałaś; pośród tego całego przepychu będzie ci przyjemnie powracać myślami do dawnych czasów. Gdy Eliza zobaczyła to, co było tak bliskie jej sercu, uśmiech rozjaśnił jej twarz i krew zabarwiła jej policzki, pomyślała o odczarowaniu swych braci, pocałowała królewską rękę, a on przycisnął ją do serca i kazał dzwonić dzwonom we wszystkich kościołach, aby obwieściły jego wesele. Piękna, niema dziewczyna z lasu została królową kraju. Wtedy arcybiskup szepnął królowi do ucha złe słowa, które nie dotarły jednak do jego serca; wesele miało się odbyć; sam arcybiskup musiał jej włożyć na głowę koronę, nacisnął umyślnie zbyt ciasną ciężką obręcz, tak żeby ją zabolalo, ale bardziej bolało ją to, co miała w sercu: troska o braci; nie czuła bólu cieleśnego.

Jej usta były nieme, za jedno słówko bracia zapłaciliby życiem: w jej oczach była głęboka miłość do dobrego, pięknego króla, który robił wszystko, aby jej sprawić radość. Z całego serca kochała go z każdym dniem więcej. Ach, gdyby mogła mu się zwierzyć, opowiedzieć mu swoje, cierpienia, ale musiała zachować milczenie, musiała bez słowa pracować dalej. I dlatego wymykała się nocą do swojej komórki, zmienionej w grootę, i przędła jedną koszulkę za drugą, ale gdy zaczęła siódmą, zabrakło jej włókien.

Wiedziała o tym, że na cmentarzu rosły potrzebne jej pokrzywy, ale sama musiała je zerwać; w jaki sposób mogła się tam dostać? „Czym jest ból moich palców w porównaniu z bólem i męką, jaką odczuwa moje serce? - myślała. - Muszę się odważyć, Pan Bóg mnie nie opuści.” Z sercem pełnym lęku, tak jak gdyby miała zamiar spełnić jakiś zły czyn, wymknęła się księżycową nocą do ogrodu, minęła długie aleje i pustymi ulicami wydostała się na cmentarz. Na jednym z najobszerniejszych kamieni mogiłnych ujrzała zmory, wstrętne czarownice, które zdejmowały swoje łachmany, jakby się chciały kąpać, rozgrzebywały długimi, chudymi palcami świeże groby, wyjmowały trupy i pożerały ich ciała. Eliza musiała przechodzić tuż obok nich, patrzyły na nią złym wzrokiem, ale ona pomodliła się, zebrała pokrzywy i zaniósła je do zamku.

Jeden tylko człowiek widział ją - arcybiskup; nie spał, podczas gdy wszyscy spali: teraz upewnił się w swoim przekonaniu, że nie wszystko było w porządku z królową: była czarownicą i dlatego otumaniała króla i cały naród. Gdy król się spowiadał, opowiedział mu o tym, co zobaczył i czego się bał i kiedy z jego ust posypały się twarde słowa, święci wyrzeźbieni w drzewie potrzęsali głowami, jak gdyby chcieli powiedzieć: „To nieprawda. Eliza jest niewinna!” Ale arcybiskup tłumaczył to sobie inaczej; myślał, że święci świadczą przeciwko niej, że kiwają głowami nad jej grzechem. Dwie duże łzy potoczyły się po policzkach króla, wrócił do domu ze zwątpieniem w sercu; w nocy udawał, że śpi, ale sen nie zamknął jego oczu, słyszał, jak Eliza wstała, i co noc powtarzało się to samo, za

każdym razem szedł za nią cicho i widział, że znika w swojej komórce. Z dnia na dzień stawał się bardziej ponury, Eliza widziała to, ale nie mogła zrozumieć dlaczego; a jednak to ją niepokoiło, jakże cierpiała w głębi serca za swoich braci! Jej gorące łzy spływały na królewski aksamit i purpurę i wyglądały jak błyszczące diamenty, a wszyscy, którzy widzieli ten przepych, zazdrościli królowej. Wkrótce skończyła robotę, brak było tylko jednej koszulki, ale nie miała już więcej włókien, ani jednej pokrzywy. Jeszcze jeden raz, ostatni raz, musiała pójść na cmentarz, by zbierać parę pełnych garści. Myślała z lękiem o samotnej wędrowce i o strasznych zmorach, ale jej wola była tak stanowcza jak ufność w Bogu.

Eliza poszła, ale król i arcybiskup szli za nią, widzieli, że zniknęła za furtką prowadzącą na cmentarz, a kiedy zbliżyli się do furtki, ujrzeni czarownice siedzące na kamieniach, tak jak je ujrzała Eliza; król odwrócił się, gdyż wśród nich wyobraził sobie, że widzi tę, której głowa spoczywała jeszcze tego wieczora na jego piersi.

- Lud niech ją sędzi! - powiedział, i lud ją osądził: „Niech ją czerwony ogień

pochłonie!”

Ze wspaniałych królewskich sal wyprowadzono Elizę do ciemnej, wilgotnej nory, gdzie wiatr dął przez zakratowane okienko, zamiast aksamitów i jedwabów dali jej wiązki pokrzyw, które zebrała; na nich miała złożyć głowę; twarde, palące koszulki uplecione przez nią miały jej służyć za pierzynę i kołdrę, ale wyrządzono jej tym przysługę, mogła bowiem dalej pracować modląc się gorąco. Na ulicy ulicznicy śpiewali wyszydzające ją piosenki, żywa dusza nie pocieszyła jej ani jednym dobrym słowem.

Pod wieczór zaszumiały skrzydła łabędzie pod więziennym okienkiem: był to najmłodszy brat, który odnalazł siostrę, a ona szlochała z radości, chociaż wiedziała, że ta noc, która miała nadejść, będzie prawdopodobnie ostatnią nocą jej życia, ale oto robota była już prawie skończona i jej bracia byli przy niej.

Przyszedł arcybiskup, aby spędzić u niej ostatnią godzinę, przyrzekł to królowi, ale ona potrząsała głową i prosiła go gestem i spojrzeniem, aby ją opuścił, tej nocy musiała przecież skończyć swoją robotę, bo inaczej wszystko byłoby na próżno; wszystko - ból, łzy i bezsenne noce; arcybiskup opuścił ją lżąc złymi słowami, ale biedna Eliza wiedziała, że jest niewinna, i pracowała dalej.

Małe myszki przebiegając po podłodze przyciągały jej pod nogi włókna pokrzywy, aby jej choć trochę pomóc, a przed zakratowanym okienkiem usiadł drozd i przez całą noc śpiewał najwesелей, jak umiał, aby Eliza nie traciła otuchy.

Jeszcze brzask nie wstał, dopiero za godzinę miało wzejść słońce, kiedy jedenastu braci stanęło przed bramą zamku i zażądało, aby ich zaprowadzono do króla, ale odpowiadano, że to niemożliwe, bo noc, król śpi i nie można go budzić. Prośli, grozili, przyszła warta, nawet król wyszedł i spytał, co to ma znaczyć, ale w tej samej chwili wzeszło słońce i nie widać już było braci, tylko hen nad zamkiem leciało jedenaście dzikich łabędzi. Cały lud tłoczył się do bram miasta, wszyscy chcieli zobaczyć, jak będą palili czarownicę.

Nędzna szkapa ciągnęła wóz, na którym siedziała Eliza; włożono na nią koszulę z grubego, workowego płótna; piękne długie rozpuszczone włosy otaczały jej cudną twarz; policzki były śmiertelnie blade, a wargi poruszały się lekko; ale palce plotły zielone nici; nawet w tej śmiertelnej drodze nie porzuciła rozpoczętej pracy; dziesięć koszulek leżało u jej stóp, pracowała nad jedenastą; tłum szedł z niej.

- Spójrzcie na tę czarownicę, jak mruczy! Nie ma w ręku książki do nabożeństwa, siedzi ze swoją wstrętną, czarnoksięską robotą, podrzyjmy jej to na kawałki!



I rzućili się na nią, i chcieli jej podrzeć robotę; a wtedy przyleciało jedenaście białych łabędzi, usiadły naokoło niej na wozie i uderzały dużymi skrzydłami.

Przerażony tłum cofnął się. - Oto znak Boży! Ona jest na pewno niewinna! - szeptało wielu, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno.

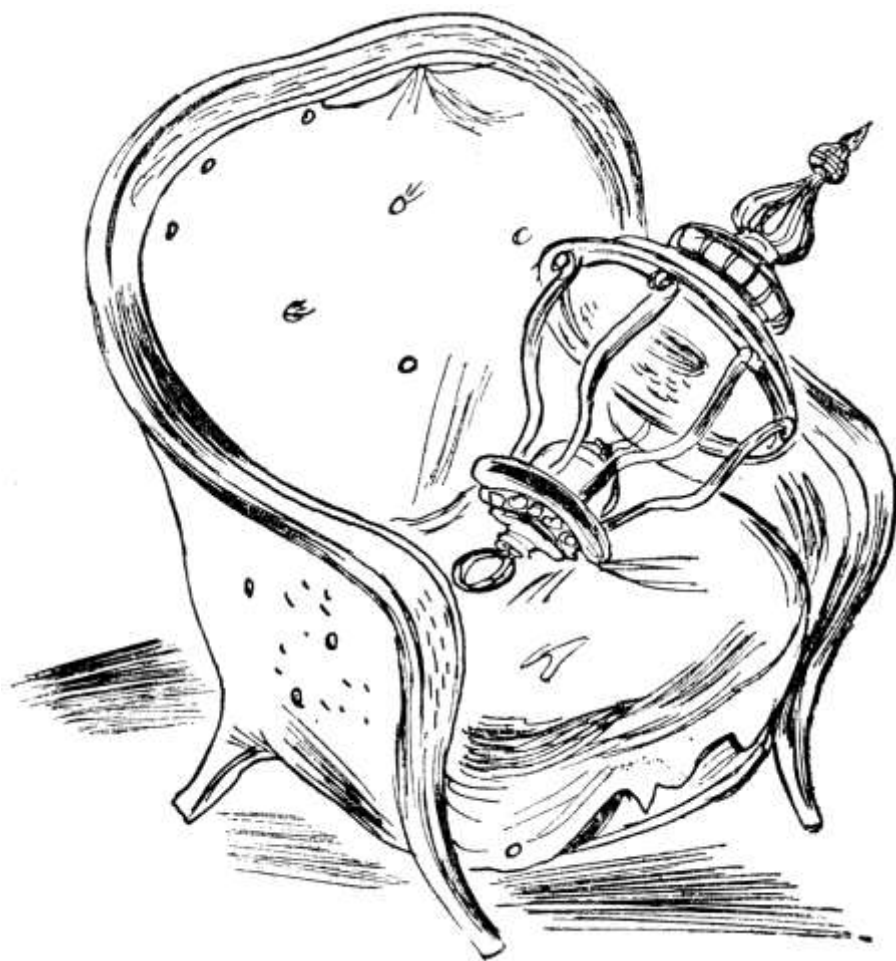
Już kat chwycił ją za rękę, a ona rzuciła pośpiesznie jedenaście koszulek na łabędzie i oto stanęło przed nią jedenastu pięknych królewiczów: ale najmłodszy miał zamiast jednego ramienia skrzydło łabędzie, gdyż koszulce brakowało jednego rękawa, którego siostra nie zdążyła skończyć.

- Teraz mogę mówić! - powiedziała. - Jestem niewinna! A lud widział, co się stało, i pochylił przed nią głowy jak przed świętą, ale ona osunęła się zemdlna w ramiona braci; tak podziały na nią strach, ból i zmęczenie.

- Tak, jest niewinna! - zawołał najstarszy z braci i potem opowiedział wszystko, co się zdarzyło, a podczas gdy mówił, rozszedł się zapach jak od miliona róż, bo każde polano na stosie puściło korzenie i gałązki, wznosił się pachnący żywopłot wysoki i gęsty, utkany czerwonymi różami, a na samej górze błyszczał biały kwiat, połyskujący jak gwiazda; król zerwał ten kwiat i położył go na piersi Elizy; a ona zbudziła się radośnie ze szczęściem i spokojem w sercu.

Wszystkie dzwony zaczęły same dzwonić i wielkimi gromadami przyleciały ptaki - ruszono z powrotem na zamek weselnym pochodem, orszakiem, jakiego nie miał żaden król na świecie.





Czy znasz bajkę o starej latarni? Nie jest zbyt zabawna, ale można chociaż raz ją wysłuchać.

Pewnego razu była sobie szanowana stara lampa uliczna, która wykonywała swoje obowiązki uczciwie i dobrze od wielu lat. Lecz pewnego razu stwierdzono, iż jest za staromodna. To był ostatni wieczór, kiedy miała wisieć na latarnianym słupie i oświetać ulicę. Lampa czuła się jak baletnica, która tańczyła po raz ostatni i wiedziała, że jutro przeminie. Lampa bardzo bała się tego nadchodzącego dnia, ponieważ powiedziano jej, iż będzie ją oceniało trzydziestu sześciu radców miejskich. Mieli zdecydować, czy lampa zdolna jest do dalszej pracy, a jeżeli tak, to do jakiej. Mogli zasugerować aby ją powiesić na jednym z pomniejszych mostów, albo, żeby ją sprzedać do fabryki, albo rozłożyć, co oznaczało, że zostałaby przetopiona. Wtedy oczywiście powstałoby z niej coś innego; i to ją

zmartwiło. Nie była pewna, czy wtedy będzie w stanie sobie przypomnieć, iż kiedyś była lampom uliczną.

Bez względu na to, co się z nią stanie, jedno było pewne: jutro zostałaby rozdzielona z nocnym stróżem i jego żoną, a to było smutne, ponieważ uważała ich za swoją rodzinę. Została powieszona na słupie właśnie wtedy, kiedy ten człowiek został stróżem nocnym. Jego żona była młoda i snobistyczna. Patrzyła czasami na lampę uliczną w nocy, ale w dzień tylko czasami rzucała na nią okiem. Jednakże w ciągu ostatnich kilku lat, kiedy cała trójka: stróż, jego żona i lampa zestarzelili się, żona zaczęła się opiekować lampą: czyściła i napełniała oliwą. Starsza para była uczciwa i nigdy nie oszukała lampy, nawet na jedną kroplę oliwy.

To miała być ostatnia noc, kiedy lampa oświetlała chodnik. Jutro miała zostać zabrana do pokoju w ratuszu. Lampa czuła się tak smutno, że zaczęła mrugać. Nachodziły ją wspomnienie wszystkiego, co widziała. Rzucała światło na wiele ciekawych rzeczy i widziała więcej niż trzydziestu sześciu ludzi z rady miasta razem wziętych. Lecz lampa nie śmiała się nigdy powiedzieć tego na głos.

Zawsze jest miło starszej osobie powspominać. Za każdym razem, gdy lampa przypominała sobie coś innego, płomień w niej wydawał się jaśniejszy.

- Będą mnie pamiętać, tak jak ja ja pamiętam ich - pomyślała lampa. - Wiele lat temu był młody człowiek, który stał tuż przede mną i otwierał list. Był napisany damskim pismem na różowej papeterii. Przeczytał go dwa razy; potem go pocałował. Kiedy popatrzył na mnie, jego oczy zadawały się mówić:

- Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

Otrzymał list miłosny od dziewczyny, którą kochał; wiedzieliśmy o tym, tylko on i ja.

- Pamiętam inną parę oczu. Na naszej ulicy umarła młoda, bogata kobieta. Karawan był ciągnięty przez cztery czarne konie, a trumna była przykryta kwiatami. Żałobnicy szli za nią niosąc pochodnie. Ale kiedy procesja już przeszła i pomyślałam, że ulica znowu opustoszała, nagle zauważyłam kogoś stojącego przede mną i płaczącego. Nigdy nie zapomnę tych przepelnionych smutkiem oczu, które wpatrywały się we mnie.

Takie to były myśli i wspomnienia starej lampy ulicznej, kiedy świeciła po raz ostatni.

Wartownik, którego mają zwolnić ze służby, może wymienić kilka słów z człowiekiem, który ma go zastąpić. Ale lampa nawet nie wiedziała, kim ma być jej zastępca, więc nie była w stanie dać mu kilku rad o wietrze i powiedzieć, z której

strony zazwyczaj wieje; albo o księżycu i wyjaśnić jak świeci na chodnik.

W dole, w rynsztoku były trzy istoty, które były gotowe ją zastąpić, tak szybko jak tylko się zwolni miejsce. Przedstawili się. Pierwszym była zepsuta głowa śledzia, która jak wiecie może świecić w ciemnościach. Podkreśliła, że jej przyjęcie oznaczałoby duże oszczędności w oliwie. Drugim był stary kawałek spróchniałego drewna, który świecił bardziej niż stary śledź, jak sam dumnie wspomniał. Poza tym, był ostatnim kawałkiem drewna, które było dumą całego lasu. Trzecim był świetlik. Stara lampa uliczna nie mogła sobie wyobrazić, skąd tam się wziął, lecz był, świecąc jak pozostałe. Głowa Śledzia i stary spróchniały kawałek drewna miały pretensje, że świetlik nie żarzył się cały czas, lecz tylko wtedy gdy miał odpowiednie warunki ku temu, co go dyskwalifikowało.

Stara lampa starała się wytłumaczyć im, że żadne z nich nie miało odpowiedniego światła aby zostać lampą uliczną. Nikt z tej trójki nie chciał w to uwierzyć. A kiedy powiedziano im, że lampa jest za stara i nie może zatrudnić swojego zastępcy, cała trójka zadeklarowała, iż jest to dobra wiadomość.

Właśnie wtedy zza rogu zadmuchał wiatr, przeszył osłonę lampy i powiedział:  
- Cóż to , słyszę, że nas jutro opuszczasz? Czy to jest ostatni wieczór, kiedy cię tu zastaję? Pozwól mi, żebym ci wręczył pożegnalny prezent, skoro musimy się rozstać. Wydmucham z twojej głowy wszystkie pajęczyny, tak abyś nie tylko pamiętała o wszystkim, co kiedykolwiek widziałaś, czy słyszałaś, ale również abyś wyraźnie słyszała wszystko, co wokół ciebie mówi, lub czyta.

- Cóż za wspaniały podarunek, żeby mnie tylko nie przetopili! - Powiedziała stara lampa uliczna.

- To nie może być - odpowiedział wiatr - a teraz przedmucham ci pamięć. Jeżeli dostaniesz jeszcze kilka takich prezentów jak mój, twoja emerytura będzie wielką przyjemnością.

- Ale, co będzie, jak mnie przetopią? - zauważyła lampa. - Czy możesz zagwarantować mi pamięć także wtedy?

- Bądź rozsądną stara lampo - powiedział wiatr i z całą siłą dmuchnął.

Wtedy zza chmur wyszedł księżyc.

- Co dasz starej lampie? - zapytał wiatr.

- Ja? Nic jej nie dam - powiedział księżyc. - Jestem w nowiu. Poza tym, lampa nigdy dla mnie nie świeciła, a ja dla niej tak> - I schował się za chmury, ponieważ nie lubił, gdy ktoś stawiał mu żądania.

Nagle na osłonę lampy spadła kropla wody przysłana przez szare chmury, mówiąc, że jest chyba najwartościowszym prezentem:

- Teraz, kiedy jestem w tobie, możesz zardzewieć w jedną noc, w każdą, jaką chcesz, nawet w dzisiejszą.

Lampa pomyślała, iż jest to bardzo nędzny prezent, a wiatr się z nią zgodził:

- Nikt nie ma nic lepszego... nic lepszego? - Wiatr szeleścił najgłośniej jak mógł.

Nagle spadła świetlista gwiazda, zataczając po niebie ognisty łuk.

- Co to była? - Krzyknęła głowa śledzia. - Myślę, że gwiazda spadła prosto do starej lampy! No cóż, jeżeli o ten urząd stara się taka osobistość, możemy tylko iść do domu. - I to właśnie zrobiła cała trójka.

Stara lampa świeciła jaśniej niż kiedykolwiek wcześniej.

- To jest wspaniały prezent! - Wykrzyknęła lampa. - Błyszczące gwiazdy, które zawsze podziwiałam i które świecą o wiele czyściej niż ja kiedykolwiek, chociaż bardzo się o to starałam przez całe moje życie, przysłały mnie - starej lampie ulicznej - najwspanialszy podarek! Dały mi moc, aby ci, których kocham, mogli zobaczyć wyraźnie wszystko to, co mogę sobie przypomnieć, czy wyobrazić. Co za wspaniały Prezent!

- Bardzo zacna stara lampo - powiedziała wiatr- boję się, że gwiazdy zapomniały ci powiedzieć, że musisz mieć zapaloną woskową świeczkę, aby cokolwiek mogło się zdarzyć. Bez palącej się świeczki, nikt nic nie zobaczy. Gwiazdy pewnie zapomniały ci o tym powiedzieć, ponieważ myślały, że wszystko co tu świeci ma w sobie przynajmniej jedną woskową świeczkę. Lecz teraz jestem zmęczony. Myślę, że powinienem odpocząć. - I wiatr zniknął.

Następnego dnia... Och, równie dobrze możemy pominąć następny dzień i przejść od razu do następnego wieczora, kiedy to znajdujemy lampę leżącą na bujaku. Ale gdzie? W domu starego, nocnego stróża. Poprosił on owych trzydziestu sześciu urzędników z rady miasta, aby w nagrodę za długą i pełną oddania pracę oddali mu starą lampę uliczną. Pomimo tego, że wszyscy się śmiali, pozwolono staremu zabrać lampę ze sobą do domu. Teraz lampa leżał na bujanym krześle, obok kominka i wygląda na dwa razy większą niż wtedy, gdy wisiała na latarnianym słupie.

Starsza para jedząca kolację, spoglądała na nią z czułością. Jeżeli miałyby to jakiś sens, to daliby jej krzesło przy stole, aby mogła z nimi posiedzieć. Pokój, w którym mieszkali znajdował się w piwnicy, dwie stopy pod ziemią, do której wchodziło się przez kamienny korytarz. Koło drzwi było ogrzewanie i w pokoju było ciepło. Było także czysto, schludnie i przytulnie. Zasłony zasłaniały łóżko i dwa małe okienka. Na parapetach stały dwie dziwnie wyglądające doniczki,

które ich sąsiad, który był żeglarzem, przywiózł z Indii - nie ważne, czy ze Wschodnich, czy z Zachodnich; starsi ludzie nie wiedzieli. Były to dwa ceramiczne słonie. W jednym rosły pory - to był ich ogródek warzywny. W drugim kwitła pelargonia - a to był ich kwiaciasty ogródek. na ścianie wisiała duża, kolorowa odbitka obrazu: "Zjazd we Wiedniu". Widnieli na nim wszyscy królowie i cesarze Europy. W rogu tykał stary zegarek dziadka. Śpieszył się, ale, jak mawiał stary, było to lepsze niż gdyby spóźniał.

Podczas gdy starsza para jadła kolację, lampa leżała na bujaku - jak już powiedziałem - przy kominku. Lampa czuła się trochę, jakby jej świat przewrócił się do góry nogami. lecz, kiedy stary zaczął wspominać, mówić o rzeczach, które razem z lampą przeżył - w deszczu i słońcu, podczas przejrzystych letnich i długich, mroźnych zimnych nocy lampa uświadomiła sobie jak miło jest siedzieć przy gorącym piecu w piwnicy. Lampa przypomniała sobie wszystko tak jaszkrawo, jakby to się właśnie zdarzyło. Wiatr wykonał. naprawdę dobro robotę odświeżając jej pamięć.

Starsza para była bardzo pracowita; nigdy nie zmarnowali ani chwili. W niedzielne popołudnie stary nocny stróż ściągał z półki książkę i czytał ją na głos. Wolał książki podróżnicze, szczególnie o Afryce. Uwielbiał czytać o ogromnych tropikalnych lasach, po których wędrowały słonie. Jego żona. jego żona spoglądała na parapety, gdzie stał dwa gliniane słonie i mówiła:

- Kiedy czytasz, mogę to wszystko zobaczyć.

Jak bardzo stara lampa uliczna chciała aby paliła się w niej świeczka! Wtedy starszy para mogłaby to zobaczyć, tak jak widziała to lampa. Widziała wysokie drzewa rosnące tak blisko siebie, że ich gałęzie mieszały się ze sobą; nagich tubylców jeżdżących na słoniach i stada słoni podążające przez dżunglę, niszcząc trzcinę i łamiąc młode drzewka swoimi olbrzymimi stopami.

- Cóż jest dobrego w moim prezencie, kiedy oni nie mają świeczek woskowych? - Zauważyła lampa. - nie stać ich na nie; są za biedni aby posiadać coś prócz świec z łoju, czy oliwy.

Lecz pewnego dnia w piwnicy pojawiła się garść ogarków. Starsza para używała tych do robienia światła, ale nigdy się nie zdarzyło, aby włożono jakiś do starej lampy. Najmniejszymi z nich stara kobiet woskowała nici do szycia.

- Siedzę tu posiadając taki rzadki dar - narzekła lampa. - mam w sobie cały świat i nie mogę się nim podzielić ze swoimi opiekunami. Nie wiedzą, że mogę te powapnowane białe ściany na białe ściany udekorować najpiękniejszymi ta-

petami. Mogliby zobaczyć najpiękniejszy las. Mogliby zobaczyć wszystko, co zapragnęliby; lecz niestety! Nie wiedzą o tym.

Lampa była polerowana i czyszczona, a teraz stoi w rogu pokoju, gdzie mogli ją zobaczyć wszyscy goście. Większość z nim myślała, że jest to kawałek starego złomu, lecz nocny stróż i jego żona bardzo kochali lampę.

Zdarzyło się, że była noc urodzinowa stróża. Starsza pani stanęła przed lampą i powiedział z uśmiechem:

- Myślę, że powinnaś być zapalona na jego cześć.

Lampa pomyślała:

- Spłynęło na nich światło. teraz dadzą mi woskową świecę.

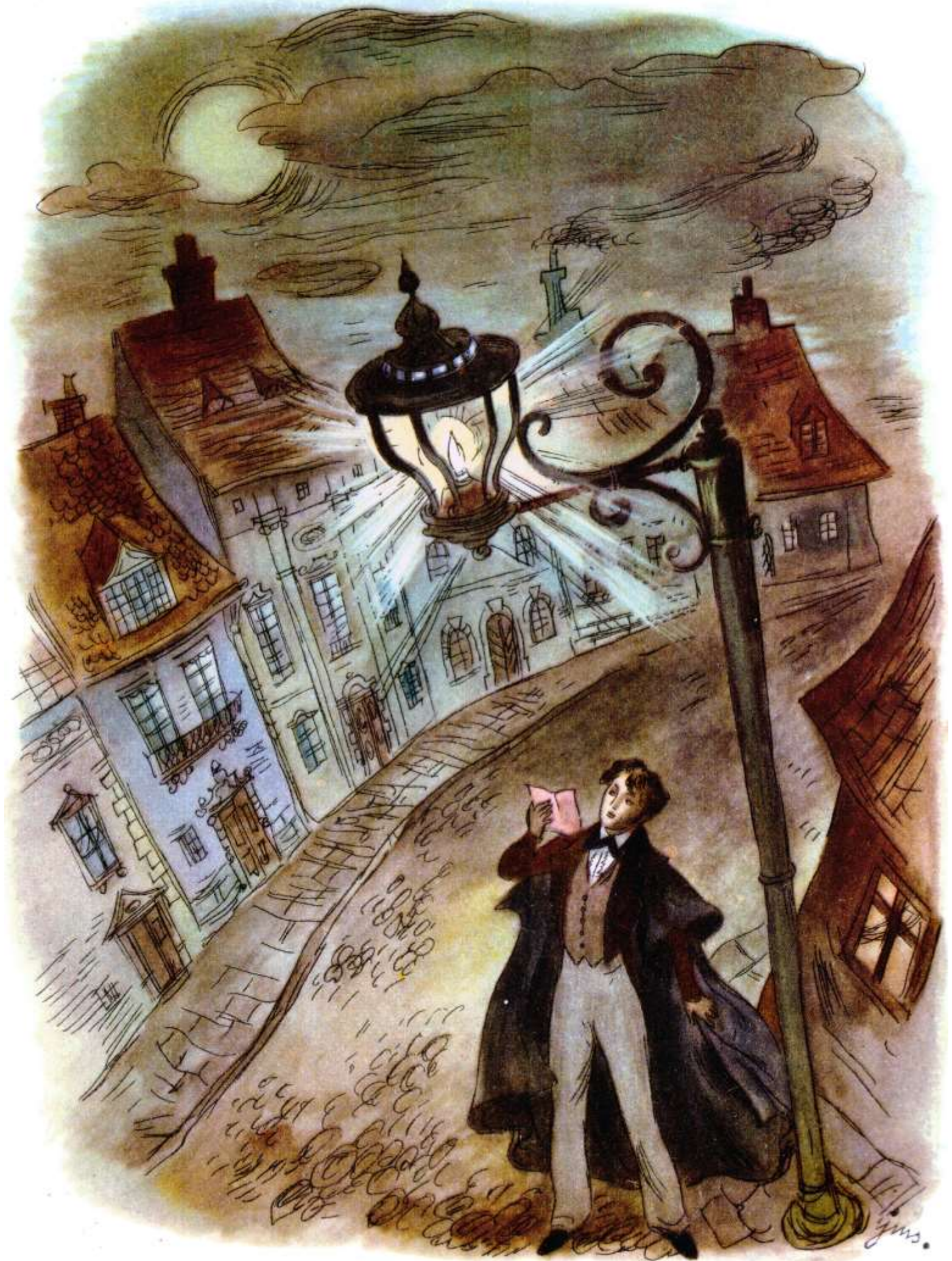
Starsza pani napełniła lampę oliwą, a ona paliła się przez cały wieczór. Poczuli, że dar, który dały jej gwiazdy miał pozostać bezużyteczny, ukryty w tajemnicy do końca jej dni.

Tej nocy śniła - a każdy, kto posiada taki talent jak lampa naprawdę potrafi śnić - że starsza para umarła i że wysłano ją do odlewni i przetopiono. Wystraszyła się jak wtedy, gdy oceniali ją trzydziestu sześciu urzędników. Lecz nawet mając przemieniania w rdzę i pył, nie skorzystała z tego. Pozwoliła się przetopić na najpiękniejszy świecznik, który odlano na kształt anioła trzymającego bukiet kwiatów, pośrodku, wśród kwiatów, było miejsce na woskową świecę. świecznik umieszczono na zielonym biurku do pisania, które stało w przytulnym pokoju wypełnionym książkami i wieloma obrazami wiszącymi na ścianach. był to pokój pety. Wszystko o czym peta myślał, wyobrażał sobie i zapisywał, wydawało się unosić w powietrzu. ciemne dostojne lasy, słoneczna, po których brodził bocian, nawet pokład statku płynącego po wzburzonym morzu.

- Cóż za dar posiadam! - Powiedziała stara lampa. - Pragnę aby mnie przetopiono, ale jeszcze nie teraz, dopóki żyją moi opiekunowie. Kochają mnie dla mnie samej. jestem dla nich jak dziecko; dawali mi oliwę i polerowali mnie. Czczą mnie, tak jak - „Zjazd we Wiedniu” - ów szlachetny obraz.

Od tej pory, stara lampa uliczna była już spokojna, bo przecież zasługiwała na to; w końcu była bardzo szacowną starą latarnią uliczną.





# D Z I E W C Z Y N K A   Z   Z A P A Ł K A M I



Było bardzo zimno; śnieg padał i zaczynało się już ściemniać; był to ostatni dzień w roku, wigilia Nowego Roku. W tym chłdzie i w tej ciemności szła ulicami biedna dziewczynka z gołą głową i boso; miała wprawdzie trzewiki na nogach, kiedy wychodziła z domu, ale co to znaczyło! To były bardzo duże trzewiki, nawet jej matka ostatnio je wkładała, tak były duże; i mała zgubiła je zaraz, przebiegając ulicę, którą pędem przejeżdżały dwa wozy; jednego trzewika nie mogła wcale znaleźć, a z drugim uciekł jakiś urwis; wołał, że przyda mu się on na kołyskę, kiedy już będzie miał dziecko.

Szła więc dziewczynka boso, stąpała nóżkami, które poczerwieniały i zsiniały z zimna; w starym fartuchu niosła zawiniętą całą masę zapalek, a jedną wiązkę trzymała w ręku; przez cały dzień nie sprzedała ani jednej; nikt jej nie dał przez cały dzień ani grosika; szła taka głodna i zmarznięta i wyglądała taka smutna, biedactwo! Płatki śniegu padały na jej długie, jasne włosy, które tak pięknie związały się na karku, ale ona nie myślała wcale o tej ozdobie. Ze wszystkich okien naokoło połyskiwały światła i tak miło pachniało na ulicy pieczonymi gęsmi.

„To przecież jest wigilia Nowego Roku” - pomyślała dziewczynka. W kącie między dwoma domami, z których jeden bardziej wysuwał się na ulicę, usiadła

i skurczyła się cała; małe nożyny podciągnęła pod siebie, ale marzła coraz bardziej, a w domu nie mogła się pokazać, bo przecież nie sprzedała ani jednej zapalki, nie dostała ani grosza, ojciec by ją zbił, a w domu było tak samo zimno, mieszkali na strychu pod samym dachem i wiatr hulał po izbie, chociaż największe szpary w dachu zatkane były słomą i gałganami. Jej małe ręce prawie całkiem zamarzły z tego chłodu. Ach, jedna mała zapalka, jakby to dobrze było! Żeby tak wyciągnąć jedną zapalkę z wiązki, potrzeć ją o ścianę i tylko ogrzać paluszki! Wyciągnęła jedną i „trzask”, jak się iskrzy, jak płonie! mały ciepły, jasny płomyczek, niby mała świeczka otoczona dłońmi! Dziwna to była świeca; dziewczynce zdawało się, że siedzi przed wielkim, żelaznym piecem o mosiężnych drzwiczkach i ozdobach; ogień palił się w nim tak łaskawie i grzał tak przyjemnie; ach, jakież to było rozkoszne! Dziewczynka wyciągnęła przed siebie nóżki, aby je rozgrzać także - a tu płomień zagasł. Piec znikł - a ona siedziała z niedopałkiem siarnika w dłoni.

Zapaliła nowy, palił się i błyszczał, a gdzie cień padł na ścianę, stała się ona przejrzysta jak muślin; ujrzała wnętrze pokoju, gdzie stał stół przykryty białym, błyszczącym obrusem, nakryty piękną porcelaną, a na półmisku smacznie dygotała pieczona gęś, nadziana śliwkami i jabłkami; a co jeszcze było wspanialsze, gęś zeskoczyła z półmiska i zaczęła się czołgać po podłodze, z widelcem i nożem wbitym w grzbiet; doczołgała się aż do biednej dziewczynki; aż tu nagle zgasła zapalka i widać tylko było nieprzejrzystą, zimną ścianę.

Zapaliła nowy siarnik. I oto siedziała pod najpiękniejszą choinką; była ona jeszcze wspanialsza i piękniej ubrana niż choinka u bogatego kupca, którą ujrzała przez szklane drzwi podczas ostatnich świąt; tysiące świeczek płonęło na zielonych gałęziach, a kolorowe obrazki, takie, jakie zdobiły okna sklepów, spozierały ku niej. Dziewczynka wyciągnęła do nich obie rączki - ale tu zgasła zapalka; mnóstwo światełek choinki wznosiło się ku górze, coraz wyżej i wyżej, i oto ujrzała ona, że były to tylko jasne gwiazdy, a jedna z nich spadła właśnie i zakreśliła na niebie długi, błyszczący ślad.

- Ktoś umarł! - powiedziała malutka, gdyż jej stara babka, która jedyna okazywała jej serce, ale już umarła, powiadała zawsze, że kiedy gwiazdka spada, dusza ludzka wstępuje do Boga.

Dziewczynka znowu potarła siarnikiem o ścianę, zajaśniało dookoła i w tym blasku stanęła przed nią stara babunia, taka łagodna, taka jasna, taka błyszcząca i taka kochana.

- Babuniu! - zawołała dziewczynka - o, zabierz mnie z sobą! Kiedy zapalka zgaśnie, znikniesz jak ciepły piec, jak gaska pieczona i jak wspaniała olbrzymia choinka! - i szybko potarła wszystkie zapalki, jakie zostały w wiązce, chciała jak najdłużej zatrzymać przy sobie babkę, i zapalki zabłysły takim blaskiem, iż stało się jaśniej niż za dnia. Babunia nigdy przedtem nie była taka piękna i taka wielka; chwyciła dziewczynkę w ramiona i poleciały w blasku i w radości wysoko, wysoko; a tam już nie było ani chłodu, ani głodu, ani strachu - bowiem były u Boga.

A kiedy nastał zimny ranek, w kąciку przy domu siedziała dziewczynka z czerwonymi policzkami, z uśmiechem na twarzy - nieżywa: zamarła na śmierć ostatniego wieczora minionego roku. Ranek noworoczny oświetlił małego trupka trzymającego w ręku zapalki, z których garść była spalona. Chciała się ogrzać, powiadano; ale nikt nie miał pojęcia o tym, jak piękne rzeczy widziała dziewczynka i w jakim blasku wstąpiła ona razem ze starą babką w szczęśliwość Nowego Roku.



K O G U T   P O D W Ó R Z O W Y  
I   K O G U C I K   N A   D A C H U



Były raz dwa koguty: jeden stał na kupie nawozu, a drugi na dachu, oba się pysz-  
niły; ale który z nich działał więcej? Powiedz nam swoje zdanie, a my zosta-  
niemy przy swoim.

Przybytek drobiu był odgradzony parkanem od sąsiedniego podwórza, gdzie  
leżała kupa nawozu, a na niej rósł wielki ogórek, który był świadom tego, że jest  
rośliną inspektową.

- Takim się już przychodzi na świat - mówił - nie wszyscy mogą być urodzeni  
jako ogórki, muszą istnieć także inne żywe stworzenia. Kury, kaczki i całe stado  
z sąsiedniego podwórza - to także żywe stworzenia. Patrzę na podwórzowego  
koguta stojącego na parkanie, jakież on jest inny od kogucika na dachu, który tak  
wysoko stoi i nie potrafi nawet skrzypieć, nie mówiąc już o pianiu. Nie ma ani  
kur, ani kurcząt, myśli tylko o sobie i poci się na zielono. Nie, kogut podwórzowy  
to mi kogut, co się zowie! Stąpa dzielnie, jakby tańczył. Jego pianie to mi mu-  
zyka. Gdzie tylko się zjawia, zaraz można poznać, co to za trębacz. Gdyby przy-  
szedł teraz tutaj i zjadł mnie z liśćmi i łodygą i gdybym zginął w jego wnętrzo-  
ściach, byłaby to błogosławiona śmierć! - powiedział ogórek.

W nocy rozpętała się straszna burza; kury, kurczęta i kogut szukały schronienia. Płot przedzielający oba podwórza przewrócił się od wiatru, trzeszcząc strasznie; cegły spadały z dachu, ale kogucik wskazujący pogodę trzymał się mocno, nie obrócił się nawet ani razu, nie mógł się poruszyć, a jednak był młody, świeżo odlany, tylko rozważny i stateczny; urodził się już jako stary, nie był podobny do trzpiotowatych ptaków podniebnych, wróbli i jaskółek, pogardzał nimi, „ćwierkające ptactwo, mizerne wzrostem i gminne!” Gołębie były dla niego wielkimi, błyszczącymi i mieniącymi się jak masa perłowa ptakami, mówił, że wyglądają jak coś w rodzaju kogucika na dachu, ale są grube i głupie.

- Wszystkie ich myśli i pragnienia dążą tylko do tego, aby napęłnić żołądek - mówił kogucik na dachu - a jakie są nudne w obcowaniu!

Ptaki wędrownie jednak odwiedzały kogucika na dachu. Opowiadały mu o obcych krajach, o powietrznych karawanach, opowiadały straszne historie o zbójcach, czyli o drapieżnych ptakach; gdy kogucik słyszał te opowiadania po raz pierwszy, wydawały mu się nowe i interesujące, ale potem wiedział już, że wędrownie ptaki się powtarzają, że ciągle mówią to samo, a to było nudne; z nikim nie mógł przestawać, wszyscy bez wyjątku byli nudni i ograniczeni, z nikim nie można było zawierać znajomości.

- Świat jest nic niewart - mówił kogucik. - Wszystko jest głupstwem.

Kogucik na dachu był, jak to mówią, zblazowany, uczyniłoby go to zapewne w oczach ogórka interesującym, gdyby o tym wiedział, ale ogórek patrzył tylko na podwórzowego koguta, a ten był teraz właśnie na podwórzu, tuż przy nim.

Płot przewrócił się, ale błyskawice i grzmoty minęły.

- Cóż sądzicie o takiej kogucie muzyce? - spytał kogut podwórzowy kur i kurczą. - Było to trochę ordynarne, całkiem bez dyskusji.

Kury i kurczęta weszły na kupę nawozu, a kogut podążał za nimi wielkimi krokami.

- Ogrodowa roślina - powiedział kogut do ogórka i tym jednym słowem pokazał mu swe głębokie wykształcenie, tak że ogórek nie spostrzegł się, gdy kogut zaczął go dziobać i zjadł.

- Błogosławiona śmierć!

Przyszły kury, przyszły kurczęta (kiedy jedno leci, biegną za nimi wszystkie inne), gdakały i piszczały, patrzyły na koguta i były z niego dumne, że należał do ich rodu.

- Ku-ku-ry-ku! - zapiał kogut. - Kiedy ja wydam rozkaz, we wszystkich kurniach świata kurczęta staną się natychmiast dorosłymi kurami.

A kury i kurczęta gdakały i piszczały. Kogut oznajmiał wielką nowinę:

- Kogut może znieść jajko! A czy wiecie, co się w tym jajku znajduje? Bazyli-szek! Żaden człowiek nie może znieść jego widoku. Ludzie wiedzą o tym, a teraz i wy już wiecie, wiecie, co we mnie mieszka. Wiecie, co to ja jestem za wszech-potężny pan! - I kogut uderzył skrzydłami, naprężył grzebień i zapiał znowu. Ciarki przeszły po kurach i kurczętach, ale były strasznie dumne, że jeden z ich rodu jest takim wszechpodwórzowym panem; gdakały i piszczały tak, że kogucik na dachu musiał to słyszeć, słyszał, ale nie ruszał się z miejsca.

- Wszystko to jest bzdurą - powiedział do siebie kogucik. - Podwórzowy kogut nie składa nigdy jaj, a i ja nie mam na to ochoty. Gdybym zechciał, mógłbym nawet mieć wydęte jajko! Ale świat nie jest wart nawet pustej skorupy. Wszystko bzdura! Teraz nie chce mi się nawet już siedzieć na miejscu!

I kogucik spadł z dachu, ale nie zabił podwórzowego koguta, chociaż nosił się z tym zamiarem, mówiły kury.

A jaka z tego nauka?

Lepiej jest piąć, niż być zblazowanym i skrećić kark.





Nikt na całym świecie nie zna tylu bajek, co Ole Zmruż-oczko. Ależ on umie opowiadać! Kiedy zbliża się wieczór i dzieci siedzą grzecznie przy stole na wysokich krzeselkach, przychodzi Ole Zmruż-oczko, wstępuje cichutko na schody, bo chodzi w samych pończoszках, cichutko otwiera drzwi i - plusk! Delikatnie pryska dzieciom w oczy słodkim mlekiem, drobnymi, drobnymi kropelkami, ale tak, by musiały zamknąć oczy i nie mogły go widzieć, a potem staje z tyłu i dmucha im ostrożnie w karki, wtedy głowy ciążą im coraz bardziej, ciążą, ale to wcale nie boli, bo Ole Zmruż-oczko życzy dzieciom dobrze i chce tylko, aby się uciszyły, a dzieci są najcichsze, gdy leżą w łóżku i wtedy można im opowiadać bajki.

Kiedy dzieci już śpią, siada sobie Ole na łóżku; jest pięknie ubrany: ma jedwabny płaszczyk, ale trudno powiedzieć, jakiego koloru, bo mieni się przy każdym poruszeniu zielono, czerwono, niebiesko; a pod pachami ma po parasolu; jeden, pokryty obrazkami, rozpościera nad grzecznymi dziećmi, a one śnią przez całą noc o najpiękniejszych rzeczach; za to drugi parasol nie ma wcale obrazków

i ten Ole otwiera nad niegrzeczными dziećmi, które budzą się rano po nocy bez snów. Teraz usłyszymy, jak to Ole Zmruż-oczko przychodził co wieczór przez cały tydzień do pewnego chłopczyka, który nazywał się Hjalmar, i co mu opowiadał. Będzie to siedem historyjek, bo tydzień ma siedem dni.

### Poniedziałek

- Słuchaj uważnie! - powiedział Ole Zmruż-oczko wieczorem, kiedy już zmusił Hjalmar, aby położył się do łóżka. - Zaczynam!

I nagle wszystkie kwiaty w doniczkach wyrosły na wielkie drzewa, które wyciągnęły swe gałęzie aż do sufitu i wzdłuż ścian, tak że cały pokój wyglądał jak najwspanialsza oranżeria, wszystkie gałęzie były pełne kwiatów, piękniejszych od róż pachnących rozkosznie, a jeśli się je ugryzło, to smakowały słodziej od konfitur. Owoce połyskiwały jak złoto; były tam też i ciastka, które pękały od rodzynek; wszystko było nadzwyczajne. Ale w tym samym czasie coś zaczęło jęczeć w szufladzie, gdzie Hjalmar chował swoje książki.

- Co to jest? - spytał Ole Zmruż-oczko, podszedł do stołu i otworzył szufladę. To szyfrowej tabliczce tak coś dokuczało, że omal się nie rozpadła, gdyż w zadaniu arytmetycznym wpisana była fałszywa cyfra, szyferek skakał na swoim sznurku jak mały piesek, chciał poprawić błąd w zadaniu, ale nie mógł. Potem zajęczało coś w zeszycie Hjalmara. Aż przykro było słuchać. Na każdej stronie zeszytu widniały duże litery, cały ich szereg szedł z góry na dół, a każda duża miała małą przy boku. Był to wzór do kaligrafii; a obok tych liter stały inne, które wyobrażały sobie, że są do tamtych podobne; te litery napisał Hjalmar, wyglądały one tak, jak gdyby się potknęły na linijkach, na których powinny były stać.

- Widzicie, tak macie się trzymać! - mówił wzór. - Patrzcie, macie być tak ukośnie pochylone i takie wyraźne!

- O, my byśmy chciały! - Powiedziały litery Hjalmara. - Ale nie możemy, jesteśmy takie wątle.

- Więc zażyjcie lekarstwa! - Powiedział Ole Zmruż-oczko.

- O, nie! - zawołały i wyprostowały się tak ładnie, że aż miło było patrzeć.

- Teraz nie mamy czasu na bajki! - powiedział Ole Zmruż-oczko. - Muszę je ćwiczyć! Raz, dwa! Raz, dwa!

Tak musztrował litery, które stały się wysmukłe i wyglądały piękniej od swoich wzorów, ale gdy Ole Zmruż-oczko sobie poszedł i Hjalmar nazajutrz rano zajrzał do zeszytu, litery wyglądały znowu tak nędznie jak przedtem.

## Wtorek

Jak tylko Hjalmar położył się do łóżka, Ole Zmruż-oczko dotknął maleńką, czarodziejską różdżką wszystkich sprzętów w pokoju, a one zaraz zaczęły rozmawiać i wszystkie razem gadały o sobie z wyjątkiem spluwaczki; ta stała milcząca i złościła się, że wszyscy są tak zarozumiali i potrafią mówić tylko o sobie, myśleć tylko o sobie, że nie pomyślą nawet o kimś, kto tak skromnie stoi w kącie i pozwala pluć na siebie. Nad komodą wisiał duży obraz w złotonych ramach; był to krajobraz, widać było na nim wysokie, stare drzewa, kwiaty na trawie i dużą rzekę, która płynęła przez las obok wielu zamków, het daleko aż do wzburzonego morza.

Ole Zmruż-oczko dotknął swą różdżką obrazu i wnet namalowane ptaki zaczęły śpiewać, gałęzie drzew poruszać się, chmury płynęły po niebie, a cienie ich poruszały się na krajobrazie.

Ole zaniósł Hjalmara przez obraz, a chłopczyk wszedł przez ramę i spuścił nóżki wprost w wysoką trawę, i stanął pośród niej; słońce świeciło przez gałęzie drzew wprost na niego. Hjalmar pobiegł ku wodzie i wsiadł do łódeczki, która tam stała; łódka była pomalowana na czerwono i na biało, żagle błyszcząły na niej jak srebro, i sześć łabędzi, każdy ze złotą koroną na szyi i z błyszczącą, niebieską gwiazdą nad głową, pociągnęło łódkę wzdłuż zielonych lasów, gdzie drzewa gadały o rozbójnikach i czarownicach, a kwiaty - o milutkich, małych elfach i o tym, co motyle im naopowiadały.

Najpiękniejsze rybki o łuskach jak srebro i złoto płynęły za łodzią; czasem wyskakiwały z pluskiem z wody i wpadały z powrotem, a ptaki, czerwone i niebieskie, małe i duże, leciały dwoma długimi rzędami za łódką; komary tańczyły, a trzmielce huczały: wszystko chciało towarzyszyć Hjalmarowi i każdy chciał mu opowiedzieć piękną historyjkę.

To była dopiero wyprawa łodzią! Las to się zagęszczał i ściemniał, to stawał się podobny do najpiękniejszego ogrodu, pełnego blasku słońca i kwiatów, były tam wielkie zamki ze szkła i z marmuru; na balkonach stały królowny, a były to dziewczynki, które Hjalmar znał dobrze i z którymi się zwykle bawił. Wyciągały one ku niemu dłonie, a każda trzymała tak piękną świnkę z cukru, jakiej nie można dostać na żadnym straganie. Hjalmar przepływając chwycił za świnki, ale królowny ich nie puszczały i każde z nich dostało po kawałku, Hjalmar większy, a królowna znacznie mniejszy.

Przy każdym zamku stał na straży królewicz i prezentował złotą szabelkę, i osypywał Hjalmara deszczem rodzynek i ołowianych żołnierzyków; to byli

prawdziwi królewicze.

Hjalmar płynął to przez lasy, to przez wielkie sale albo nawet przez całe miasta; przepływał także przez to miasto, gdzie mieszkała jego niania, która nosiła go na ręku wtedy, kiedy był jeszcze zupełnie mały, i która go tak bardzo kochała. Niania kiwała do niego ręką i przesyłała mu całusy, a przy tym nuciła tę śliczną piosenkę, którą sama ułożyła i przesłała Hjalmarowi:

*Myślę o tobie, mój mały chłopczyku,  
Hjalmarze mój malutki,  
Mocnych całusów ślę bez liku  
Twym oczkom jak niezabudki.  
Słyszałam pierwsze słowa twoje,  
Teraz mnie nie ma przy tobie,  
Boże, błogosław cię, dziecię moje,  
Wszędzie i w każdej dobie.*

A wszystkie ptaki śpiewały razem z nianią, kwiaty płasały na łądych, a stare drzewa kiwały do niego wesoło, jak gdyby Ole Zmruż-oczko im także opowiadał bajki.

### Środa

Jaki straszny deszcz padał na dworze! Hjalmar słyszał przez sen jego szum; kiedy Ole Zmruż-oczko otworzył okno, woda sięgała do parapetu, zebralo się całe jezioro, ale tuż koło domu stał wspaniały okręt.

- Czy chcesz popłynąć ze mną, Hjalmarze? - spytał Ole Zmruż-oczko. - Mógłbyś przez całą noc podróżować po obcych krajach, a jutro znowu wrócić do domu!

I nagle Hjalmar, ubrany w swoje odświętne ubranko, znalazł się na wspaniałym statku, pogoda znów była piękna i statek płynął przez ulice, mijał kościół, a naokoło wszędzie było wielkie, nieograniczone morze.

Płynęli tak długo, dopóki ostatni kawałek lądu nie zniknął im sprzed oczu; zobaczyli klucz bocianów lecących do ciepłych krajów; jeden bocian leciał za drugim i po chwili były już daleko, daleko! Jeden z nich był tak zmęczony, że nie mógł już poruszać skrzydłami, był ostatni w szeregu, zostawał coraz bardziej w tyle i powoli, z rozpostartymi skrzydłami opuszczał się coraz niżej i niżej, załopotał raz jeszcze skrzydłami, ale nic mu to nie pomogło, oto dotykał już nogami

masztu statku, potem ześlizgnął się z żagla i bęc! Stał już na pokładzie.

Chłopiec okrętowy zaniósł go do kurnika, gdzie były kury, kaczki i indyki. Biedny bocian był bardzo onieśmielony tym towarzystwem.

- Cóż to za jeden? - mówiły wszystkie kury.

A indyk napuszył się tak bardzo, jak tylko można, i spytał bociana, kim jest, kaczki cofały się jedna do drugiej i kwakały:

- Pośpiesz się, pośpiesz się.

O bocian zaczął opowiadać o gorącej Afryce, o piramidach i o strusiach szybujących jak dzikie rumaki przez pustynię, ale kaczki nic nie rozumiały z tego, co mówił, i kwakały tylko między sobą:

- Jesteśmy wszystkie jednego zdania, że bocian jest głupi!

- Oczywiście, że jest głupi - powiedział indyk i zagulgotał. Wtedy bocian zamilkł i zaczął myśleć o swojej Afryce.

- Jakie masz śliczne, cienkie nóżki! - powiedział indyk. - Po czemu płaciłeś łokieć?

- Kwa, kwa, kwa! - śmiały się wszystkie kaczki, ale bocian udawał, że nie słyszy.

- Mógłbyś się z nami pośmiać - zwrócił się indyk do bociana - bo to było bardzo dowcipnie powiedziane. A może to ciębie niegodne? Ach, ach, jakież on ograniczony! Trzeba się będzie bawić bez niego!

Kury zagdakały, kaczki zakwakały:

- Gik, gak! Gik, gak!

Aż strach, jak to całe towarzystwo było zadowolone z siebie.

Ale Hjalmar poszedł do kurnika, otworzył drzwi i zawołał bociana, który wyskoczył do niego na pokład. Wypoczął już i wydawało się, że kiwa przyjaźnie głową Hjalmarowi, jak gdyby chciał mu podziękować. Potem rozpostarł skrzydła i poleciał do ciepłych krajów, podczas gdy kury gdakały, kaczki kwakały, a indyk poczerwieniał jak ogień.

- Jutro ugotujemy z was rosół! - powiedział Hjalmar i obudził się w swym małym łóżeczku.

W piękną podróż zabrał go tej nocy Ole Zmruż-oczko.

#### Czwartek

- Wiesz co? - powiedział Ole Zmruż-oczko. - Tylko się nie przestrasz. Zobaczysz małą myszkę! - I pokazał mu milutkie stworzonko, które trzymał w ręku. - Przyszła, by cię zaprosić na wesele. Są tu dwie myszki, które pragną tej nocy

wstąpić w związek małżeński. Mieszkają pod podłogą w spiżarni twojej matki, to podobno takie śliczne mieszkanie!

- Ale w jaki sposób dostanę się do mysiej dziurki w podłodze? - spytał Hjalmar.

- O to się nie martw! - Powiedział Ole Zmruż-oczko. - Sprawię, że staniesz się mały! - I dotknął Hjalmarą swą czarodziejską różdżką, a chłopiec stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu był mały jak palec. Teraz możesz włożyć ubranie ołowianego żołnierzyka, myślę, że będzie dobre na ciebie, mundur w towarzystwie robi zawsze dobre wrażenie!

- Tak, masz rację! - powiedział Hjalmar i w mgnieniu oka był ubrany jak najładniejszy ołowiany żołnierz.

- Czy nie byłby pan tak łaskaw wejść do naparstka pańskiej mamy? - spytała myszka. - Będę miała wówczas zaszczyt ciągnąć pana!

- Mój Boże, panna się sama trudzi! - zawołał Hjalmar i pojechali na mysie wesele.

Najpierw znaleźli się pod podłogą, gdzie był długi korytarz, akurat tak wysoki, że naparstek, w którym znajdował się Hjalmar, mógł przejechać; korytarz oświetlał kawałek spróchniałego drzewa.

- Prawda, jak tu pięknie pachnie? - spytała myszka, która ciągnęła naparstek.

- Cały korytarz wysmarowany został skórą słoniny. Czy może być coś rozkoszniejszego? Właśnie wchodzili do Sali weselnej, po prawej stronie stały wszystkie mysie damy, piszczały i chichotały, jak gdyby z siebie wzajemnie kpily. Po lewej stronie stali mysi panowie i muskali łapkami swoje wąsiki; pośrodku sali widać było parę narzeczonych; stali w wydrążonej skórce sera i w obecności wszystkich całowali się zapamiętale, bo przecież byli zaręczeni i za chwilę miał się odbyć ich ślub.

Przybywało coraz więcej i więcej gości, jedna z myszek o mało co nie stratowała innej na śmierć, a para narzeczonych ustawiła się we drzwiach tak, że nikt nie mógł wyjść ani wejść.

Pokój, tak samo jak korytarz, wysmarowano słoniną - miało to starczyć za poczęstunek, a na deser pokazano ziarno grochu, na którym jedna mała myszka z rodziny wygrzyła imiona młodej pary, wprowadzie tylko pierwsze litery, ale i tak było to coś niezwykłego!

Wszystkie myszy mówiły, że wesele było piękne i że świetnie się bawiły.

A potem Hjalmar pojechał z powrotem do domu, przyznawał, że był w wytwornym towarzystwie, ale musiał się porządnie skurczyć, żeby stać się tak małym i ubrać się w mundur ołowianego żołnierza.

## Piątek

- To nie do wiary, ilu dorosłych pragnie, bym ich odwiedzał! - powiedział Ole Zmruż-oczko. - Są to zwłaszcza ci, którzy mają coś złego na sumieniu. „Dobry, mały Ole - mówią do mnie - nie możemy zmrużyć oczu, leżymy całe noce i patrzymy na wszystkie nasze złe uczynki, które jak małe, złośliwe chochliki siadają na krawędzi naszych łóżek i pryskają na nas gorącą wodą; mógłbyś przyjść i przegnać je, abyśmy mogli nareszcie usnąć! - Potem wzdychają głęboko. - Chętnie zapłacimy ci za to: dobrej nocy: Ole! Pieniądze leżą na oknie!" Ale nie czynię tego dla pieniędzy! - powiedział Ole Zmruż-oczko.

- Co będziemy robili dziś w nocy? - spytał Hjalmar.

- Nie wiem, czy masz tej nocy ochotę pójść znowu na wesele; jest to wesele w innym rodzaju niż wczorajsze!

Duża lalka twojej siostry, ta, która wygląda jak mężczyzna i nazywa się Herman, chce się ożenić z lalką Bertą; prócz tego są dziś urodziny lalki i z tego powodu dostanie ona mnóstwo podarunków!

- Wiem, o co chodzi! - powiedział Hjalmar. - Zawsze kiedy lalki potrzebują nowych sukien, moja siostra urządza im urodziny albo wesele; zdarzyło się to już ze sto razy!

- Tak, ale tej nocy odbywa się sto pierwsze wesele, a potem wszystko się już kończy! Dlatego będzie takie piękne. Musisz to choć raz zobaczyć!

Hjalmar spojrzał na stół; stał tam maleńki, kartonowy domek z oświetlonymi oknami, a ołowiani żołnierze prezentowali broń przed nim.

Narzeczeni siedzieli na podłodze, oparci o stołową nogę, byli poważnie zamyśleni, a mieli powody po temu.

Ole Zmruż-oczko, ubrany w czarną suknię babci dał im ślub; po skończonym ślubie wszystkie meble w pokoju zanuciły następującą piękną pieśń, napisaną przez ołówek; melodia przypominała pobudkę wojskową:

*Ta pieśń, co brzmi jak wiatru wiew,  
Na cześć weselnej pary śpiew;  
Jak dwa patyki z suchych drzew,  
Ze skóry korpus, głowa, brew,  
Hura, choć nie gra w żyłach krew,  
My ślemy w świat nasz głośny śpiew!*

Potem dostali podarunki, ale zastrzegli sobie, żeby nie dawać im nic do jedzenia, gdyż miłość syciła ich dostatecznie.

- Czy pojedziemy na wieś, czy za granicę? - spytał pan młody i wtedy wezwano na doradców jaskółkę, która dużo podróżowała, oraz starą podwórzową kwokę, która już pięć razy wysiedziała kurczęta; jaskółka opowiadała o cudnych, ciepłych krajach, gdzie góry mienią się takimi barwami, jakich się tu wcale nie widzi!

- Ale tam nie rośnie nasza kapusta! - powiedziała kwoka. - Jednego lata byłam ze wszystkimi moimi piskletami na wsi, był tam dół z piaskiem, gdzie mogliśmy spacerować i grzebać; miałyśmy też dostęp do ogrodu z kapustą! Jakaż była zielona! Nie mogę sobie wyobrazić nic piękniejszego!

- Wszystkie głowy kapusty są do siebie podobne! - powiedziała jaskółka. - A poza tym tutaj tak często jest brzydka pogoda.

No, do tego się można przyzwycząić! - powiedziała kwoka.

- Ale tu jest zimno i marznie się!

- Tym lepiej dla kapusty! - odpowiedziała kwoka. - Zresztą tu też bywa ciepło! Czyż nie mieliśmy cztery lata temu pięciu upalnych tygodni? Było tak gorąco, że nie można było oddychać. Nie ma też u nas jadowitych stworzeń, których tam jest tyle. I nie ma u nas rozbójników! Tylko wyrzutek uważa, że nasz kraj nie jest najpiękniejszy ze wszystkich! Nie zasługuje doprawdy na to, aby tu żyć! - I kwoka rozplakała się. - Ja również podróżowałam! Przejechałam w kojcu przeszło dwanaście mil! Podróżowanie nie jest wcale przyjemnością. - Tak, kwoka jest rozsądną osobą! - powiedziała lalka Berta. - Nie zależy mi na tym, by jechać w góry, gdyż ledwie się człowiek wdrapie na górę, zaraz musi schodzić na dół! Nie, pojedziemy lepiej do dołu z piaskiem i do ogrodu z kapustą!

I tak też zrobiono.

### Sobota

- Czy opowiesz mi dziś bajkę? - spytał mały Hjalmar, jak tylko Ole Zmrużoczko zaprowadził go do łóżka.

- Dziś wieczór nie mamy na to czasu! - odpowiedział Ole i rozpiął nad nim swój najpiękniejszy parasol. - Obejrzyj sobie dobrze tych Chińczyków.

Cały parasol wyglądał jak duża waza chińska; były tam niebieskie drzewa, wąskie mosty i mali Chińczycy, którzy stali i kiwali głowami!

- Cały świat musimy wyczyścić na jutro! - powiedział Ole. - Jutro jest świąteczny dzień - niedziela. Muszę pójść na kościelną wieżę i zobaczyć, czy krasnoludki wyczyściły dzwony, aby ładnie dzwoniły; muszę pójść na pole. By zobaczyć,



czy wiatr zmiótł kurz z trawy i listków, a największą pracę mam z gwiazdami, trzeba je wszystkie pozdejmować i wypolerować; kładę je do fartucha, ale muszę je przedtem ponumerować, aby wróciła każda na swoje miejsce, inaczej nie będą się mocno trzymały i będziemy mieli za dużo spadających gwiazd, jak tak się zaczną sypać jedna za drugą.

- Wie pan co, panie Ole Zmruż-oczko - powiedział stary portret wiszący na ścianie, przy której spał Hjalmar - jestem pradziadkiem Hjalmara; chciałem panu podziękować za to, że pan opowiada chłopcu bajki, ale uprzedzam pana, że nie wolno mu przewracać w głowie.

Gwiazd nie można zdejmować i nie można ich czyścić! Gwiazdy są ciałami niebieskimi jak nasza ziemia i to jest właśnie ich dobrą stroną! - Dziękuję ci, mój stary pradziadku! - powiedział Ole Zmruż-oczko. - Dziękuję ci! Jesteś przecież głową rodziny, najstarszą głową, ale ja jestem starszy od ciebie! Jestem starym poganinem, Rzymianie i Grecy nazywali mnie bogiem snu! Bywałem w najwytworniejszych domach i bywam w nich jeszcze! Umiem obchodzić się z dziećmi równie dobrze jak z dorosłymi! Teraz możesz ty opowiadać! - I Ole Zmruż-oczko wyszedł zabrawszy swój parasol.

- Dzisiaj nie można nawet wyrazić swego zdania! - powiedział stary portret. A wtedy Hjalmar obudził się.

### Niedziela

- Dobry wieczór! - powiedział Ole Zmruż-oczko i Hjalmar skinął mu głową, potem wyskoczył z łóżka i odwrócił portret pradziadka do ściany, aby nie wtrącał się tak jak wczoraj do rozmowy.

- Teraz musisz mi opowiadać bajki: o pięciu zielonych ziarnkach grochu, które mieszkały w jednym strączku, o kogucie, który zalecał się do kury, o igle do czerowania, która była na tyle zarozumiała, że wyobrażała sobie, że jest igłą do szycia!

- Za dużo tego dobrego! - powiedział Ole Zmruż-oczko. - Wiesz, najlepiej będzie, jeżeli ci coś pokażę! Chcę ci pokazać mego brata, nazywa się tak samo Ole Zmruż-oczko, ale nie przychodzi do nikogo częściej niż raz w życiu, a tego, do kogo przychodzi, bierze na swego konia i opowiada mu bajki.

Zna tylko dwie: jedna jest tak piękna, że nikt na świecie nie może sobie piękniejszej wyobrazić, a druga tak okropna i przerażająca, że trudno to opisać! - Potem Ole Zmruż-oczko podniósł Hjalmara do okna i powiedział:

- Teraz zobaczysz mego brata, tego drugiego Ole Zmruż-oczko! Niektórzy nazywają go śmiercią. Widzisz, nie wygląda wcale tak strasznie jak w książkach z obrazkami, gdzie przedstawiają go jako kościotrupa! Ma na sobie wspaniały mundur huzarski haftowany srebrem; czarny, aksamitny płaszcz powiewa nad koniem na wietrze! Patrz, jak pędzi galopem.

Hjalmar spojrział i zobaczył, jak drugi Ole Zmruż-oczko pędził na rumaku i zabierał ze sobą zarówno młodych, jak i starych; niektórych sadzał z przodu na konia, innych z tyłu, ale przedtem pytał zawsze:

- Jak wygląda twoja cenzura?

- Dobrze - mówili wszyscy.

- Muszę sam obejrzeć! - mówił Ole i każdy musiał mu pokazać swoją książeczkę; wszystkich tych, którzy mieli „bardzo dobrze” i „celująco”, sadzał przed sobą na konia i opowiadał im piękną bajkę; a tych, którzy mieli „dość dobrze” lub „dostatecznie”, sadzał z tyłu i musieli słuchać brzydkiej historii; płakali, drżeli ze strachu i chcieli zeskoczyć z konia, ale nie mogli w żaden sposób, gdyż byli do niego przyrośnięci.

- Ależ śmierć to najpiękniejszy Ole Zmruż-oczko! - zawołał Hjalmar. - Wcale jej się nie boję!

- Toteż nie powinieneś się jej bać! - powiedział Ole Zmruż-oczko. - Musisz tylko uważać, żeby mieć dobrą cenzurkę!

- Tak, to jest pouczające! - mruknął portret pradziadka. - Jak to jednak pomaga, gdy się wypowie swoje zdanie! - I nareszcie był zadowolony.

Oto jest historia o Ole Zmruż-oczko; a dziś wieczorem niech on sam opowie ci więcej.





Jakże pięknie było na wsi! Lato było w pełni! Żółciło się żyto, zielenił owies, siano na zielonej łące ułożono w stogi, bocian chodził na długich, czerwonych nogach i paplał po egipsku; nauczył się bowiem tego języka od matki. Wokoło łąk i pól ciągnęły się wielkie lasy, a w lasach leżały głębokie jeziora - tak, na wsi było naprawdę prześlicznie. W blasku słońca, otoczony głębokimi rowami, stał tam stary dwór; od muru aż po brzeg wody rosły liście łopianu, a były tak wielkie, że pod największymi mogły się zmieścić stojąco dzieci; było tam tak dziko jak w najgęstszym lesie. W tym to gąszczu siedziała w swym gnieździe kaczka, wysiadywała pisklęta, nudziła się, bo trwało to bardzo długo, a rzadko kto ją odwiedzał; inne kaczki wołały pływać po kanałach, niż wchodzić pod liście łopianu, aby z nią pogadać.

Aż wreszcie jedno jajko po drugim zaczęło pękać, słychać było: „Pip, pip!”, wszystkie żółtka ożyły i wytknęły główki.

„Kwa, kwa!” mówiła kaczka, a pisklęta hałasowały, jak tylko umiały najgłośniej, i rozglądały się pod zielonymi liśćmi na wszystkie strony; matka pozwalała

im patrzeć, ile tylko chciały, bo zielony kolor jest zdrowy dla oczu.

- Jaki świat jest wielki! - mówiły pisklęta, gdyż było im o wiele luźniej niż przedtem, kiedy leżały w skorupie.

- Czy myślicie, że to jest cały świat? - powiedziała matka. - Świat ciągnie się jeszcze daleko po drugiej stronie ogrodu, aż do księżego pola, ale nigdy tam jeszcze nie byłam. Czy jesteście już wszystkie? - Potem wstała. - Nie, to jeszcze nie wszystkie; największe jajko jeszcze nie pękło. Jak długo to ma trwać? Teraz mam już naprawdę tego dosyć! - i znowu usiadła.

- No, co słyhać? - spytała stara kaczka, która przyszła ją odwiedzić.

- Z jednym najdłużej się ciągnie! - odpowiedziała kaczka siedząc na jajkach. - Wcale nie chce się otworzyć. Ale zobacz te inne. Są to najpiękniejsze kaczęta, jakie kiedykolwiek widziałam. Wszystkie podobne są do ojca: tego nicponia. Zupełnie do mnie nie przychodzi!

- Pokaż mi jajko, które nie chce pęknąć! - powiedziała stara. - Możesz mi wierzyć, że to jest jajko indycze. I mnie już tak nie raz oszukali, i potem miałam wiele kłopotów i trudów z malcami, gdyż bały się wody. Nie mogłam sobie dać rady, popychałam, krzyczałam, ale to nic nie pomagało. Pokaż mi to jajko! Tak, to jest jajko indycze. Porzuć je i ucz inne dzieci pływać!

- Jednak jeszcze trochę na nim posiedzę! - powiedziała kaczka. - Tak długo już siedziałam, że jeszcze mogę parę dni wytrzymać!

- Jak uważasz! - odrzekła stara kaczka i poszła sobie.

Wreszcie duże jajko pękło. „Pip, pip!” - zapiszczało pisklątko i wylazło; było bardzo duże i brzydkie. Kaczka przyjrzała mu się.

- Jakież to kaczątko jest duże - powiedziała. - Niepodobne do żadnego innego. Ale nie jest to chyba pisklę indycze? No, zaraz się o tym przekonamy. Musi wejść do wody, nawet gdybym je miała sama tam wepchnąć!

Nazajutrz była piękna pogoda; słońce oświetlało wielkie liście łopianu. Matka-kaczka wraz z całą rodziną zeszła do kanału. Plusk! Wskoczyła do wody, „Kwa, kwa!” i jedno kaczątko po drugim plusnęło do kanału. Woda zalewała im głowy, ale podniosły je zaraz w górę i pływały wspaniale; nogi same się poruszały, wszystkie były w wodzie, nawet brzydkie, szare kaczątko pływało razem z innymi.

- Nie, to nie jest indyk! - powiedziała: kaczka. - Spójrz tylko, jak ładnie porusza nogami, jak prosto się trzyma. To moje własne dziecko. W gruncie rzeczy, kiedy mu się dobrze przyjrzeć, jest zupełnie ładne. Kwa, kwa! Chodźcie teraz ze mną,

wyprowadzę was w świat, przedstawię was na podwórku, ale trzymajcie się zawsze w pobliżu, aby nikt na was nie nastąpił, i strzeżcie się kota!

Przyszły na podwórko. Był tam straszny hałas, gdyż dwie rodziny pokłóciły się o głowę węgorza, którą w końcu złapał kot.

- Widzicie, jak się to dzieje na tym świecie! - powiedziała matka-kaczka obliżując sobie dziób, gdyż i ona miała ochotę na głowę węgorza.

- Ruszajcie nogami - mówiła - kołyszcie się i ukłońcie się tej starej kaczce, jest najwykwintniejszą ze wszystkich, jakie są tutaj. Ma w sobie hiszpańską krew i dlatego jest taka gruba; widzicie, ma na nodze zawiązany czerwony gałganek. To jest najwyższa odznaka, jaką kaczka może otrzymać, oznacza to, że obawiają się, aby nie zginęła i że ludzie i zwierzęta będą ją mogli odróżnić od innych kaczek. Kołyszcie się! Nogi stawiać nie do środka! Dobrze wychowane kaczątko rozstawia szeroko nogi jak ojciec i matka. Tak, a teraz kiwajcie głowami i powiedzcie: Kwa! Tak też robiły. Ale inne kaczki patrzyły na nie i mówiły głośno:

- Ach, Boże, po cóż nam to towarzystwo? Jakby nas nie było i tak dosyć. Fe, jak wygląda tamto kaczątko! Nie chcemy go tu mieć pomiędzy nami! - I zaraz potem jedna z kaczek podfrunęła i dziobnęła kaczątko w kark.

- Zostaw je w spokoju - powiedziała matka. - Nie robi nikomu nic złego.

- Tak, ale jest takie duże i tak dziwnie wygląda! - powiedziała kaczka, która dziobnęła kaczątko. - I dlatego trzeba je szturchać!

- Ładne masz dzieci, mateczko! - powiedziała kaczka z czerwonym gałgankiem na nodze. - Wszystkie są śliczne prócz tego jednego, które się nie udało. Byłoby dobrze, gdybyś je mogła odmienić!

- To niemożliwe, łaskawa pani! - powiedziała matka-kaczka. - Nie jest wprawdzie ładne, ale ma dobre serduszko i umie świetnie pływać, tak samo jak inne, nawet może trochę lepiej. Przypuszczam, że wyrośnie z brzydoty albo może z wiekiem zmaleje. Za długo leżało w jajku i dlatego nie wygląda tak, jak powinno wyglądać.

Skubnęła je w kark i pogładziła po piórkach.

- To jest zresztą kaczor - dodała - i dlatego uroda nie będzie miała dla niego takiego znaczenia. Myślę, że będzie silny i że jakoś da sobie radę.

- Inne kaczątka są śliczne! - powiedziała stara. - Zachowujcie się tak, jakbyście były u siebie w domu, a jeżeli znajdziecie głowę węgorza, możecie mi ją przynieść.

I kaczęta zachowywały się tak jak u siebie w domu.

Ale zarówno kaczki, jak kury dziobały, potraçały, kopały i wyśmiewały biedne

kaczątka, które ostatnie wykluło się z jajka i było takie brzydkie. - Za duże! - mówili wszyscy, a indyk, który urodził się z ostrogami i wyobrażał sobie z tego powodu, że jest cesarzem, napuszył się jak okręt o wydętych żaglach i zwrócił się w stronę kaczątka gulgocąc tak, że aż mu cała głowa poczerwieniała. Biedne kaczątka nie wiedziało, co ma począć ani dokąd pójść; martwiło się bardzo, że jest takie brzydkie i że jest pośmiewiskiem całego podwórka.

Tak było pierwszego dnia, a potem działo się coraz gorzej i gorzej. Wszyscy prześladowali biedne kaczątka, nawet rodzeństwo było bardzo niedobre dla niego.

- Żeby cię kot porwał, ty wstrętne potworze! - mówiły kaczęta.

A matka dodawała:

- Byłoby lepiej, żebyś sobie poszedł gdzieś daleko!

Kaczki je dziobały, kury szczypały, a dziewczynka, która karmiła drób, kopała je nogami. Wreszcie kaczątka uciekło, przefrunęło przez płot, a małe ptaszki w krzakach uniosły się przerażone w górę. „To dlatego, że jestem takie brzydkie! - pomyślało kaczątka i zamknęło oczy; ale biegło wciąż dalej, aż przyleciało nad wielkie bagno, gdzie mieszkały dzikie kaczki. Siedziało tam całą noc, bo było takie zmęczone i smutne. Rankiem podniosły się do lotu dzikie kaczki i zaczęły się przyglądać nowemu towarzyszowi.

- Coś ty za jeden? - spytały, a kaczątka kręciło się na wszystkie strony i witało wszystkich, jak tylko mogło najgrzeczniej.

- Jesteś strasznie brzydki! - mówiły kaczki. - Ale co to nas obchodzi, dopóki nie będziesz się chciał ożenić z kimś z naszej rodziny.

Biedne kaczątka! Naprawdę nie myślało o małżeństwie, gdyby mu tylko pozwolono leżeć w sitowiu i napić się trochę wody z moczarów!

Leżało tam całe dwa dni; potem przyleciały dwie dzikie gęsi, a raczej gąsiorzy, gdyż były to samce; niedawno wykluły się z jaj i dlatego były takie rezolutne.

- Słuchaj no, towarzyszu - mówiły - jesteś taki brzydki, że cię nawet polubiliśmy. Czy chcesz pociągnąć z nami i zostać wędrownym ptakiem?

Tu w pobliżu, w innym bagnie, przebywa kilka uroczych, zachwycających gęsi, same młode panny, które potrafią mówić „kwa”, może u nich będziesz miał szczęście mimo swej brzydoty.

„Pif, paf!” rozległo się nagle nad nimi i obie dzikie gęsi padły martwe w sitowie, a woda zaczerwieniła się od krwi. „Pif, paf!!”, zabrzmiało znowu i całe stado dzikich gęsi wyleciały z sitowia, a potem znów słychać było strzały. Było to wielkie polowanie; myśliwi leżeli naokoło bagna, niektórzy siedzieli na gałęziach

drzew; błękitny dymek unosił się jak obłoki pomiędzy ciemnymi drzewami i snuł się nad wodą; psy myśliwskie łąziły po błocie: plusk, plusk! Trzcina i sitowie gięły się na wszystkie strony. Jakiż lęk ogarnął biedne kaczątko! Kręciło głową, chcąc ją schować pod skrzydło, ale w tej samej chwili stanął obok niego strasznie wielki pies, z wywieszonym ozorem i błyszczącymi groźnie oczyma, dotknął pyskiem kaczątko, pokazał ostre zęby i - plusk - uciekł nie schwytawszy go. - Ach, dzięki ci, Boże! - westchnęło kaczątko. - Jestem takie brzydkie, że nawet psy nie raczą mnie ugryźć.

I potem leżało zupełnie spokojnie, podczas gdy śrut gwizdał nad sitowiem, a wystrzał grzmiał po wystrzale.

Pod wieczór kaczątko zbliżyło się do ubogiej, małej chatki; była to tak żałosna chatka, że sama nie wiedziała, na którą ma upaść stronę. Trzymała się więc jako tako. Wicher gwizdał nad kaczątkiem, tak że musiało aż przysiąść na ogonie, aby się utrzymać na nogach; dęło coraz silniej i silniej; wtedy ujrzało kaczątko, że drzwi urwały się z jednej zawiasy i wisiały krzywo, tak że łatwo było się przemknąć przez szparę do środka. Brzydkie kaczątko tak też uczyniło. Mieszkała tam stara kobieta z kotem i kwoką; kot, którego nazywała synkiem, umiał wyginać grzbiet i sypać iskry; ale po to trzeba go było głaskać pod włos. Kwoka miała krótkie nóżki i dlatego przezwano ją Krótkonóżką; składała dzielnie jajka i kobieta kochała ją jak własne dziecko.

Rano spostrzeżono obce kaczątko, kot zaczął miauczeć, a kwoka gdakać.

- Co to jest? - powiedziała stara i obejrzała się, ale miała słaby wzrok i dlatego zdawało jej się, że kaczątko jest tłustą kaczką, która się tu zabłąkała. - To dobry nabytek! - powiedziała. - O ile to nie jest kaczor, będę miała kacze jaja. Trzeba wypróbować!

I kaczątko zostało wystawione na trzytygodniową próbę, ale nie zniosło jaj. Kot był panem domu, a kwoka panią i mówili bez przerwy:

„My i świat!” Gdyż myśleli, że byli połową, i to lepszą połową świata. Kaczątko uważało, że można być innego zdania, ale kwoka tego nie znosiła.

- Czy umiesz znosić jaja?

- Nie!

- A więc przynajmniej stul buzię!

A kot powiedział:

- Czy umiesz się nastroszyć, miauczeć i sypać iskry?

- Nie!

- A więc zachowaj swoje zdanie dla siebie, kiedy rozsądni ludzie mówią!



Kaczątka siedziało w kącie i smuciło się. Wtedy myślało o świeżym powietrzu, o słońcu i poczuło gwałtowną chęć pływania po wodzie. Aż wreszcie nie mogło się powstrzymać, aby nie powiedzieć tego kwoce.

- Co ci przyszło do głowy? Nie masz nic do roboty i dlatego kaprysisz. Składaj jaja albo mrucz, to ci przejdzie.

- Ale pływać jest tak przyjemnie! - powiedziało kaczątka. - Tak rozkosznie jest zanurzyć się głową w wodzie i znaleźć się nagle na dnie!

- To ci dopiero przyjemność! - powiedziała kwoka. - Chyba oszalałeś? Spytaj kota, który jest najmądrzejszym stworzeniem, jakie znam, czy chciałby pływać w wodzie i dawać nurka. O mnie już wcale nie mówię. Spytaj naszą starą panią; mądrzejszej od niej nie ma chyba na całym świecie. Czy myślisz, że chciałaby pływać i dawać nurka?

- Nie rozumiecie mnie! - powiedziało kaczątka.

- No, jeżeli my cię nie rozumiemy, to kto cię zrozumie? Nigdy nie będziesz mądrzejszy od kota i od tej kobiety, o mnie już wcale nie mówię. Nie upieraj się tak, moje dziecko, i dziękuj Bogu za wszystko dobre, co dla ciebie uczyniono. Czyż nie dostałeś się do ciepłego pokoju? Czyż nie obracasz się wśród istot, od których możesz się czegoś nauczyć? Ale jesteś nieznośny i rozmowa z tobą nie jest przyjemnością. Możesz mi wierzyć, że ci dobrze życzę, mówiąc ci przykre rzeczy, a po tym właśnie poznaje się prawdziwych przyjaciół. Staraj się lepiej składać jajka i naucz się miauczeć lub sypać iskry.

- Myślę, że pójde sobie w świat! - powiedziało kaczątka.

- No to idź! - odrzekła kwoka.

I kaczątka poszło. Pływało po wodzie, nurkowało, ale nikt nie zwracał na nie uwagi, bo było takie brzydkie.

Nadeszła jesień, liście w lesie pożółkły i stały się brązowe, wiatr pędził je tak, że tańczyły w powietrzu; a powietrze było zimne; chmury zwisały brzemienne gradem i śniegiem, a na płocie siedział kruk i wołał „kra, kra!” z zimna. Już na samą myśl o tym można było porządnie zmarznąć. Biedne kaczątka bynajmniej nie czuło się dobrze.

Pewnego wieczoru słońce pięknie zaszło, a z krzaków wyfrunęła cała chmara cudnych, wielkich ptaków; kaczątka nigdy jeszcze nie widziało takich pięknych ptaków, były oślepiająco białe i miały długie, giętkie szyje; były to łabędzie. Wydawały dziwne dźwięki, rozpostarły wspaniałe, długie skrzydła i odleciały z zimnych okolic do ciepłych krajów, do otwartych mórz; wznosiły się tak wysoko, wysoko, że biednemu kaczątka zrobiło się jakoś dziwnie, kręciło się w wodzie,

wyciągało do nich szyję wysoko w powietrzu i w końcu wydało głośny i dziwny dźwięk, którego samo się przestraszyło. Ach, nie mogło zapomnieć o pięknych ptakach, o szczęśliwych ptakach i kiedy zniknęły mu one z oczu, zanurzyło się w wodzie, aż na dno, a gdy wypłynęło, było jak nieprzytomne. Nie wiedziało wcale, jak się te ptaki nazywają ani dokąd lecą, a jednak kochało je, jak nikogo nigdy nie kochało; nie zazdrościło im wcale, jakżeż mogłoby marzyć, aby być tak piękne jak one; gdyby bodaj kaczki chciały je ścierpieć w swoim towarzystwie - biedne, brzydkie stworzonko!

A zima była taka mroźna, mroźna! Kaczątko musiało kręcić się wciąż po wodzie, aby ją chronić od zamarznięcia, ale co noc otwór, w którym pływało, stawał się węższy, zamarzał, że aż trzeszczała lodowa powłoka; kaczątko musiało przebierać nogami, aby woda nie stanęła, aż w końcu zmęczyło się, znieruchomiło i przymarzło do lodu.

Wczesnym rankiem przyszedł jakiś wieśniak; zobaczył kaczątko, porozbijał drewniakami lód na kawałki i zabrał je do domu, do swojej żony. Tam je ocuciono.

Dzieci chciały się z nim bawić, ale kaczątko myślało, że chcą mu zrobić coś złego, i ze strachu wpadło do miski z mlekiem, tak, że mleko rozlało się po izbie, kobieta krzyknęła, załamała rękę, a kaczątko pofrunęło do dzieży z masłem, a potem do beczki z mąką, z której zaraz wyleciało; jakżeż strasznie wyglądało! Kobieta krzyczała i biegała za nim z pogrzebaczem, a dzieci goniły je, potrącały się i krzyczały - na szczęście drzwi były otwarte i kaczątko wyfrunęło między krzaki i świeżo spadły śnieg - leżało tam ledwo żywe.

Ale byłoby to zbyt smutne opisywać wszystko, co wycierpiało biedne kaczątko w czasie ostrej zimy. Kiedy słońce zaczęło na nowo grzać, leżało w bagnie pomiędzy sitowiem; skowronki, śpiewały, była cudna wiosna.

Nagle rozwinęło do lotu skrzydła, które szumiały silniej niż przedtem i niosły je mocniej niż dawniej, i zanim się obejrzało, znalazło się w dużym ogrodzie, gdzie kwitły jabłonie, gdzie kiście bzu pachniały i zwieszały się na długich, zielonych gałęziach ku wodnej powierzchni krętych kanałów. Ach, jakże tu było pięknie, jak świeżo, wiosennie! W tej samej chwili ujrzano trzy cudne białe łabędzie; zerwały się z zarośli i z szumem skrzydeł lekko popłynęły po wodzie. Kaczątko znało już te piękne stworzenia i na ich widok poczuło dziwny smutek.

„Chcę popłynąć do nich, do tych królewskich ptaków! Na pewno mnie zadziobią na śmierć, gdy ja, taki brzydki, odważę się do nich zbliżyć; ale nic mnie to nie obchodzi. Wolę, żeby mnie zabiły te ptaki, niż żeby mnie szczypały kaczki,

dziobały kury i kopała dziewczyna karmiąca ptactwo i żebym cierpiał w zimie.” Sfrunęło na wodę i zaczęło płynąć ku wspaniałym łabędziom; zobaczyły je i szumiąc skrzydłami, popłynęły mu naprzeciw. - Zabijcie mnie! - zawołało biedne stworzenie i pochyliło głowę czekając na śmierć, ale cóż ujrzało w przezroczystej wodzie? Swoją własny obraz, lecz jakże zmieniony! Nie był już niezgrabnym, czarnoszarym, brzydkim, odrażającym ptakiem, ale sam stał się łabędziem.

Nie zaszkodziło to nic łabędziowi, że urodził się na podwórzu wśród kaczek, skoro wykluł się z łabędziego jaja.

Jakże czuł się szczęśliwy po tych wszystkich cierpieniach i przeciwnościach losu, dopiero teraz potrafił ocenić swoje szczęście. A duże łabędzie pływały naokoło niego i gładziły go dziobami.

Do ogrodu przyszło kilkoro małych dzieci, które rzucały chleb i ziarenka do wody, najmniejsze z nich zawołało:

- Przybył nowy łabędź! - a inne dzieci wołały razem z nim: - Tak, zjawił się nowy! - i klaskały w ręce, i kręciły się w kółko, a potem pobiegły do swych rodziców i razem rzucały do wody chleb i ciastka, a wszyscy wołali:

- Ten nowy jest najładniejszy! Taki młody i piękny - A stare łabędzie pochyliły przed nim głowy.

Wtedy ptak poczuł się zmieszany z radości: schował głowę pod skrzydła i sam nie wiedział, co się z nim dzieje; był zbyt szczęśliwy, ale wcale nie dumny, gdyż dobre serce nie bywa nigdy pyszne; myślał o tym, jak go prześladowano i wyszydzano, i słuchał, jak wszyscy teraz mówili, że jest najpiękniejszym ze wszystkich pięknych ptaków. Bzy pochylały swe gałęzie nad powierzchnią wody, a słońce grzało mocno i rozkosznie; wtedy zaszumiały skrzydła młodego łabędzia, podniosła się smukła jego szyja i zawołał z głębi serca:

- Nawet nie marzyłem o takim szczęściu wówczas, kiedy byłem tylko brzydkim kaczątkiem.



jms.

# K R Ó L O W A Ś N I E G U

## Baśń w siedmiu opowiadaniach



### OPOWIADANIE PIERWSZE

W którym jest mowa o lustrze i okruchach

Posłuchajcie! Zaczynamy. Kiedy bajka się skończy, będziemy wiedzieli więcej, niż wiemy teraz, bo to był zły czarownik! Jeden z najgorszych, sam diabeł. Pewnego dnia wpadł w świetny humor, zrobił bowiem lustro, które posiadało tę właściwość, że wszystko dobre i ładne, co się w nim odbijało, rozpływało się na nic, a to, co nie miało żadnej wartości i było brzydkie, występowało wyraźnie i stało się jeszcze brzydsze. Najpiękniejsze krajobrazy wyglądały w tym lustrze jak gotowany szpinak, najlepsi ludzie byli szkaradni albo stali na głowach bez tułowia. Twarze w tym lustrze były tak wykrzywione, że nie można ich było rozpoznać; ten, kto miał piegi, mógł być pewien, że pokryją mu cały nos i policzki.

Diabeł zaś uważał, że to było ogromnie zabawne. Skoro tylko przez głowę człowieka przeleciała jakaś zacna, dobra myśl, już twarz w lustrze wykrzywiała się, a diabeł-czarownik śmiał się ze swego sprytnego wynalazku. Wszyscy, którzy chodzili do szkoły diabła, gdyż założył czarcią szkołę, opowiadali na prawo i lewo, że stał się cud; uważali, że dopiero teraz będzie można dowiedzieć się, jak

naprawdę wygląda świat i ludzie. Biegali wszędzie z lustrem i w końcu nie było ani jednego człowieka, ani jednego kraju, który by nie został w nim opacznie odbity. Przyszło im do głowy, by polecieć do nieba i zabawić się kosztem aniołów i Pana Boga. Im wyżej lecieli z lustrem, tym bardziej wszystko się wykrzywiało, zaledwie mogli je utrzymać, lecieli wyżej i wyżej, coraz bliżej aniołów i Boga; wtedy lustro zadrżało tak strasznie, że wypadło im z rąk na ziemię, gdzie rozprysło się na tysiące milionów, bilionów i jeszcze więcej okruchów. Teraz dopiero wyrządzili o wiele większą krzywdę niż przedtem, gdyż niektóre kawałki były mniejsze od ziarnka piasku i pofrunęły daleko w świat; gdy wpadły komuś do oka, tkwiły w nim, i wtedy człowiek ten widział wszystko na odwrót albo spostrzegał tylko to, co było w danym przedmiocie złe, gdyż każdy odłamek lustra miał tę właściwość co całe lustro; byli ludzie, którym taki odłamek wpadł do serca, i wtedy działo się coś okropnego: serce stawało się jak kawałek lodu. Niektóre kawałki szkła były takie duże, że zrobiono z nich szyby okienne, ale nie warto było patrzeć przez nie na przyjaciół; inne kawałki dostały się do okularów i źle się działo, kiedy ludzie nakładali te okulary, aby dobrze widzieć i dobrze sądzić; a Zły śmiał się, aż mu się brzuch trząsał, i to go przyjemnie łaskotało.

A w powietrzu unosiły się wciąż maleńkie okruchy lustra. I słuchajcie, co się stało!

## OPOWIADANIE DRUGIE

### Chłopczyk i dziewczynka

Pośród wielkiego miasta, gdzie jest tyle domów i tyle ludzi, że nie ma dość miejsca, aby każdy miał swój mały ogródek, i dlatego większości ludzi musi wystarczyć doniczka z kwiatami, mieszkało dwoje biednych dzieci, które miały jednak ogród trochę większy niż doniczka. Nie byli bratem i siostrą, ale kochali się jak rodzeństwo. Ich rodzice mieszkali w dwóch domach, przedzielonych wąską uliczką, w dwóch izdebkach na poddaszu; dachy domów stykały się prawie ze sobą; tuż obok rynny w każdym domu widniało małe okienko, wystarczyło tylko przeskoczyć przez rynnę i już można było przejść z jednego okna do drugiego.

Rodzice mieli przed oknem drewnianą skrzynkę, w której sadzili pożyteczne warzywa i małe różane krzewy. Raz wpadło rodzicom na myśl, żeby postawić skrzynki w poprzek rynny, tak że sięgały prawie od jednego okna do drugiego i wyglądały jak dwie grządki. Pędy grochu zwieszały się ze skrzynek, a różane

krzewy wypuszczały długie gałązki, wiły się dookoła okien i pochylały ku sobie; wyglądało to prawie jak brama triumfalna, pełna zieleni i kwiatów. Ponieważ skrzynki były bardzo wysoko, a nie wolno tam było się wdrapywać dzieciom, pozwolono im często wychodzić do siebie i siedzieć na małych stołeczkach pod różami; bawiły się tam świetnie.

W zimie kończyła się ta przyjemność, okna były często zupełnie zamrożone; ale wtedy dzieci ogrzewały przy piecu miedziaki i przykładają je do zamrożonych szyb, tak że robiła się świetna dziurka do patrzenia, taka okrągła, okrągła; przez tę dziurkę patrzyło kochane, miłe oko, przy każdym oknie jedno; byli to chłopczyk i dziewczynka. Chłopczyk nazywał się Kay, a dziewczynka Gerda. W lecie wystarczył jeden krok, i już byli razem, ale w zimie musieli wchodzić na tyle schodów i schodzić z tyłu schodów, a na dworze padał śnieg.

- To roje białych pszczół! - powiedziała stara babka.

- Czy mają także królową? - spytał chłopczyk, bo wiedział, że prawdziwe pszczoły mają królową.

- Naturalnie, że mają! - powiedziała babka. - Fruwa tam, gdzie się najęściej roją. Jest większa od innych i nigdy nie odpoczywa na ziemi, odlatuje z powrotem w czarne chmury. Czasami w zimowe noce przelatuje przez ulice miasta i zagląda do wszystkich okien, a wtedy okna te zamarzają tak dziwnie, jak gdyby się pokrywały kwiatami.

- Tak, tośmy widzieli! - wołały dzieci i teraz uwierzyły, że to była prawda.

- Czy Królowa Śniegu może tutaj przyjść? - spytała mała dziewczynka.

- Niech tylko spróbuje! - powiedział chłopiec. - Wtedy posadzę ją na gorącym piecu i roztopi się.

Ale babka pogłodziła go po głowie i zaczęła opowiadać inne bajki. Wieczorem, kiedy mały Kay kładł się już spać, wdrapał się na krzesło przy oknie i spojrział przez małą dziurkę; właśnie spadło parę płatków śniegu i jeden z nich, największy, zawisł na brzegu skrzynki z kwiatami; rósł coraz bardziej i bardziej i w końcu przemienił się w kobietę ubraną w najdelikatniejszą białą gazę, utkaną jakby z miliona gwiazdzistych płatków. Była piękna i zgrabna, ale cała z lodu, z olśniewającego, błyszczącego lodu, a jednak żyła: oczy patrzyły jak dwie jasne gwiazdy, ale nie było w nich spokoju ani wytchnienia. Skłoniła się do okna i skinęła ręką. Chłopczyk przestraszył się i zeskoczył z krzesła; a wtedy zdawało mu się, że wielki ptak przeleciał obok okna.

Następnego dnia był silny mróz, a potem zrobiła się odwilż, a potem przyszła

wiosna, słońce świeciło, ukazała się zieleń, jaskółki budowały gniazda, otworzono okna i dzieci siedziały znowu w swoim ogródku przy rynnie, wysoko ponad wszystkimi piętrami.

Tego lata róże kwitły niezwykle obficie; dziewczynka nauczyła się psalmu, w którym była mowa także i o różach, i wtedy pomyślała o swoich własnych kwiatkach; zaśpiewała ten psalm chłopczykowi, a on nucił razem z nią:

*Róża przekwitła i mienie,  
Pójdź, pokłońmy się dziecinie.*

Dzieci trzymały się za ręce, całowały róże, patrzyły w jasne słońce i mówiły do słońca jak do Dzieciątka Jezus. Cóż to były za cudne, letnie dni, jakże przyjemnie było siedzieć pomiędzy świeżymi krzewami róż, które, zdawało się, nigdy nie przestaną kwitnąć!

Kay i Gerda siedzieli i oglądali książkę z obrazkami, w której były malowane zwierzęta i ptaki. Wtem, gdy zegar na wielkiej wieży kościelnej wybił właśnie piątą, Kay zawołał:

- Coś mnie ukłuło w serce! O, a teraz coś mi wpadło do oka! Dziewczynka objęła go za szyję, chłopczyk mrugał oczami: nie, nic nie było widać!

- Pewnie już wyleciało! - powiedział, ale nie wyleciało. Był to właśnie jeden z tych odłamków szkła, na które rozpadło się lustro, czarodziejskie lustro, wiemy przecież, to wstrętne lustro, które wszystko, co wielkie i ładne, odbijało jako małe i brzydkie, podczas gdy to, co było brzydkie i złe, występowało wyraźnie i każdą wadę można było od razu zauważyć. Biedny Kay! Do jego serca wpadł także taki odłamek. Za chwilę to serce przemieni się w grudkę lodu. Teraz już przestało boleć, ale odłamek tkwił jeszcze w sercu.

- Dlaczego płaczesz? - spytał. - Tak brzydko wyglądasz! Nic mi przecież nie jest! Fe! - zawołał nagle. - Tę różę toczy robak! A patrz, tamta jest zupełnie krzywa. Właściwie te róże są brzydkie. Tak samo jak te skrzynie, w których stoją!

- Kopnął nogą skrzynię i zerwał obie róże.

- Kay, co ty robisz? - zawołała dziewczynka, a on, widząc jej przerażenie, zerwał jeszcze jedną różę i pobiegł do swego okna zostawiając małą, milutką Gerde samą.

Kiedy potem przyszła do niego z książką z obrazkami, powiedział, że to dobre dla niemowląt; a kiedy babka opowiadała bajki, miał im zawsze coś do zarzucenia albo stawał za babką, kładł okulary i przedrzeźniał ją; a udawało mu się to tak dobrze, że ludzie śmiali się z tego. Wkrótce nauczył się naśladować mowę i chód wszystkich ludzi na całej ulicy. Potrafił pokazywać wszystko, co w nich było



niezwykłego i brzydkiego, a ludzie mówili: „Ten chłopiec jest bardzo zdolny!” Ale sprawiło to szkło,

które mu wpadło do oka, szkło tkwiące w jego sercu, i dlatego dokuczał nawet małej Gerdzie, która była do niego przywiązana całą duszą.

Jego zabawy zmieniły się teraz całkowicie; stały się takie mądre. Pewnego zimowego dnia, kiedy prószył śnieg, przyniósł sobie wielkie powiększające szkło, rozpostarł połowę swego granatowego płaszczyka i zgarnął na nią płatki śniegu.

- Spójrz no w szkło, Gerda! - powiedział. Każdy płatek śniegu powiększał się w szkłe i wyglądał jak piękny kwiat lub sześciokątna gwiazda; był to wspaniały widok.

- Widzisz, jakie to artystyczne! - mówił Kay - to o wiele ciekawsze od prawdziwych kwiatów! Te kwiaty nie mają żadnych wad, są doskonałe, o ile tylko się nie roztopią.

Po chwili zjawił się z wielkimi rękawicami i małymi saneczkami na plecach; krzyknął Gerdzie w samo ucho:

- Idę na wielki plac, gdzie inni chłopcy się bawią - i poszedł. Na placu najśmielsi chłopcy przywiązywali często swoje saneczki do chłopskiego wozu i jechali w ten sposób spory kawał drogi. Było to bardzo wesołe. Kiedy się w najlepsze bawili, nadjechały jakieś wielkie sanie; były pomalowane całe na biało, a w środku siedział ktoś otulony w białe futro i w białej, futrzanej czapce; sanie objechały plac dwa razy dookoła. Kay przywiązał do nich szybko swoje saneczki i jechał za dużymi saniami; jechali coraz prędzej i prędzej, prosto przed siebie w najbliższą ulicę; osoba, która siedziała w saniach, odwróciła się, kiwnęła przyjaźnie do Kaya głową, zupełnie tak, jakby się znali od dawna; za każdym razem, kiedy Kay chciał odwiązać swoje saneczki, osoba znowu do niego kiwała i Kay zostawał; wyjechali za bramę miasta, wtedy śnieg zaczął tak sypać, że chłopiec, jadąc dalej, nie widział nawet ręki, którą trzymał przed oczami; puścił prędko sznur od saneczek, by się uwolnić od wielkich sań, ale to nie pomogło, jego małe saneczki przywiązane były mocno i jak wiatr pędziły naprzód. Wtedy zaczął głośno wołać, ale nikt go nie słyszał, śnieg padał, saneczki mknęły szybko; od czasu do czasu podskakiwały, tak jakby jechały przez rowy i płoty. Kay był bardzo przestraszony, chciał zmówić Ojciec nasz, ale mógł sobie przypomnieć tylko tabliczkę mnożenia.

Płatki śniegu stawały się coraz większe i większe i w końcu wyglądały jak duże białe kury; nagle odskoczyły na bok, wielkie sanie zatrzymały się i osoba, która w nich jechała, wyprostowała się, jej futro i czapka były całe ze śniegu a ona

sama była damą smukłą i wysoką, jaśniejącą bielą - Królowa Śniegu!

- Zrobiliśmy ładny kawał drogi - powiedziała - ale po co marznąć? Otul się moim niedźwiedzim futrem.

- Posadziła go obok siebie w saniach i otuliła go futrem; było mu tak, jakby pogrążył się w śnieżnej zaspie.

- Czy zimno ci jeszcze? - spytała i pocałowała go w czoło. Pocałunek był zimniejszy od lodu, dotarł prosto do serca, które już i tak na pół zlodowaciało; było mu tak, jak gdyby miał umrzeć; ale tylko przez chwilę, potem zrobiło mu się dobrze; nie czuł już zimna.

- Moje saneczki! Nie zapomnij o moich saneczkach! - o tym pomyślał przede wszystkim; saneczki przywiązano do jednej z białych kur, która pofrunęła niosąc je na grzbiecie. Królowa Śniegu pocałowała Kaya jeszcze raz, i wtedy zapomniał o małej Gerdzie, o babce i o wszystkich w domu.

- Teraz już cię więcej nie pocałuję! - powiedziała - bo zacałowałabym cię na śmierć!

Kay spojrział na nią; była bardzo ładna; nie mógł sobie wyobrazić mądrzejszej i piękniejszej twarzy; teraz nie wydawała mu się już z lodu jak przedtem, kiedy ją widział za oknem, gdy kiwała do niego; w jego oczach była doskonałością, nie bał się wcale, opowiedział jej, że potrafi rachować z pamięci i nawet z ułamkami, że wie, ile kwadratowych mil liczy kraj i ile ma kraj mieszkańców; a ona uśmiechała się bez przerwy; wtedy pomyślał sobie, że wie jeszcze za mało, i spojrział w wielką, wielką przestrzeń, a ona leciała z nim wysoko ponad czarnymi chmurami, wicher szumiał i wył, tak jakby śpiewał stare pieśni. Lecieli ponad lasem i jeziorami, nad morzem i lądem; daleko pod nimi gwizdał zimny wiatr, wyły wilki, śnieg iskrzył się, wyżej leciały czarne, kraczące wrony, a nad wszystkim wysoko w górze księżyc świecił jasno i Kay patrzył nań przez całą długą zimową noc; w dzień zaś spał u stóp Królowej Śniegu.



## OPOWIADANIE TRZECIE

### Kwietny ogród kobiety, która umiała czarować

Ale co się działo z małą Gerdą, gdy Kay nie wracał? Co się z nim stało? Nikt nie wiedział. Nikt nie umiał tego wyjaśnić. Chłopcy opowiedzieli tylko, że widzieli jak przywiązał swoje saneczki do dużych, wspaniałych sań, które pojechały ulicą i wyjechały za bramę miasta. Nikt nie wiedział, gdzie Kay się podział. Popłynęło wiele łez, mała Gerda płakała gorąco i długo. Potem powiedziano, że umarł, że utonął w rzece, która przepływała tuż obok miasta; o, cóż to były za długie, ciemne zimowe dni. Aż wreszcie przyszła wiosna i ciepłe promienie słońca.

- Kay umarł i nie ma go! - powiedziała mała Gerda.

- Nie wierzę temu - odrzekł słoneczny promień.

- Umarł i nie ma go - powiedziała Gerda do jaskółek.

- Nie wierzymy temu - odrzekły ptaki. I w końcu mała Gerda sama przestała w to wierzyć.

- Włożę moje nowe, czerwone buciki - powiedziała jednego ranka. - Kay nie widział ich jeszcze; pójdę do rzeki i spytam o niego. Był bardzo wczesny ranek; pocałowała starą babkę, która jeszcze spała, włożyła czerwone buciki i poszła zupełnie sama za bramę miasta, aż na brzeg rzeki.

- Czy to prawda, że zabrałaś mi mojego małego towarzysza zabaw? Podaruję ci moje czerwone trzewiki, o ile mi go oddasz!

I wydawało jej się, że fale patrzyły na nią tak dziwnie, wtedy zdjęła swoje czerwone trzewiki, to, co miała najmilszego, i rzuciła je do rzeki; ale upadły tuż obok brzegu i fale zniosły je z powrotem na ląd tak, jak gdyby rzeka nie mogąc zwrócić Gerdzie Kaya nie chciała jej zabrać tego, co najbardziej lubiła; dziewczynce zdawało się, że za blisko brzegu rzuciła trzewiki, więc weszła do łódki, która stała w sitowiu, poszła na najdalszy jej koniec i wrzuciła raz jeszcze trzewiki do wody, ale łódka nie była mocno przywiązana i na skutek ruchów dziewczynki zakołysała się i odbiła od brzegu. Gerda spostrzegła to i chciała szybko wysiąść, ale nie zdążyła, łódka oddaliła się od brzegu i popłynęła szybko naprzód. Wtedy mała Gerda przestraszyła się bardzo i zaczęła płakać, ale nikt jej nie słyszał prócz wróbli, a te nie mogły jej zanieść na ląd, leciały tylko wzdłuż brzegu i ćwierkały tak, jakby ją chciały pocieszyć: „Oto jesteśmy my.” Łódka gnała z prądem; mała Gerda siedziała zupełnie spokojnie w pończoszkach, czerwone trzewiki płynęły za nią, ale nie mogły dogonić łódki, którą prąd szybko unosił.

Na obu brzegach było ślicznie, rosły tam piękne kwiaty, stare drzewa i ciągnęły się zbocza, na których pasły się owce i krowy, ale nigdzie nie było widać człowieka.

„Może rzeka zanieś mnie do małego Kaya” - myślała Gerda i ta myśl ją pocieszyła, wyprostowała się i przez długie godziny patrzyła na zielony brzeg; potem przy płynęła do dużego wiśniowego sadu, wśród którego widać było mały domek z dziwnymi, czerwonymi i niebieskimi oknami i słomianym dachem; przed domkiem stało dwóch drewnianych żołnierzy, prezentujących broń przed każdym, kto przepływał obok.

Gerda zawołała do nich; myślała, że są żywi, ale oni rozumie się, nic nie odpowiedzieli; podpłynęła do nich zupełnie blisko, prąd rzeki zaniósł łódkę do samego brzegu.

Gerda krzyknęła jeszcze głośniej, wtedy z domku wyszła stara, stara kobieta, opierająca się na zakrzywionym kosturze; miała duży kapelusz, pomalowany w najpiękniejsze kwiaty.

- Biedna dziecino! - powiedziała staruszka. - Jakże się dostałaś na tę dużą, bystrą rzekę, w tak daleki świat? - I potem staruszka weszła aż do wody, zaczepiła kostur o łódkę, przyciągnęła ją na brzeg i wyniosła z niej małą Gerdę.

A Gerda była zadowolona, że jest znowu na lądzie, tylko że bała się trochę tej obcej, starej kobiety.

- Chodź, opowiedz mi, kim jesteś i jak się tu dostałaś! - powiedziała kobieta.

I Gerda opowiedziała jej wszystko; a staruszka kręciła głową i mówiła: „Hm! Hm!” A kiedy Gerda skończyła opowiadać i spytała ją, czy nie widziała małego Kaya, kobieta odparła, że nie przechodził jeszcze tędy, ale że na pewno przyjdzie. Gerda nie powinna się smucić, tylko skosztować jej wisienek i obejrzeć jej kwiaty, są piękniejsze od wszystkich ksiązek z obrazkami, każdy z nich potrafi opowiedzieć bajkę. Wzięła Gerdę za rękę i poszły do małego domku, a staruszka zamknęła drzwi.

Okna były wysoko, w górze, a szyby miały czerwone, niebieskie i żółte; światło dzienne przeświecało przez te szyby tak cudnie i mieniło się wszystkimi barwami, a na stole stały najpiękniejsze wiśnie i Gerda jadła tyle, ile chciała, bo jej było wolno. Podczas gdy jadła, staruszka czesała jej włosy złotym grzebieniem i włosy kręciły się w pierścieniu, otaczając złotą aureolą małą, miłą twarzyczkę, okrągłą i świeżą jak róża.

- Już od dawna tęskniłam do takiej uroczej, małej dziewczynki! - powiedziała staruszka. - Zobaczysz, jak nam będzie dobrze razem!

- I podczas gdy czesała włosy małej Gerdy, dziewczynka zapominała coraz bardziej o swoim przybranym braciszku; bo staruszka umiała czarować, ale nie była złą czarownicą, czarowała tylko troszeczkę, dla własnej przyjemności; i tak bardzo chciała zatrzymać małą Gerdę. Dlatego poszła do ogrodu i dotknęła kijem wszystkich różanych krzewów; nawet tych, które najpiękniej kwitły, a one zapadły się głęboko w czarną ziemię i nikt nie mógł się domyślić, że tu rosły. Staruszka bała się, że kiedy Gerda zobaczy róże, pomyśli o swoich różach, a wtedy przypomni sobie małego Kaya i ucieknie od niej. Potem zaprowadziła Gerdę do ogrodu. Jakżeż tam pachniało i jak tam było pięknie! Wszystkie kwiaty, jakie tylko rosną o każdej porze roku, rozkwitały tu wspaniale; żadna książka z obrazkami nie mogła być barwniejsza i piękniejsza. Gerda skakała z radości i bawiła się, dopóki słońce nie zaszło pomiędzy wysokimi wiśniami, potem ułożyła się w ślicznym łóżku z czerwonymi, jedwabnymi poduszkami, haftowanymi w fiołki, zasnęła i śniła jak królowa w dniu wesela.

Następnego dnia mogła znowu bawić się kwiatami w ciepłych promieniach słońca; tak przeszło wiele dni.

Gerda знаła każdy kwiat, ale chociaż tyle ich było, jednak wydawało jej się, że jednego brak, nie wiedziała tylko jakiego. Pewnego dnia siedziała i oglądała kapelusz staruszki z wymalowanymi kwiatami. Najpiękniejszym z nich była róża. Staruszka zapomniała usunąć ją z kapelusza, podczas gdy inne żywe róże zagrzebała w ziemi. Tak zwykle bywa, gdy się jest roztargnionym.

- Co? - zawołała Gerda - czyż tu nie ma wcale róż?

I skoczyła pomiędzy grządki; szukała, szukała, ale róży nie znalazła, więc usiadła i rozplakała się; jej gorące łzy upadły właśnie na to miejsce, gdzie zakopane było różane drzewko, i kiedy łzy zrosiły ziemię, drzewko wystrzeliło kwitnące tak samo jak wówczas, gdy zapadło się w ziemię; Gerda objęła je, całowała róże i potem przypomniała sobie piękne róże w domu, a wraz z nimi i małego Kaya.

- Ach, jakżeż się tu zasiedziałam! - powiedziała dziewczynka. - Chciałam przecież szukać Kaya. Czy nie wiecie, gdzie on jest? - spytała róż. - Czy myślicie, że umarł i że go już nie ma?

- Nie umarł! - odpowiedziały róże. - Byłyśmy przecież w ziemi, tam są wszyscy umarli, ale Kaya nie było!

- Dziękuję wam bardzo! - powiedziała mała Gerda i poszła do innych kwiatów, zajrzała w ich kielichy i spytała: - Czy nie wiecie, gdzie jest mały Kay? Ale kwiaty stały sobie w słońcu i każdy z nich śnił swoją baśń lub historię, mała Gerda wysłuchiwała ich dużo, ale w żadnej z nich nie było mowy o Kayu. Co opowiedziała

płomienna lilia?

- Czy słyszysz bęben: bum, bum! Tylko dwa tony, zawsze bum, bum! Słuchaj żałobnej pieśni kobiety, słuchaj wołania kapłana. Żona Hindusa stoi w długiej czerwonej szacie na stosie, płomienie obejmują ją i jej umarłego męża; ale żona Hindusa myśli o żywym tu w orszaku, o nim, którego oczy goręcej palą niż płomień, o tym, którego żar oczu bardziej dosięga jej serca niż płomienie, co wkrótce spali jej ciało na popiół. Czyż płomień serca może umrzeć w płomieniach na stosie?

- Nie rozumiem tego wcale! - powiedziała mała Gerda.

- To moja baśń! - odrzekła płomienna lilia. Co opowiedział powój?

- Nad wąską, górską ścieżką wznosi się stary zamek. Gęsty bluszcz obrasta czerwone mury, liść przy liściu oplata balkon; stoi tam śliczna dziewczyna, wychyla się poza sztachety i patrzy na drogę. Róża, zwieszająca się z gałęzi, nie jest od niej świeższa. Kwiat jabłoni, strząśnięty przez wiatr z drzewa, nie jest tak lekki jak ona; jakże szumi jej wspaniała, jedwabna szata! Czyż on nie przyjdzie?

- Czy myślisz o Kayu? - spytała mała Gerda.

- Opowiadam tylko moją baśń, mój sen! - odrzekł powój. Co opowiedział mały pierwiosnek?

- Pomiedzy drzewami wisi na sznurach długa deska; to huśtawka; dwie śliczne, małe dziewczynki, w sukniach białych jak śnieg i długich, powiewających, zielonych wstążkach przy kapeluszach, siedzą i bujają się; brat jest starszy od nich, stoi wyprostowany na huśtawce, ramię owinał sobie sznurem, aby się utrzymać, bo w jednej ręce trzyma małą miseczkę, a w drugiej białą rurkę i puszcza bańki mydlane, huśtawka się buja, bańki mydlane lecą, ostatnia o cudnych tęczowych barwach wisi jeszcze na rurce i kołysze się na wietrze; huśtawka buja się; mały czarny piesek, lekki jak mydlana bańka, podnosi się na tylne łapki i chce wejść na huśtawkę; huśtawka wznosi się, pies upada, szczeka i złości się; drażnią go rozpryskujące się bańki, kołysząca się deska, piana - oto moja pieśń!

- Może to jest ładne, co opowiadasz, ale mówisz to tak smutno i nie wspominasz wcale o Kayu! Co mówią hiacynty?

- Pewnego razu były trzy siostry, przezroczyście i delikatne; jedna miała suknię czerwoną, druga niebieską, a trzecia - białą! tańczyły, trzymając się za ręce, nad jeziorem przy blasku księżyca. Nie były to elfy, ale dzieci. Pachniało tak słodko i dziewczynki zniknęły w lesie - zapach stawał się coraz silniejszy - trzy trumny, w których leżały trzy piękne dziewczynki, wysunęły się z gęstwiny na brzeg je-

ziora; świętojańskie robaczki krążyły, błyszcząc jak małe, kołyszące się światełka. Czy te tańczące dziewczynki zasnęły, czy też umarły? Zapach kwiatów mówi, że nie żyją; wieczorny dzwon wydzwania im pogrzebowy śpiew!

- Strasznie mnie zasmucacie! - powiedziała mała Gerda. - Pachniecie tak mocno, że muszę myśleć o umarłych dziewczynkach: ach, czy naprawdę mały Kay nie żyje? Róże były pod ziemią i mówiły, że go tam nie ma!

- Bim, barn! - dzwoniły dzwoneczki hiacyntów. - Nie dzwonimy dla małego Kaya, nie znamy go przecież. Śpiewamy tylko naszą piosenkę, jedyną, jaką znamy! Gerda podeszła do kaczęcia, który świecił wśród zielonych, błyszczących liści.

- Jesteś małym, jasnym słoneczkiem - rzekła Gerda. - Powiedz mi, czy wiesz, gdzie mogłabym znaleźć mego towarzysza zabaw?

A kaczeciec błyszczał tak ładnie i także patrzył na Gerdę. A potem zaśpiewał swoją pieśń. Ale i ta pieśń nie była o Kayu.

- W małym podwórku pierwszego dnia wiosny świeciło gorąco kochane słońce; promienie ześlizgiwały się po białym murze sąsiedniego domu, tuż obok rosły pierwsze żółte kwiaty, połyskujące jak złoto w blasku ciepłego słońca, stara babka siedziała na dworze w fotelu, wnuczka, uboga śliczna dziewczynka, przyszła do domu, pocałowała babkę. W jej serdecznym pocałunku było złoto, szczere złoto. „Złote usta, złota dziewczyna i złota poranka godzina!” Oto moja krótka baśń - powiedział kaczeciec.

- Moja biedna stara babcia - westchnęła Gerda. - Na pewno za mną tęskni i martwi się o mnie i o małego Kaya. Ale wrócę wkrótce znowu do domu i przyprowadzę go ze sobą. Nie mam po co pytać kwiatów, każdy z nich zna tylko swoją własną baśń, nie dadzą mi żadnych wskazówek. - I podwiązała sukienkę, aby móc prędzej biegać; ale narcyz uderzył ją po nodze, kiedy przez niego przeskaکیwała, więc zatrzymała się, spojrzała na wysmukły kwiat i spytała, pochylając się nad nim:

- Czy powiesz mi coś wreszcie? Cóż powiedział narcyz?

- Widzę samego siebie! Widzę samego siebie! O, jakże pachnę! Wysoko w małym pokoiku na poddaszu stoi na pół ubrana mała tancerka, stoi to na jednej nodze, to na dwóch, depta nogami cały świat i tyle że wszystkich olśniewa.

Z imbryczka do herbaty nalewa wody na gorsecik, który trzyma w ręku. Czystość jest piękną rzeczą! Biała sukienka wisi na wieszadle, i ona też została uprana w imbryczku, i wisi, schnie na dachu. Kładzie ją na siebie, szafranowym szalem



owiazuje szyję, wtedy suknia połyskuje jeszcze śnieżniejszą bielą. Noga podniesiona. Patrz, jak ona krąży na jednej nodze! Widzę samego siebie. Widzę samego siebie!

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedziała Gerda. - Po co mi to opowiadasz? - I pobiegła na kraniec ogrodu.

Furtka była zamknięta, ale dziewczynka potrząsnęła zardzewiałym zamkiem, a wtedy furtka odskoczyła i mała Gerda pobiegła boszo w daleki świat. Obejrzała się trzy razy, ale nikogo za nią nie było; w końcu nie mogła już dłużej biec, usiadła na dużym kamieniu. Kiedy się rozejrzała, zobaczyła, że lato już przeszło, była późna jesień, nie spostrzegła tego wcale tam, w wielkim ogrodzie, gdzie było tyle słońca i kwiaty kwitły o wszystkich porach roku.

- Mój Boże, jakże się zasiedziałam - powiedziała mała Gerda. - Przecież już jest jesień. Teraz nie wolno mi odpoczywać. - Wstała, aby pójść dalej. O, jakże obolałe i zmęczone były jej nóżki! Naokoło było tak zimno i pusto. Podłużne wierzbowe listki pożółkły zupełnie, mgła spływała z nich kroplami wody, jeden listek za drugim opadały na ziemię, tylko tarnina była pokryta owocami, i to takimi kwaśnymi, że cierpły od nich usta. O, jakże szaro i smutno było na dalekim świecie!

## OPOWIADANIE CZWARTE

### Księżę i księżniczka

Gerda musiała znowu odpocząć. Naprzeciw miejsca, gdzie siedziała, sfrunęła na śnieg duża wrona; przyglądała się dziewczynce i kręciła głową.

- Kra, kra - powiedziała. - Dź dóbr. Dź dóbr!

Lepiej nie umiała wymawiać, ale odniosła się życzliwie do małej dziewczynki i spytała ją, dokąd to idzie taka sama w daleki świat. Słowo „sama” zrozumiała bardzo dobrze mała Gerda i czuła, ile w tym się zawierało treści, opowiedziała wronie swoje całe życie, wszystko, co przeżyła, i spytała, czy nie widziała Kaya. A wrona kiwnęła w zamyśleniu głową i powiedziała:

- To możliwe, to bardzo możliwe, to bardzo możliwe!

- Naprawdę? - pytała mała dziewczynka i całowała wronę tak, że o mało nie zadusiła jej na śmierć.

- Spokojnie, spokojnie - powiedziała wrona. - Myślę, że to mógł być mały Kay! Ale na pewno zapomniał o tobie przy księżniczce.

- Czy on mieszka u księżniczki? - spytała Gerda.

- Tak, posłuchaj - powiedziała wrona. - Ale będzie mi trudno mówić twoim językiem. Czy rozumiesz wroni język? Byłoby mi łatwiej opowiadać.

- Nie, nie uczyłam się go - powiedziała Gerda - ale babka zna ten język i język innych ptaków też. Gdybym to ja się go była nauczyła!

- Nic nie szkodzi - rzekła wrona. - Opowiem, jak potrafię, ale nie będzie to dobrze opowiedziane! - I zaczęła mówić to, co wiedziała.

- W państwie, w którym teraz jesteśmy, mieszka księżniczka; jest tak niebywale mądra, że przeczytała wszystkie gazety świata, a potem zapomniała to, co przeczytała, taka jest mądra.

Teraz siedzi na tronie, ale podobno to wcale nie jest takie przyjemne; więc zaczęła śpiewać taką piosenkę! „Dlaczegoż bym nie miała wyjść za mąż! Naprawdę, to dobra myśl.” Tak, postanowiła wyjść za mąż, ale za takiego, który potrafiłby odpowiedzieć na zadane mu pytania, nie takiego, co tylko stoi i wytwornie wygląda, bo to jest nudne. I księżniczka zawołała wszystkie damy dworu, a kiedy usłyszały, o co chodzi, były bardzo zadowolone. „To się nam nadzwyczajnie podoba - powiedziały - myślałyśmy o tym niedawno! „ Możesz mi wierzyć, że każde słowo, które mówię, jest prawdą - dodała wrona. - Mam oswojoną narzeczoną, która wchodzi swobodnie do zamku, i ona mi to wszystko opowiedziała!

Narieczona była naturalnie także wroną, gdyż swój ciągnie do swego, czyli wrona do wrony!

- Tego dnia gazety wyszły z obwódką w kształcie serc i z podpisem księżniczki, można w nich było przeczytać, że każdy dobrze prezentujący się młodzieniec może przyjść na zamek i rozmawiać z księżniczką, a ten, który będzie się tam zachowywał tak jak u siebie w domu i będzie najmądrzej mówił, zostanie mężem księżniczki.

- Tak, tak - powiedziała wrona - wszystko, co mówię, to święta prawda. Więc ludzie ciągnęli gromadnie, był tłok i ścisk, ale nikomu nie poszczęściło się ani pierwszego dnia ani drugiego.

Kiedy wszyscy razem stali na ulicy, rozmawiali swobodnie, ale gdy tylko wchodzili w bramę zamkową, tracili głowy na widok gwardii w srebrze, lokajów w złocie na schodach, wielkich oświetlonych sal; stali przed tronem, na którym siedziała księżniczka, i nie umieli nic powiedzieć prócz ostatniego słowa przez nią wymówionego, a jej nie zależało przecież na tym, aby usłyszeć powtórzone własne słowa. Miało się wrażenie, że ci ludzie zażyli tabaki na czczy żołądek i

zapadli w sen, dopóki nie znaleźli się znowu na ulicy, gdzie odzyskiwali mowę. Od bram miasta aż do zamku stał długi ogon. Ja sam tam byłem, aby się im przyjrzeć - dodała wrona. - Czuli już głód i pragnienie, ale na zamku nie dostali nawet szklanki wody. Wprawdzie niektórzy mądrzejsi zabrali ze sobą zapasy, ale nie dzielili się ze swym sąsiadem; myśleli sobie:

„Niech wygląda na głodomora, to wtedy księżniczka go nie weźmie!”

- A Kay! Mały Kay! - spytała Gerda. - Kiedy on przyszedł? Czy był między nimi wszystkimi?

- Miej cierpliwość! - powiedziała wrona. - Zaraz do niego dojdziemy. Było to trzeciego dnia, na zamek przyszedł mały chłopiec bez konia i bez pojazdu, szedł wesoło, oczy błyszczały mu jak twoje, miał prześliczne długie włosy, ale był ubogo ubrany.

- To był Kay! - cieszyła się Gerda. - Ach, nareszcie go znalazłam! - I klasnęła w rękę.

- Na plecach miał mały tornister - opowiadała wrona.

- Nie, to były pewnie jego sanki - zauważyła Gerda - zniknął z sankami!

- To możliwe! - powiedziała wrona. - Tak dokładnie nie widziałem. Ale wiem od mojej oswojonej narzeczonej, że kiedy przechodził przez zamkowe wrota i zobaczył srebrną gwardię i lokajów w złocie na schodach, zupełnie się nie zmieszał, skinął do nich głową i mówił: „Jakże to musi być nudno tak stać na schodach, lepiej wejść do środka”.

Sale błyszczały od świateł, radcy i ministrowie chodzili bosy i roznosili złote półmiski; nastrój był uroczysty. Buciki tego chłopca skrzypiały okropnie, ale on nic sobie z tego nie robił.

- To na pewno był Kay! - zawołała Gerda. - Wiem, że ma nowe buciki; słyszałam w pokoju babci, jak skrzypiały!

- Tak, skrzypiały porządnie - powiedziała wrona. - Chłopiec z uradowaną miną poszedł wprost do księżniczki, która siedziała na perle tak wielkiej jak kołowrotek; wszystkie damy dworu ze swymi służebnymi i służebne służebnych, i wszyscy marszałkowie dworu ze swymi paziami i służącymi paziów, którzy mieli swoich chłopców na posyłki, wszyscy stali dookoła i im który stał bliżej drzwi, tym dumniej wyglądał. Twarz pachółka sługi służącego za ledwie można było dojrzeć, tak dumnie stał w drzwiach!

- To musiało być straszne! - powiedziała małą Gerda. - A jednak Kay zdobył księżniczkę?

- Gdybym nie był wroną, zdobyłbym ją również, nie bacząc na to, że jestem

zaręczony. On mówił równie dobrze jak ja, kiedy mówię wronim językiem, wiem to od mojej oswojonej narzeczonej. Był swobodny i miły i wcale nie przyszedł po to, aby starać się o jej rękę, przyszedł jedynie, aby posłuchać mądrości księżniczki; spodobała mu się i on jej spodobał się także!

- Tak, to był na pewno Kay - powiedziała Gerda.

- Był taki mądry, że potrafił rachować z pamięci, i to z ułamkami. Ach, czy zaprowadzisz mnie na zamek?

- To łatwo powiedzieć - powiedziała wrona - ale jak to zrobimy? - Pomówię o tym z moją oswojoną narzeczoną; na pewno nam poradzi; bo muszę ci powiedzieć, że takiej małej dziewczynki jak ty nie przepuszczą nigdy do pałacu!

- A jednak się tam dostanę - powiedziała Gerda. - Gdy Kay usłyszy, że ja tu jestem, zaraz przyjdzie i zabierze mnie!

- Czekaj na mnie przy sztachetkach! - powiedziała wrona, pokiwała głową i odleciała.

Dopiero kiedy nadszedł wieczór, wrona wróciła z powrotem.

- Kra, kra! - powiedziała. - Dużo pozdrowień od mojej narzeczonej, a oto bułeczka dla ciebie, wziąłem ją z kuchni, tam jest dość chleba, a ty jesteś na pewno głodna. To zupełnie niemożliwe, abyś weszła do pałacu, jesteś przecież bosa, srebrna gwardia i lokaje w złocie nie pozwalają na to, ale nie płacz, jakoś wejdziemy. Moja narzeczona zna pewne tylne schody, prowadzące do sypialnych pokojów, i wie, gdzie można znaleźć klucze! Weszły więc do ogrodu, w wielką aleję, gdzie z drzew spadały liście; kiedy w pałacu jedne za drugimi pogasły światła, wrona zaprowadziła małą Gerdę do tylnych drzwi, które były uchylone.

O, jakże biło serce Gerdy ze strachu i tęsknoty! Zupełnie tak, jakby chciała zrobić coś złego, a przecież pragnęła tylko wiedzieć, czy tu był mały Kay: tak, musi tam być; myślała z takim przejęciem o jego mądrych oczach, o jego długich włosach, widziała wyraźnie jego uśmiech, kiedy siedział z nią w domu pod różami. Ucieszy się na pewno, gdy ją zobaczy i usłyszy, jaką długą drogę odbyła do niego, kiedy się dowie, jak martwili się wszyscy w domu, gdy on nie wrócił! O, jakże się bała i cieszyła zarazem!

Oto weszli już na schody; na szafie paliła się mała lampa; pośrodku na podłodze stała oswojona wrona, kręciła głową na wszystkie strony i patrzyła na Gerdę, która dygnęła tak, jak ją uczyła babcia.

- Mój naręczony opowiadał mi tyle dobrego o pani, miła panienczko! - powiedziała oswojona wrona. - Dzieje pani życia, jak to mówią, są również bardzo

wzruszające. Niech pani weźmie lampę. Wtedy ja pójdę przodem. Gdy pójdziemy prosto przed siebie, to nie spotkamy nikogo!

- Wydaje mi się, że ktoś idzie tuż za nami! - powiedziała Gerda; rzeczywiście coś obok zaszeleściło; zupełnie jakby cienie prześlizgiwały się po ścianie, konie o rozwichrzonych grzywach i smukłych nogach, myśliwi, panowie i damy na koniach.

- To są tylko sny! - powiedziała wrona - przychodzą i zapraszają myśli księcia i księżniczki na polowanie; to dobrze, bo potem może im się pani w łóżku lepiej przyjrzeć. Ale spodziewam się, że kiedy pani dojdzie do zaszczytów i godności, okaże mi pani wdzięczność!

- To się samo przez się rozumie - wtrąciła druga wrona. Weszły do pierwszej sali o ścianach z różowego atlasu w kwiaty; obok nich zaszeleściły sny, ale przeleciały tak prędko, że Gerda nie zdążyła obejrzyć tego czcigodnego towarzystwa. Jedna sala była wspanialsza od drugiej; było tam co podziwiać.

Wreszcie znaleźli się w sypialni. Sufit przypominał wielką palmę, o liściach ze szkła, z kosztownego szkła, a pośrodku pokoju na grubym sznurze ze złota wisiały dwa łóża, każde wyglądało jak lilia; jedno było białe, leżała na nim księżniczka, drugie było czerwone i tam Gerda miała szukać małego Kaya; uchyliła jeden czerwony płatek i zobaczyła brązową szyję. Tak, to był Kay! Krzyknęła głośno jego imię trzymając lampę tuż nad nim - sny znowu wtargnęły konno do pokoju, książę obudził się, odwrócił głowę i - to nie był mały Kay. Miał tylko podobny do niego kark; był młody i piękny. Z łóżka, które wyglądało jak biała lilia, wyjrzała księżniczka i spytała, co się stało. Wtedy mała Gerda zapłakała i opowiedziała całą swoją historię i wszystko, co zrobili dla niej wrony.

- Biedna dziewczynka! - powiedzieli książę i księżniczka, a potem pochwalili wrony, zapewnili je, że nie gniewają się wcale, ale żeby tego częściej nie robiły. Tym razem zostaną wynagrodzone.

- Czy chcecie latać na wolności - spytała księżniczka - czy wolicie mieć stałe miejsce jako dworskie wrony i korzystać ze wszystkich odpadków z kuchni?

Obie wrony dygnęły nisko i poprosiły o stałe miejsce; myślały o starości i powiedziały:

- To dobrze, kiedy człowiek - tak powiedziały - ma spokój na stare lata! Książę wstał z łóżka i ustąpił je Gerdzie, taki był dla niej dobry. Dziewczynka splotła swoje małe rączki i myślała: „I ludzie, i zwierzęta są dobrzy” - a potem zamknęła oczy i zasnęła słodko. Przyleciały znowu wszystkie sny w postaci aniołów, przyniosły małe sanki, na których siedział Kay i kiwał na nią; ale to był tylko sen i

dlatego znikł, gdy tylko się obudziła.

Na drugi dzień ubrano ją od stóp do głów w jedwab i aksamit; pozwolono jej zostać w pałacu i spędzać przyjemnie czas, ale Gerda poprosiła, aby jej dali tylko wózek z koniem i parę małych trzewiczków, bo chciała jechać znowu w daleki świat odszukać Kaya.

Dostała i buciki, i mufkę; ubrano ją ślicznie, a kiedy miała odjechać, czekała na nią przed bramą kareta z czystego złota, herb księcia i księżniczki błyszczał na drzwiczkach jak gwiazda, stangret, służba i forysie, gdyż byli tam także i forysie, mieli złote korony na głowie. Książę i księżniczka pomagali jej sami wsiąść do karety i życzyli wiele szczęścia. Leśna wrona, która właśnie pobrała się z oswojoną, odprowadziła Gerdę trzy mile; siedziała obok niej, bo nie znosiła jazdy tyłem do konia; druga wrona stała we wrotach i biła skrzydłami, nie odprowadzała

Gerdy, bo cierpiała na bóle głowy, od czasu kiedy miała stałe miejsce i przejeżdżała się. Kareta wysadzana była w środku obwarzankami z cukru, a siedzenie napchane było owocami i piernikami.

- Żegnaj, żegnaj! - wołali książę i księżniczka, a mała Gerda płakała i wrona także; tak przeszła pierwsza mila podróży. Potem i wrona musiała się pożegnać i to było najcięższe rozstanie. Pofrunęła na drzewo i trzepotała czarnymi skrzydłami, dopóki kareta, błyszcząca jak jasny promień słońca, nie zniknęła jej z oczu.

## OPOWIADANIE PIĄTE

### Mała rozbójniczka

Jechali przez ciemny las, ale kareta błyszczała jak pochodnia; kłuło to rozbójników w oczy, nie mogli tego znieść.

- Złoto, złoto! - wołali, pchali się naprzód, schwycili konie za uzdy, zabili małych forysiów, stangreta i służących i wyciągnęli małą Gerdę z karety.

- Jest tłusta, śliczna i karmiona orzechami - powiedziała stara rozbójniczka, która miała długą, sterczącą brodę i brwi opadające na oczy. - Jest taka smaczna jak małe, tłuste jagniątko, to dopiero będzie uczta! - I wyciągnęła nóż, który błysnął tak, że aż ciarki po ciele przeszły.

- Ach! - zawołała nagle stara; jej własna mała, dzika i nieznośna córeczka, którą niosła na plecach, ugryzła ją w ucho. - Ty przekłety bachorze - zawołała

matka i nie zdążyła zamordować Gerdy.

- Ona będzie się ze mną bawiła - powiedziała mała rozbójniczka. - Niech mi odda swoją mufkę i śliczną sukienkę i niech śpi ze mną w łóżku. - I ugryzła matkę parę razy tak, że żona rozbójnika aż skoczyła do góry i zaczęła się kręcić w kółko; wszyscy rozbójnicy śmieli się i mówili:

- Patrzcie, jak to tańczy ze swym bachorem!

- Ja chcę siedzieć w karecie - powiedziała mała rozbójniczka - chciała i musiała postawić na swoim, bo była rozpieszczona i uparta. Usiadła obok Gerdy w karecie i potem pojechały przez pnie i krzaki coraz głębiej w las. Mała rozbójniczka była taka duża jak Gerda, ale silniejsza, o szerszych ramionach i ciemniejszej cerze. Jej oczy były czarne i patrzyły prawie smutno. Objęła ramieniem małą Gerdę i powiedziała:

- Nie powinni cię zabijać, dopóki się na ciebie nie pogniewam. Jesteś pewnie księżniczką?

- Nie - odrzekła mała Gerda i opowiedziała jej wszystko, co przeżyła, i jak bardzo kocha małego Kaya. Córeczka rozbójników patrzyła na nią zupełnie poważnie, pokiwała trochę głową i odezwała się:

- Nie powinni cię zabijać, nawet gdybym była na ciebie zła; sama to wtedy zrobię! - Otarła Gerdzie oczy i włożyła obie swoje ręce do ślicznej mufki, która była taka ciepła i miękka. Wtem kareta się zatrzymała; znajdowali się w środku podwórza starego, zbójckiego zamku, był on pęknięty od góry do dołu. Kruki i wrony wyfruwały z otwartych szczelin, a wielkie buldogi, które wyglądały tak, jakby miały połknąć człowieka, skakały wysoko do góry, ale nie szczekały, bo to było zabronione.

W wielkiej, starej, zadymionej sali palił się na środku kamiennej podłogi duży ogień, dym wznosił się aż do sufitu i musiał sobie sam szukać wyjścia; gotował się duży kocioł z zupą, a na różnie piekły się zające i króliki.

- Musisz przespać się w nocy tu, obok mnie, razem ze wszystkimi moimi zwierzątkami - powiedziała mała rozbójniczka. Dano im jeść i pić i poszły potem w ką, gdzie leżała słoma i koce. Wysoko na żerdziach i belkach siedziało prawie sto gołębi, zdawało się, że śpią, ale gdy obie dziewczynki weszły, poruszyły się trochę.

- Wszystkie są moje - powiedziała mała rozbójniczka i schwyciła prędko jednego z najbliższych siedzących gołębi; złapała go za nogę i potrząsnęła nim tak, że zatrzepotał skrzydłami. - Pocałuj go - zawołała i uderzyła Gerdę ptakiem po twarzy. - Tam siedzą leśne dzikusy - mówiła dalej i pokazała cały szereg żelaznych

prętów, wbitych wysoko w murze, nad otworem. - Musimy ich pilnować, to są kanale z lasu, uciekają, gdy tylko nie są dobrze zamknięte, a tutaj stoi mój stary, kochany Ba. - I przyciągnęła za rogi rena, naokoło szyi miał błyszczący, miedziany pierścień i był przywiązany. - Tego też musimy trzymać na uwięzi, bo inaczej by uciekł. Co wieczór łechcę go w szyję moim ostrym nożem, bo się tego bardzo boi. - I dziewczynka wyciągnęła długi nóż ze szpary w murze i przesunęła go po szyi rena; biedne zwierzę kopało tylnymi nogami, a mała rozbójniczka śmiała się i wciągnęła Gerdę do łóżka.

- Czy będziesz miała nóż przy sobie w czasie snu? - spytała Gerda i spojrzała z przestraszonym wzrokiem na nóż.

- Ja zawsze śpię z nożem - powiedziała mała rozbójniczka. - Nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić. Ale powtórz jeszcze raz to, co mi opowiadałaś o małym Kayu, i dlaczego poszłaś w daleki świat. - I Gerda opowiedziała od początku, a dzikie gołębie w klatce gruchały, inne gołębie spały. Mała rozbójniczka objęła ramieniem Gerdę za szyję, w drugiej ręce trzymała nóż i zasnęła, tak że było słychać jej oddech; ale Gerda nie mogła zamknąć oczu, nie wiedziała, czy będzie żyła czy też umrze. Rozbójnicy siedzieli naokoło ognia, śpiewali i pili, a żona rozbójnika fikała koziołki. O, jakże strasznie było małej dziewczynce na to patrzeć!

Wtem gołębie leśne powiedziały:

- Gurr, grr! Widziałyśmy małego Kaya. Biała kura niosła saneczki, on siedział w saniach Królowej Śniegu, które unosiły się nad lasem, podczas gdy my siedziałyśmy w naszym gnieździe; dmuchnęła na nas i prócz nas dwóch umarły wszystkie pisklęta. Grr, grr!

- Co wy tam w górze mówicie? - zawołała Gerda. - Dokąd pojechała Królowa Śniegu? Czy wiecie coś o tym?

- Pewnie pojechała do Laponii, bo tam jest zawsze śnieg i lód. Spytaj rena, co stoi na postronku.

- Tam jest lód i śnieg, tam jest dobrze i pięknie - powiedział ren. - Skacze się swobodnie po wielkich, błyszczących dolinach. Królowa Śniegu ma tam swój letni namiot, ale jej stary zamek stoi wysoko nad biegunem północnym, na wyspie, która się nazywa Szpicberg!

- Ach, Kay, kochany Kay! - westchnęła Gerda.

- Leż teraz spokojnie - powiedziała mała rozbójniczka - inaczej zakłuję cię nożem!



Rano opowiedziała jej Gerda wszystko, co mówiły dzikie gołębie, a mała rozbójniczka słuchała uważnie, ale potem pokręciła głową i powiedziała:

- Właśnie! Właśnie! Czy wiesz, gdzie leży Laponia? - spytała rena.

- Któż ma lepiej wiedzieć ode mnie? - powiedziało zwierzę, a oczy mu zabłyśły.

- Tam się urodziłem i wyrosłem, tam skakałem po polach.

- Słuchaj no! - powiedziała mała rozbójniczka do Gerdy. - Widzisz, że wszyscy nasi mężczyźni już wyszli, ale matka jest jeszcze tutaj i zostanie; później,

rano, pije zawsze z dużej butelki i ucina sobie drzemkę; wtedy będę mogła coś zrobić dla ciebie! - Wyskoczyła z łóżka, rzuciła się matce na szyję, skubnęła ją w brodę i powiedziała: - Mój najśłodszy koziółku, dzień dobry! - A matka dała jej szcztka w nos, tak że jej nos poczerwieniał i posiniał, ale to wszystko jedynie z miłości.

Kiedy potem matka napiła się z dużej flaszki i ucięła sobie drzemkę, mała rozbójniczka zbliżyła się do rena i powiedziała:

- Miałabym straszną ochotę połechtać cię jeszcze kilka razy ostrym nożem, bo jesteś taki zabawny, ale trudno, odwiążę twój sznur i pomogę ci dostać się do Laponii, tylko nie wolno ci oszczędzać nóg, musisz zaprowadzić tę małą dziewczynkę do pałacu Królowej Śniegu, gdzie jest jej towarzysz zabaw. Słyszałeś pewnie to, co ona opowiadała, bo mówiła dosyć głośno, a ty zawsze podsłuchujesz!

Ren wysoko podskoczył z radości. Dziewczynka rozbójników podniosła do góry małą Gerdę i była na tyle przezorna, że ją mocno przywiązała, a nawet dała jej małą poduszeczkę, aby miała na czym siedzieć.

- Właśnie! - powiedziała. - Masz z powrotem twoje futrzane trzewiki, bo będzie ci zimno, ale mufkę zatrzymam sobie, bo jest za ładna! Chyba nie zmarzniesz! Masz tu wielkie rękawice mojej matki, sięgają aż do łokci; kładź je! Twoje ręce wyglądają teraz jak ręce mojej wstrętnej matki! A Gerda płakała z radości.

- Nie mogę znieść tego, że beczysz! - powiedziała mała rozbójniczka. - Teraz właśnie powinnaś mieć zadowoloną minę! Masz tu dwa bochenki chleba i szynkę, nie będziesz głodna! - Wszystkie zapasy przywiązano renowi za siodłem; mała rozbójniczka otworzyła drzwi, zawołała do środka wszystkie wielkie psy, potem przecięła nożem postronek i powiedziała do rena:

- Teraz pędź, ale uważaj na dziewczynkę!

A Gerda wyciągnęła ręce w wielkich rękawicach do małej dziewczynki rozbójników i powiedziała:

- Do widzenia - a potem ren puścił się przez krzaki i kamienie, przez wielki las, przez błota i stopy tak prędko, jak tylko mógł. Wilki wyły, a kruki krakały.

- Fut, fut! - dźwięczało w powietrzu. Brzmiało to tak, jakby ktoś pluł czerwonym ogniem.

- To moja stara zorza północna! - powiedział ren. - Patrz, jak błyszczy! - I potem biegł jeszcze prędzej, coraz dalej, dniem i nocą; Gerda zjadła chleby, szynkę także, i już byli w Laponii.

## OPOWIADANIE SZÓSTE

### Laponka i Finka

Zatrzymali się przed małym, bardzo nędznym domkiem; dach pochylał się aż do ziemi, a drzwi były takie niskie, że mieszkańcy musieli pełzać na czworakach chcąc wejść lub wyjść. W domu nie było nikogo prócz starej Laponki, która, stojąc przy lampie z tranu, smażyła rybę. Ren opowiedział całą historię Gerdy, ale najpierw swoją własną, bo uważał, że ta jest o wiele ważniejsza, a Gerda była tak zmarznięta, że nie mogła wcale mówić.

- Ach, wy biedacy! - powiedziała Laponka. - Macie jeszcze daleką drogę przed sobą.

Musicie przebiec jeszcze przeszło sto mil równiną finmarku, aż tam, gdzie rozsiadła się Królowa Śniegu i puszcza co wieczór bengalskie ognie. Napiszę parę słów na wysuszonym dorszu, nie mam papieru, a chcę napisać do Finki, tam na Północy, ona da wam lepsze wskazówki niż ja!

Kiedy Gerda ogrzała się, najadła i napiła, Laponka napisała na wysuszonym dorszu parę słów, kazała Gerdzie dobrze tego pilnować, przywiązała ją znowu do rena, który popędził razem z nią.

„Fut, futi”, zabrzmiało wysoko w powietrzu, przez całą noc płonęła najpiękniejsza niebieska zorza polarna i potem przyjechali do Finmarku, i zapukali do komina Finki, bo w chacie nie było nawet drzwi wejściowych. Wewnątrz był tak straszny upał, że Finka sama chodziła prawie zupełnie nago; była mała i bardzo brudna; zaraz rozebrała małą Gerdę, zdjęła z niej rękawice i buciki, aby nie było jej za gorąco; renowi położyła na głowie kawałek lodu i potem przeczytała to, co było napisane na skórze dorsza; przeczytała trzy razy, tak że nauczyła się tego na pamięć, i wrzuciła rybę do gotującego się garnka, bo nadawała się do jedzenia, a ona nigdy niczego nie marnowała.

Ren opowiedział jej najpierw swoją historię, a potem dzieje małej Gerdy, a Finka błyskała mądrymi oczami, ale nic nie mówiła.

- Jesteś taka mądra! - powiedział ren. - Wiem, że potrafisz związać wszystkie wiatry świata jedną nitką; kiedy żeglarz rozplątuje jeden węzeł, wieje przyjazny wiatr, kiedy rozluźnia drugi, wieje ostry wicher, a kiedy rozwiązuje trzeci i czwarty, zrywa się taka burza, że lasy się przewracają. Czy zechciałabyś dać małej dziewczynce do wypicia taki napój, aby zrobiła się silna jak dwunastu mężczyzn i aby zwyciężyła Królową Śniegu?

- Silna jak dwunastu mężczyzn? - zapytała Finka. - Na cóż to się może jej przydać? - Potem podeszła do łóżka, wzięła dużą, zwiniętą skórę i rozwinęła ją; były tam napisane dziwaczne litery. Finka zaczęła czytać, aż jej pot spływał z czoła.

Ale ren wstawiał się tak gorąco za małą Gerdą, a Gerda patrzyła takimi błagalnymi, pełnymi łez oczami, że Finka zaczęła znowu błyskać spojrzeniem, zaciągnęła rena w kąt pokoju i szeptała coś kładąc mu na głowę świeży lód.

- Mały Kay jest co prawda u Królowej Śniegu, ma tam wszystko, czego tylko dusza zapagnie, i jest pewien, że to najlepsze miejsce na świecie, ale dzieje się to dlatego, że ma w sercu odłamek szkła i okruszynę szkła w oku; trzeba mu to wyjąć, inaczej nie stanie się nigdy prawdziwym człowiekiem, i Królowa Śniegu zachowa nad nim swą moc.

- Ale czy nie mogłabyś dać małej Gerdzie czegoś takiego, żeby stała się mocniejsza od wszystkich?

- Nie mogę jej użyczyć więcej mocy od tej, którą posiada. Czyż nie widzisz, jaka jest potężna? Czy nie widzisz, jak jej muszą służyć ludzie i zwierzęta, jak udało jej się przejść przez świat na bosych nóżkach? Nie powinna myśleć, że to myśmy użyczyli jej tej potęgi, ona tkwi w jej sercu, pochodzi stąd, że Gerda jest dobrym, niewinnym dzieckiem. Skoro jej samej nie uda się dostać do Królowej Śniegu i uwolnić Kaya od odłamków szkła, to my jej nic nie pomożemy.

O dwie mile stąd zaczyna się ogród Królowej Śniegu, tam możesz zanieść małą dziewczynkę; posadź ją na śniegu koło wielkiego krzaka, pełnego czerwonych jagód; nie marudź długo, tylko pośpiesz się i wróć tu znowu. - Potem Finka uniosła małą Gerdę, posadziła ją na grzbiecie rena, a ren popędził, jak tylko mógł najprędzej.

- Ach, nie zabrałam moich trzewików, nie mam rękawic! - zawołała mała Gerda; spostrzegła to, bo było przeraźliwie zimno, ale ren nie odważył się zatrzymać, pędził, aż przybiegł do dużego krzaka z czerwonymi jagodami; tam posadził Gerdę, pocałował ją w usta, a wielkie, jasne łzy popłynęły z oczu po policzkach zwierzęcia; potem pobiegł z powrotem tak prędko jak tylko mogły go

unieść nogi. A mała Gerda stała bez trzewików i bez rękawiczek pośrodku straszliwego, lodowato zimnego pola Finmarku. Biegła przed siebie, jak tylko mogła najszybciej; nagle nadciągnął cały pułk śnieżnych płatków; ale nie padały z nieba, niebo było zupełnie jasne i błyszczące od zorzy północnej; płatki śniegu biegły tuż przy ziemi i im się bardziej zbliżały, tym były większe. Gerda pamiętała jeszcze, jakie wielkie i kunsztowne wydawały jej się płatki wtedy, gdy je oglądała przez powiększające szkło, ale tu były jeszcze o wiele większe i bardziej przerażające; były żywe, stanowiły przednią straż Królowej Śniegu; miały najdziwniejsze kształty; niektóre wyglądały jak szkaradne, wielkie jeżozwierze, inne jak sploty węzów, wysuwających głowy, a znowu inne - jak małe, grube niedźwiedzie o nastroszonej sierści, wszystkie były oślepiająco białe, wszystkie były żywymi płatkami śniegu. Mała Gerda zmówiła Ojcie nasz; a mróz był tak wielki, że widziała swój własny oddech; parował z jej ust jak gęsty dym; oddech ten stawał się coraz gęstszy i gęstszy i ułożył się w kształt jasnych aniołów, które w miarę zbliżania się do ziemi, stawały się coraz większe; wszystkie miały na głowach hełmy, a w rękach dzidy i tarcze; było ich coraz więcej, i kiedy Gerda skończyła mówić Ojcie nasz, stał naokoło niej cały legion; uderzały swymi mieczami w szkaradne płatki śniegu, tak że te rozpadały się na tysięczne kawałki, a mała Gerda szła pewnie i radośnie naprzód. Aniołki gładziły jej nogi i ręce; wtedy nie czuła wcale zimna i szła prędko naprzód do pałacu Królowej Śniegu.

A teraz zobaczymy, co się działo z Kayem.

Nie myślał on wprawdzie o małej Gerdzie, a już najmniej o tym, że stała na dworze przed pałacem.

## OPOWIADANIE SIÓDME

Co się działo w pałacu Królowej Śniegu i co się później stało

Ściany pałacu były zrobione ze śnieżnej zawiei, a okna i drzwi z ostrych wiatrów; było tam przeszło sto sal, zależnie od tego, jak zawaiał śnieg; największa sala rozciągała się na wiele mil, wszystkie oświetlało silne światło zorzy polarnej; były wielkie, puste, lodowato zimne i błyszczące! Nie panowała tu nigdy radość, nie odbył się tu nawet ani razu balik niedźwiedzi, na którym mógłby zagrać wicher i gdzie by białe niedźwiedzie mogły chodzić na tylnych nogach i popisać się swoimi dobrymi manierami; nie było tu nigdy towarzyskich zabaw ani otwiera-

nia paszcz i bicia łapami; białe liście nie plotkowały tu nigdy przy herbatce; puste, wielkie i zimne były sale Królowej Śniegu. Zorza północna paliła się tak równomiernie, że można było według jej światła oznaczyć, kiedy znajdowała się na najwyższym punkcie, a kiedy na najniższym.

Pośrodku pustej, nieskończonej, śnieżnej sali leżało zamarznięte jezioro, które popękało na tysiące kawałków, ale jeden kawałek był podobny do drugiego, było to prawdziwe dzieło sztuki; pośrodku tego jeziora siadywała Królowa Śniegu, wtedy gdy była w domu, i wówczas mówiła, że siedzi na zwierciadle rozsądku i że to jest jedyne i najlepsze zwierciadło na świecie. Mały Kay był zupełnie siny z mrozu, prawie czarny, ale nie spostrzegł tego wcale, gdyż Królowa Śniegu odjęła mu swym pocałunkiem wrażliwość na zimno, a jego serce stało się kawałkiem lodu. Chodził i zbierał płaskie, ostre kawałki lodu, które składał w ten sposób, aby coś z nich wyszło, zupełnie tak samo jak my, kiedy z kawałków drzewa składamy figury, co się nazywa chińską grą. Kay układał najkunsztowniejsze wzory, była to lodowa łamigłówka, w jego oczach figury te były nadzwyczajne i niezwyklej wagi, przyczyniał się do tego okruch szkła, który Kay miał w oku. Kay składał całe figury, które tworzyły napis, ale nie udawało mu się ułożyć słowa, na którym mu właśnie zależało. Słowem tym była „Wieczność”, a Królowa Śniegu oświadczyła:

- Jeżeli uda ci się ułożyć to słowo, staniesz się zupełnie niezależny, podaruję ci cały świat i na dodatek parę nowych łyżew. - Ale Kay nie mógł w żaden sposób ułożyć tego właśnie słowa.

- Teraz pomknę sobie daleko, do ciepłych krajów - powiedziała Królowa Śniegu - chcę zajrzeć raz do tych czarnych garnków. - Miała na myśli góry ziejące ogniem, które się nazywają Etna i Wezuwiusz. - Pobieję je trochę. To im się należy, zresztą wyjdzie to na dobre cytrynom i winogronom! - I Królowa Śniegu odfrunęła, a Kay został zupełnie sam w olbrzymiej lodowej sali, przyglądał się kawałkom lodu i myślał, myślał, aż coś w nim zatrzeszczało, siedział zupełnie sztywno i cicho, mogło się zdawać, że zamarł. I wtedy właśnie mała Gerda weszła przez wielkie wrota do pałacu; wiały właśnie ostre wichry, ale dziewczynka odmówiła wieczorną modlitwę i wtedy wiatry ułożyły się, jak gdyby chciały spać, a dziewczynka weszła do wielkiej, pustej, zimnej sali. Zobaczyła Kaya, poznała go, rzuciła mu się na szyję, objęła go mocno i wołała:

- Kay, drogi, mały Kay! Nareszcie cię odnalazłam!

Ale on siedział zupełnie cicho, sztywny i zimny.

Wtedy zapłakała mała Gerda gorącymi łzami, które spłynęły na jego pierś, dostały się aż do jego serca, roztopiły kawałki lodu i wchłonęły okruszynę szkła; Kay spojrział na nią, ona zaśpiewała mu pieśń:

*Róża przekwita i minie,  
Pójdź, pokłońmy się Dziecinie.*

Wtedy Kay wybuchnął płaczem i odłamek szkła wypadł mu z oka, poznał Gerdę i zawołał radośnie:

- Gerdo, kochana, mała Gerdo! Gdzieś była tak długo? I gdzie ja byłem? - Rozejrzał się wokoło. - Jakże tu zimno! Jak pusto i rozległe! I przytulił się mocno do Gerdy, a ona śmiała się i płakała z radości; było to takie piękne, że nawet kawałki lodu zaczęły tańczyć z radości, a kiedy się zmęczyły i położyły, utworzyły właśnie te litery, o których mówiła Królowa Śniegu, że jeżeli Kay je ułoży, stanie się niezależnym panem, a ona podaruje mu cały świat i parę nowych łyżew.

Gerda pocałowała go w policzki, które zaróżowiły się; całowała jego oczy, które zabłysły tak jak jej oczy; całowała jego ręce i nogi, które stały się mocne i zdrowe. Gdyby Królowa Śniegu nawet teraz wróciła, to i tak słowo wyzwalające Kaya wypisane było błyszczącymi kawałkami lodu. A oni wzięli się za ręce i wywędrowali z wielkiego pałacu, rozmawiali o babce i o różach kwitnących wysoko na dachu; wszędzie, gdzie przechodzili, układały się wiatry do spoczynku i układało się słońce; kiedy przyszli do krzaka z czerwonymi jagodami, stał tam ren i czekał; obok niego stał drugi młody ren, o pełnych wymionach, dał dzieciom ciepłego mleka i ucałował je. Potem reny zawiozły Gerdę i Kaya najpierw do Finki, gdzie ogrzali się w ciepłej izbie i otrzymali wskazówki na drogę powrotną, potem do Laponki, która uszyła im nowe ubrania i przygotowała swoje sanki do drogi. Oba reny skakały obok sań i dotrzymywały im towarzystwa aż do granic kraju; kiełkowała tam pierwsza zieleń. Wtedy pożegnali się z renami i z Laponką.

- Bądźcie zdrowi! - powiedzieli wszyscy. Pierwsze małe ptaszki zaczęły ćwierkać, drzewa miały zielone pączki i z lasu wyjechała na wspaniałym koniu, którego Gerda знаła (był to jeden z koni zaprzęgniętych do złotej karety), dziewczynka w jaskrawoczerwonej czapeczce na głowie i z pistoletami za pasem; była to mała rozbójniczka, której znudziło się w domu i chciała pojechać na północ, a w razie gdyby jej się tam nie spodobało, wybrałaby się w innym kierunku.

Poznała od razu Gerdę i Gerda ją również poznała; ucieszyły się bardzo.

- Ładny z ciebie nicpoń, że się tak po świecie włóczysz - powiedziała do Kaya - chciałabym wiedzieć, czy zasługujesz na to, żeby z twojego powodu pędzić na koniec świata!

Ale Gerda pogłaskała ją po twarzy i spytała o księcia i księżniczkę.

- Pojechali do obcych krajów! - powiedziała rozbójniczka.

- A wrona? - spytała mała Gerda.

- Wrona umarła! - odpowiedziała dziewczynka.

- Oswojona małżonka została wdową, nosi opaskę z czarnej krepy na nodze i skarży się żałośnie! Ale opowiedz lepiej, jak tobie się powiodło i jak go odnalazłaś! Wtedy Gerda i Kay opowiedzieli wszystko.

- Ta-ra-ra, ta-ra-ra! - zawołała mała rozbójniczka, schwyciła oboje za ręce i obiecała, że jeżeli kiedyś będzie przejeżdżała przez ich miasto, przyjedzie do nich w odwiedziny; potem pojechała w daleki świat, a Kay i Gerda poszli trzymając się za ręce, a gdy tak szli, zrobiła się cudna wiosna; wszystko kwitło i zieleniało; dzwony biły w kościołach i dzieci poznały wysokie wieże i wielkie miasto; było to miasto, w którym mieszkali; poszli przez ulice aż do drzwi babki, weszli na schody i znaleźli się w pokoju, gdzie wszystko stało na tym samym miejscu co dawniej, a zegar mówił: tik, tak! i wskazówki poruszały się, ale, przechodząc przez drzwi, spostrzegli, że byli już dorosłymi ludźmi. Róże w rynnie na dachu kwitły i zaglądały w otwarte okna - stały tam małe, dziecinne krzeselka; Kay i Gerda usiedli na nich i wzięli się za ręce; zapomnieli jak o złym śnie o zimnej, pustej wspaniałości u Królowej Śniegu. Babka siedziała w jasnym blasku słońca i czytała z Biblii: „A jeśli nie staniecie się jako dzieci, nie osiągniecie Królestwa Bożego!”

A Kay i Gerda spojrzeli sobie w oczy i nagle zrozumieli starą pieśń:

*Róża przekwita i minie,  
Pójdź, pokłońmy się Dziecinie.*

Siedzieli więc oboje, dorośli, a jednak dzieci, dzieci w sercach, i było lato, gorące błogosławione lato.







Był sobie pewnego razu imbryk do herbaty, dumny z porcelany, z której był zrobiony, dumny ze swej wysmukłej szyi i z dużego ucha. Miał on szyję z przodu, ucho z tyłu i o tym wciąż mówił; nie mówił zaś nigdy o swej pokrywce, która była stuczona i sklejona, co było wielkim brakiem, a niechętnie mówi się o swych brakach, inni to przecież robią za nas. Filiżanki, garnuszek do śmietanki i cukiernica, cały serwis do herbaty - całe to towarzystwo zwracało uwagę na pęknięcie pokrywki i rozmawiali o tym więcej niż o pięknym uchu i niezwykłej szyi; imbryk do herbaty wiedział o tym dobrze.

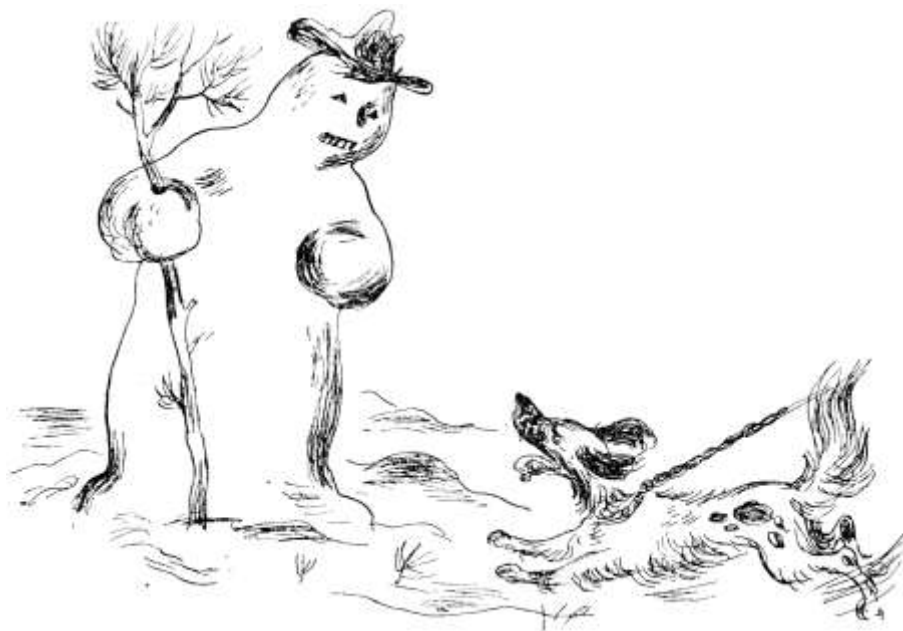
- Znam ich! - mówił sam do siebie. - Znam także dobrze moje wady i uznaję je, na tym właśnie polega moja pokora i skromność; wszyscy mamy wady, ale posiadamy także i zalety. Filiżanki mają uszka, cukiernica ma pokrywkę, a ja mam jedno i drugie, i jeszcze w dodatku coś z przodu, czego oni nie posiadają -

szyję, która sprawia, że jestem królem stołu. Cukiernicy i garnuszkowi do śmietanki przypadło w udziale być służebnymi dobrego smaku, ale ja jestem tym szczodrym władcą, rozdaję błogosławieństwo łaknącej ludzkości; w moich wnętrznościach chińskie listeczki rozpuszczają się w gotowanej, pozbawionej smaku wodzie.

Wszystko to mówił imbryk, kiedy był beztroski i młody. Stał na nakrytym stole, podnosiła go w górę delikatna rączka; ale delikatna rączka okazała się niezręczna, imbryk upadł na ziemię, szyjka się stłukła, stłukło się ucho, o pokrywcę nie ma co gadać, dość się już o niej mówiło. Imbryk leżał zemdłony na podłodze, wrzątek wyciekał z niego. Spotkał go ciężki cios, ale najsmutniejsze było to, że śmieli się z niego, a nie z niezręcznej dłoni, która go upuściła na ziemię.

- Nigdy nie będę się mógł pozbyć tego wspomnienia! - mówił imbryk później, opowiadając dzieje swego życia. - Nazwali mnie inwalidą, postawili w kącie, a na drugi dzień podarowali kobiecie, która zebrała o łyżkę skromnej strawy; zszedłem do rzędu nędzarzy, stałem bez użytku w kącie; ale kiedy tak stałem, zaczęło się dla mnie lepsze życie; jest się czymś jednym, a nagle staje się zupełnie czymś innym. Napelniono mnie ziemią; dla imbryka znaczy to samo co pogrzeb, lecz do ziemi włożono cebulkę kwiatu, kto ją tam włożył, kto mi ją podarował - nie wiem; ale był to dla mnie dar, wynagrodzenie za chińskie listeczki i wrzątek, za stłuczone ucho i szyję. Cebulka leżała w ziemi, leżała we mnie, stała się moim sercem, moim żywym sercem, a przecież nigdy przedtem nie miałem takiego serca. Wstąpiło we mnie życie i siły; puls bił, cebulka wypuściła pędy; można było pęknąć od rozsadzających uczuć i myśli; wyrósł z niej kwiat, patrzałem na niego, dźwigałem go; patrząc na jego piękno, sam zapomniałem o sobie; to prawdziwe błogosławieństwo zapomnieć przez innych o sobie. Kwiat nie dziękował mi za to, nie myślał o mnie; podziwiali go i chwalili. Byłem taki szczęśliwy, że jemu jest dobrze. Pewnego dnia usłyszałem, jak mówiono, że kwiat zasługuje na lepszą doniczkę. Rozbito mnie na dwoje; bolało to okropnie, ale kwiat dostał lepszą doniczkę, a mnie wyrzucono na podwórze, gdzie leżę jako stara skorupa - zostało mi jednak wspomnienie, którego nikt mi nie może wydrzeć.

# B A Ł W A N Z E Ś N I E G U



Taki mróz rozkoszny, że aż coś we mnie trzeszczy - powiedział bałwan ze śniegu. - Wiatr potrafi tchnąć życie. Ale jakże rozzarzone jest „to” w górze, jak wytrzeszcza swoje gały. - Miał na myśli słońce; właśnie zachodziło. - Nie zmusi mnie do mrugania, będę mocno zaciskał moje skorupki.

Zamiast oczu miał dwa duże, trójkątne kawałki dachówek, usta miał zrobione z kawałka starych grabi, posiadał więc i zęby.

Przyszedł na świat wśród radosnych okrzyków dzieci, powitany bręczeniem dzwonek sanek i trzaskaniem z bicza. Słońce zaszło, wzeszedł księżyc w pełni, okrągły i wielki, jasny i piękny w błękitnym powietrzu.

- Znowu wyszło po drugiej stronie - powiedział bałwan ze śniegu. Był przekonany, że słońce się znów pokazało. - Odzwyczailem je od gapienia się. Może sobie tam być i świecić, abym tylko mógł oglądać siebie samego. Gdybym tylko wiedział, jak trzeba się ruszyć z miejsca. Tak chętnie poruszałbym się. Gdybym potrafił, zszedłbym teraz poślizgać się po lodzie, widziałem jak to robili chłopcy; ale nie potrafię biegać.

- Precz, precz! - zaszczekał stary podwórzowy pies na łańcuchu; był trochę zachrypnięty. Miał chrypkę od czasu, gdy przestał być pokojowym pieskiem i już

nie leżał pod piecem. - Słońce nauczy cię biegać. Widziałem, co się działo zeszłego roku z twymi poprzednikami, a dawniej z ich poprzednikami. Precz, precz! Wszyscy oni poszli sobie precz.

- Nie rozumiem cię, kolego - powiedział bałwan ze śniegu - to, co jest w górze, ma mnie nauczyć biegać? - Miał na myśli księżyc. - On sam, kiedy mu się dobrze przyjrzę, posuwa się naprzód: teraz skrada się z drugiej strony.

- Nic nie wiesz - powiedział podwórzowy pies. - Dopiero niedawno cię ulepiono. To, na co teraz patrzysz, nazywa się księżycem; to, które przedtem odeszło, było słońcem, jutro rano znowu wróci, ono już cię nauczy, jak stoczyć się do rowu. Wkrótce zmieni się pogoda, czuję to po rwaniu w lewej tylnej łapie. Pogoda zmieni się.

- Nie rozumiem go - powiedział bałwan ze śniegu - ale mam wrażenie, że mi powiedział coś nieprzyjemnego. To, co się tak na mnie gapi i potem odchodzi, to, co pies nazywa słońcem, nie

jest dla mnie przyjaźnie usposobione, czuję to.

- Precz, precz! - ujadął pies, okręcił się w kółko trzy razy i ułożył się w swej budzie do spania.

Pogoda zmieniła się istotnie. Nad ranem gęsta, wilgotna mgła pokryła całą okolicę; kiedy dniało, zawiął wiatr, wziął ostry mróz; ale cóż to za widok ukazał się gdy słońce wzeszło. Wszystkie drzewa i krzaki stały w szronie; wyglądało to jak las z białego koralu, wszystkie gałęzie były jakby obsypane lśniącem białym kwieciem. Widać było nieskończenie wiele gałęzi i gałązek, w lecie zupełnie niewidocznych pod liśćmi; była to błyszcząca, biała koronka, zdawało się, że z każdej gałęzi promieniuje oślepiający blask.

Płacząca brzoza chwiała się na wietrze, pełna była życia jak drzewa w lecie. Było to niezrównanie piękne. A kiedy zaświeciło słońce, wszystko zabłysło jak pokryte diamentowym pyłem, a na śnieżnej powłoce ziemi błyskały wielkie diamenty; można sobie było też wyobrazić, że płoną tam niezliczone, maleńkie światełka jeszcze bielsze od białego śniegu.

- Jakie to cudownie piękne - powiedziała młoda dziewczyna, która weszła z młodzieńcem do ogrodu. Stanęli tuż koło bałwana i stąd oglądali błyszczące drzewa. - Nawet w lecie nie można mieć piękniejszego widoku - powiedziała dziewczyna i oczy jej zaświeciły.

- A takiego jegomościa jak ten nie ma wcale w lecie - dodał młodzieniec i wskazał na bałwana. - Jest wspaniały.

Dziewczyna zaśmiała się, kiwnęła głową bałwanowi i tańczyła ze swym przyjacielem po śniegu, który skrzypiał pod nogami, jak gdyby stąpali po krochmalu.

- Kto to byli ci dwoje? - spytał bałwan psa. - Jesteś na podwórku dłużej ode mnie, czy znasz ich?

- Rozumie się, że ich znam - odpowiedział podwórzowy pies. - Ona mnie pogłaskała, a on podarował mi kość; nie ugryzę ich.

- Ale co oni tu robią? - spytał bałwan.

- Zakochana para - powiedział podwórzowy pies. - Zamieszkają w jednej budzie i będą razem gryźli kości. Precz, precz!

- Czy tych dwoje może się równać ze mną i z tobą? - spytał bałwan ze śniegu.

- To państwo - odrzekł pies. - Kiedy się dopiero wczoraj przyszło na świat, wie się doprawdy niewiele, widzę to po tobie. Jestem stary i doświadczony, znam tu wszystkich w obejściu, a były czasy, kiedy nie stałem tu na zimnie, przywiązany na łańcuchu. Precz, precz!

- Zimno jest rozkoszne - zauważył bałwan. - Opowiadaj, opowiadaj. Ale nie brzęcz łańcuchem, bo we mnie coś trzeszczy.

- Precz, precz! - ujadał pies. - Byłem młodym pieskiem, oni mówili, że małym i ślicznym; wówczas leżałem w pokoju na pluszowym fotelu, spoczywałem na kolanach pani i pana, całowano mnie w pyszczek i wycierano mi łapki haftowaną chusteczką; nazywano mnie „najpiękniejszym pieskiem, piesiulkiem”, ale potem stałem się dla nich za duży, podarowali mnie gospodyni; powędrowałem do sutereny. Z miejsca, gdzie stoisz, możesz tam zajrzeć; możesz zobaczyć tę komórkę, gdzie traktowali mnie po pańsku; gdyż tak się do mnie odnosiła gospodyni; było tam wprawdzie skromniej niż na górze, ale przytulniej; dzieci nie ciągnęły mnie i nie drażniły jak tam, na górze. Karmili mnie równie dobrze, ale jeszcze o wiele obficie. Miałem własną poduszkę i był tam także piec, a o tej porze roku jest to najmiłsza rzecz na świecie. Właziłem pod sam piec tak, że znikalem pod nim. Często jeszcze śnię o piecu. Precz! precz!

- Czyż piec wygląda tak pięknie? - spytał bałwan ze śniegu. - Czy jest podobny do mnie?

- Wygląda zupełnie jak twoje przeciwieństwo. Jest czarny jak węgiel, ma długą szyję i mosiężną trąbę. Pożera drzewo, aż ogień bucha mu z ust. Trzeba trzymać się jego boku, tuż koło niego lub pod nim, to niezwykła przyjemność. Możesz go zobaczyć przez okno z tego miejsca, gdzie stoisz.

Bałwan ze śniegu zajrzał w okno sutereny i zobaczył rzeczywiście czarny, polerowany przedmiot z mosiężną rurą; ogień błyszczał w dole. Bałwan ze śniegu

miał dziwne uczucie, z którego sam nie zdawał sobie dobrze sprawy: ogarnęło go coś takiego, czego nie znał, ale co znają wszyscy ludzie, o ile nie są bałwanami ze śniegu.

- I dlaczego „ją” opuściłeś? - spytał bałwan. Wydawało mu się, że piec musi być istotą żeńskiego rodzaju. - Jakże mogłeś opuścić takie miejsce?

- Musiałem - odpowiedział pies - wyrzucili mnie i przywiązali do łańcucha. Ugryzłem służącego w nogę, gdyż zabrał mi kość, którą obgryzałem; kość za kość, myślałem sobie. Ale wzięli mi to za złe i od tego czasu przymocowano mnie do łańcucha i straciłem mój piękny głos, posłuchaj no, jaki jestem zachrypnięty: precz, precz! Taki był koniec.

Bałwan ze śniegu nie słuchał już więcej, patrzył bezustannie w okno sutereny, do gospodyni, patrzył w głąb pokoju, gdzie stał piec na swych czterech żelaznych nogach i był tej samej wielkości co bałwan ze śniegu.

- Coś tak dziwnie we mnie trzeszczy - powiedział. - Czyż nigdy się tam nie dostanę? Przecież to niewinne życzenie, a nasze niewinne życzenia spełniają się zazwyczaj. Jest to moje najskrytsze życzenie, moje jedyne życzenie; byłoby to niesprawiedliwie, gdyby się nie ziściło. Muszę tam się dostać, muszę się do niego przytulić, nawet gdybym miał stłuc szybę w oknie.

- Nigdy tam nie wejdiesz - powiedział pies. - A kiedy zbliżysz się do pieca, znikniesz, precz, precz.

- I tak już prawie mnie nie ma - odrzekł bałwan. - Wydaje mi się, że się rozpadam.

Przez cały dzień bałwan ze śniegu stał i patrzył przez okno; w zmierzchu pokój wyglądał jeszcze bardziej zachęcająco; z pieca rozchodził się taki miły blask, księżyc ani słońce nigdy nie potrafią tak błyszczeć jak piec, kiedy pali się ogień w jego wnętrzu. Kiedy drzwiczki się otwierały, buchał jasny płomień, piec był do tego przyzwyczajony; płomień oświetlał czerwonym blaskiem białą twarz bałwana, czerwień ta sięgała nawet jego piersi.

- Nie wytrzymam - powiedział bałwan - jak mu do twarzy z tym wyciągniętym językiem.

Noc była bardzo długa, ale bałwanowi wydawała się krótka; stał pogrążony w swych pięknych myślach, które zamarzały tak, że aż trzeszczało.

Rankiem okna sutereny zamarzły, ukazały się na nich najpiękniejsze kwiaty, jakie tylko bałwan ze śniegu mógłby sobie wymarzyć, ale zasłoniły mu widok pieca. Szyby nie chciały odtajać i bałwan nie mógł zobaczyć „swojej ukochanej”. Trzeszczało i trzaskało w nim i obok niego; był mróz wymarzony dla bałwana ze

śniegu, ale on się nie cieszył - mógłby być taki szczęśliwy, ale nie był szczęśliwy, tęsknił do pieca.

- Tęsknota do pieca to ciężka choroba dla bałwana - powiedział pies - i ja nigdy cierpiałem na tę chorobę, ale przemogłem ją. Precz, precz! Teraz pogoda się zmieni.

I pogoda rzeczywiście zmieniła się; rozpoczęła się odwilż.

Odwilż zwiększała się, a bałwan się zmniejszał. Nie mówił nic, nie skarżył się, a to jest już zły znak.

Pewnego ranka rozpadł się. Z tego miejsca, gdzie stał, wystawało coś, co przypominało kij do miotły, chłopcy ulepili bałwana na tym kiju.

- Teraz rozumiem jego tęsknotę - powiedział pies łańcuchowy. - Bałwan miał w ciele pogrzebacz; to on się w nim poruszał; teraz już to minęło. Precz, precz! Wkrótce potem i zima również minęła.

- Precz, precz! - szczekał pies a małe dziewczynki śpiewały na podwórzu:

*Niechajże rosną z ziemi kwiatuszki.  
Pokaż nam, wierzbo, wiosenne puszki.  
Wiosna nadchodzi, ptaszki śpiewajcie,  
Koniec lutego, pięknie zagrajcie,  
I my wtórujemy kukułkom w chórze,  
A ty, słoneczko, świećże nam w górze.*

I nikt już nie myślał o bałwanie ze śniegu.

